

Matuszkiewicz Irena

Apetyt na kwaśne winogrona



1.

Rybka zamknęła dziennik. Nie była zadowolona.

— Człowiek sobie żyły wypruwa, a wam się nie chce do notatek zajrzeć — powiedziała zniechęconym głosem.

Rybka uczyła geografii i nie wymagała od uczniów cudów. Odpytywała jedynie z tego, co wcześniej podyktowała do zeszytów, i była szczęśliwa, jeśli wyrwany do odpowiedzi delikwent wiernie powtórzył jej słowa. Im wierniej, tym lepiej. Ci, którzy rozumieli dobrodziejstwa płynące z wiedzy podanej w pigułce, pilnie notowali, inni zajmowali się swoimi sprawami: wysyłali SMS-y, rysowali kwiatki lub odrabiali ćwiczenia z angielskiego, żeby nie ślęczeć nad nimi w domu.

— Piszemy! — zarządziła Rybka i otworzyła gruby brulion. Zaczęła dyktować: — W VI wieku przed naszą erą Pitagoras jako pierwszy stwierdził, że Ziemia ma kształt kulisty...

Wypruwanie żył w jej wykonaniu było boleśnie nudne. Monotonny głos działał jak środek nasenny i sprawiał, że ostatnia lekcja ciągnęła się niczym spaghetti. Nawet najwięksi wesołkowie nie rwali się do

wygłupów, a i sama Rybka wyglądała na zmęczoną, żeby nie powiedzieć — znudzoną.

Lilka notowała automatycznie co trzecie, czwarte słowo, byle tylko ruszać długopisem i nie podpaść. Pierwsze ławki miały najgorzej. Rybka, kiedy unosiła głowę znad notatek, patrzyła na tych, co siedzieli najbliżej, jakby jedynie oni byli warci uwagi.

— Wyrzujesz mi na nagrobku: „Padła z nudów na geografii”? — spytała szeptem Oliwia.

Lilka kiwnęła głową na znak, że wyrzaje, ale gadać jej się nie chciało. Była w nastroju dramatycznym, czyli mniej więcej parszywym. Taki nastrój wykluczał chęć do żartów, a także odsuwał na bok planowane zakupy. Dwie dychy, które jeszcze rano parzyły ją przez bluzę, tkwiły spokojnie w kieszeni, jakby ich wcale tam nie było. Po kwiecistej przemowie Aldony, znaczy wychowawczyni, straciła ochotę na wszystko, także na nowe spodnie. Najgorsze było to, że nazajutrz musiała przyjść do szkoły z matką. Nie miała nic przeciwko towarzystwu Magusi. Stanowiły zgrany duet rodzinny, który w szkole spotykał się jedynie przy okazji wygłupów Lilki, a więc ostatnio bardzo rzadko. Magusia była absolwentką tego samego liceum, maturę zdała dwadzieścia lat wcześniej i — nie licząc oficjalnych zebrań — nie pojawiała się w budynku szkoły. Lilka nie spodziewała się niczego dobrego po tej wizycie. Zwłaszcza że chwila wydawała się całkiem nieodpowiednia.

Wreszcie rozległ się dzwonek. Nie do wiary, jak jedno krótkie „drr”, ani głośne, ani ciche, potrafi nagle ożywić klasę. To „drr” miało moc trąb jerychońskich, ponieważ usuwało ostatnią przeszkodę przed wolnym popołudniem. Licealiści z I e szturmem zdobyli drzwi. Lilka, Oliwia i Mikołaj (ostatnie już takie trio) ewakuowali się na samym końcu. Już od podstawówki zawsze wychodzili razem. Nie zmienili tego zwyczaju w gimnazjum i nie chcieli zmieniać w liceum. Było im po drodze, i nie chodziło tylko o to, że mieszkali niedaleko siebie. Znali się na wylot, rozumieli w pół słowa i lubili, a to sprawiło, że połączyła ich więź bliższa niż w niejednej rodzinie. Kiedy się kłócili, latały błyskawice (i nie tylko), ale kiedy któreś z nich miało kłopoty, analizowali je wspólnie, wspierali się i stali za sobą murem.

— W którym lumpku wyczaiłaś te portki? — zagadnęła Oliwia, ledwie wyszli na ulicę.

Pogoda była śliczna, prawdziwie jesienna, więc nie chciało im się wracać do pustych domów. Gdyby wypadały jakieś dodatkowe zajęcia, języki czy trening, to co innego, ale tak się szczęśliwie składało, że poniedziałkowe popołudnia cała trójka miała wolne.

— Jakie portki? Bojówki? — zainteresował się Mikołaj, zwolennik stylu militarnego.

— No co ty? — obruszyła się Oliwia. — Normalne dzinsy, tyle że markowe. Pepe Jeans, kapujesz?

— Bojówki wygodniejsze i mniej opinają nogi.

— Weź się nie wygłupiaj, co? Nie szukamy portek dla ciebie, tylko dla Lilki. Ona ma zgrabne nogi i może je opinać do bólu. Dobrze mówię? — Spojrzała na Lilkę i przystanęła gwałtownie. — A ciebie co tak zamuliło? Awanturka była tycia, tycia, a ty przeżywasz jak stonka wykopki. Wyluzuj! Każdemu wolno zażartować. Widać Pikus nie zna się na żartach, ale to jego problem, nie twój.

— Nie chodzi o Pikusia — mruknęła Lilka.

— Mam nadzieję. O Magusię chyba też nie? Myślisz, że się wkurzy?

— Trochę...

— Jak trochę, to nie ma o czym gadać. Weź się ogarnij i powiedz coś, zanim Mikołaj ubierze cię w bojówki.

Lilka nieznacznie wzruszyła ramionami. Wciąż jeszcze wolą słuchać. Wiedziała, że pięknie, bo komu miała się wygadać, jeśli nie najbliższym przyjaciołom. Ale nie chciała mówić teraz. Moment nie był najlepszy. Przyśpieszyła kroku.

Sklep z używaną odzieżą mieścił się niedaleko szkoły, zaledwie trzy przecznice dalej. Był to typowy lumpeks, gdzie na środku, na wielkim stole, wałała się złachmaniona odzież sprzedawana na wagę, a pod ścianami, na wieszakach, tłoczyły się bluzki, spódnice, sweterki, piżamy i co kto chciał. Trzeba było nie lada umiejętności, żeby wśród tego bogactwa kolorów i fasonów wypatrzeć coś ciekawego, jak choćby markowe nówki za jedyne piętnaście złotych.

— Co tu tak śmierdzi? — skrzywił się Mikołaj. Oliwia szturchnęła go w bok.

— Do wążania jest perfumeria, tu się ogląda. Nie słyszałeś nigdy o dezynfekcji?

Słyszał, ale za każdym razem, kiedy dziewczyny ciągnęły go do lumpeksu, włókł się za nimi bez entuzjazmu, całkiem jak ten Cygan, co dla towarzystwa dał się powiesić. Nie miał duszy duchowego szperacza. Krzywił nos, by dać do zrozumienia, że grzebanie w stosach bluzek i spódnic nie sprawia mu frajdy. Umiał natomiast doradzić. Na widok Lilki w nowych spodniach pokręcił głową.

— W tyłku za luźne, w pasie pieją — orzekł krótko i trafnie.

Lilka stała przed lustrem i próbowała obejrzeć się z tyłu, z przodu i z boku.

— Co to znaczy: pieją?

— Sterczą. Całą rękę można wsadzić.

Może nawet wsadziłyby dla udowodnienia swojej racji, ale w porę uskoczyła do przymierzalni.

— Z łapami to pod kościół! — krzyknęła zza zasłony.

Nie był to krzyk złości, tylko rozbawienia. Mikołaj zachichotał.

Bez żalu oddali dzinsy sprzedawczyni. Wiadomo przecież, że spodnie mogą być albo za duże, albo dopasowane niczym druga skóra, natomiast nie powinny być trochę takie i trochę takie. I z całą pewnością nie mogą piąć.

Wlekli się główną ulicą osiedla, noga za nogą, rozleniwieni jesiennym słońcem. Lilka westchnęła ciężko.

— Klapnijmy — powiedziała, zatrzymując się przy ławce obok placu zabaw.

Pusto było, spokojnie, pewnie dzieciaki siedziały jeszcze w przedszkolu i nie miał kto hałasować ani skrzypiec huśtawkami. Usiadła pierwsza. Oliwia z Mikołajem stanęli naprzeciwko.

— Stało się coś? — spytali niemal równocześnie.

— Tato we wrześniu miał wypadek — mruknęła Lilka.

Nie usłyszeli niczego nowego. Mało było spraw ważnych, o których by nie wiedzieli, bez względu na to, kogo z nich dotyczyły.

— Coś z nim nie tak? — spytał ostrożnie Mikołaj.

— Właściwie nie wiem. — Potrząsnęła głową. — Rozmawiamy głównie przez skype'a i trudno wyczuć.

— Przecież go widzisz. Pokręciła głową.

— Nie mamy kamerki internetowej, niestety. Kiedy gadamy, udaje twardziela, mówi „okay, okay”, ale tak sobie myślę, że gdyby było okay, to Magusia nie wstawałaby rano z oczami czerwonymi jak u królika. Mnie niby pociesza, choć sama nie wygląda na radosną. Wczoraj wreszcie pękła i powiedziała, że za dwa tygodnie leci do ojca. Dokładnie czwartego listopada. Szok! Mówię wam, szok i totalna załam-

ka! Jakby z ojcem było dobrze, nie brałaby chyba urlopu bezpłatnego i nie leciała za ocean? Wcześniej słowem nie wspominała o takich planach. Jeździła ze dwa razy do Warszawy, ale mówiła, że służbowo. Nawet nie miałam pojęcia, że chodziło o wizę.

— A co z tobą? — spytała Oliwia.

— Amerykanie mają dość cudzoziemców. Magusię wpuszczą bez większych kłopotów właśnie dlatego, że ja zostaję w Polsce. Wiadomo, że matka do dziecka raczej wróci, no nie?

— Kiedy wróci? To znaczy... — poprawiła się Oliwia — chodzi mi o to, ile czasu ona zamierza tam siedzieć: tydzień, dwa?

— Odbiło ci? Kto leci do Stanów na tydzień? Wizę dostała na rok, mówi o ośmiu miesiącach, tyle mniej więcej zajmie ojcu pisanie pracy naukowej.

— Ja cię kręcę! — Oliwia z wrażenia usiadła na ławce. — Jakbyś się uparła, mogłabyś zająć w ciążę, urodzić dzieciaka i zrobić Magusię babcia.

— Nie będę się upierać — burknęła Lilka.

— Wiem. Chodzi mi tylko, że to masa czasu. Przeniesiesz się do którejś ciotki?

— W życiu! — obruszyła się Lilka. — Z żadną nie wytrzymuję dłużej niż godzinę. Magusia upierała się przy wuju, ale z nim nie wytrzymuję nawet godziny. Zostaję w domu.

— Magusia się zgodzi? — spytał Mikołaj.

— A ma inne wyjście? — Lilka wzruszyła ramionami. — Już się zgodziła, choć nie od razu. Musiałam



zrobić jazdę, żeby ją przekonać. Ciotki z wujem mogą wpadać z doskoku, guzik mnie obchodzi, czy im się to spodoba, czy nie.

— Kurczę, nie wiem, czy dobrze to wykombinowałam.  
— Oliwia się zamyśliła.

— Dlaczego? W grudniu skończę szesnaście lat, nie jestem dzieckiem i sama umiem o sobie zadbać. Do samotności też się można przyzwyczaić — dokończyła ciszej.

— Jasne! — ożywił się Mikołaj. — Ja to bym nawet chciał, żeby moi starzy wyjechali gdzieś na rok albo chociaż na miesiąc. Lubię być sam w domu. Spokój, cisza, nikt nie brzęczy nad uchem, nie każe wynosić śmieci, kiedy akurat słuchasz Chrisa Browna. Robisz, co chcesz, uczysz się, kiedy chcesz... Świetne życie.

Oliwia pokręciła głową.

— Świetne przez dwa dni i przy pełnej lodówce — mruknęła. — Potem zaczynają się zakupy, gotowanie, pranie... Wiem coś o tym. Kiedy umarła babka i starzy pojechali na Białoruś, przez tydzień miałam na głowie cały dom i jeszcze Miškę. Nie macie pojęcia, ile jest zajęcia przy samym dzieciaku.

— Lilka nie ma dzieciaka — zauważył Mikołaj.

— No właśnie. Przyjdzie wieczór i będzie zupełnie sama. To jeszcze gorzej. Jakiś kawałek siostry bardzo by jej się przydał.

— Fajna z ciebie pocieszycielka strapionych, nie ma co! Włącz pamięć i przestań gadać, że się czułaś samotna. Siedzieliśmy u ciebie, teraz posiedzimy u Lilki i nie będzie źle.

— Sam włącz pamięć i uzupełnij luki! —  
wykrzyknęła Oliwia. — Lilka, owszem, siedziała, ale nie  
ty. Która to laska była wtedy na tapecie: Agata czy  
Karen? Wybacz, nie jestem w stanie spamiętać  
wszystkich twoich love story.

— Dzwoniłem do ciebie codziennie, nie gadaj! —  
obruszył się Mikołaj.

— Aha, w porze kąpienia Miśki — rzuciła ze złością.

— No dobra! — Mikołaj zmienił ton na ugodowy. —  
Chwilowo jestem wolny i mogę duchowo wspomagać  
Lilkę. Nie będzie źle, zobaczycie.

— Też myślę, że nie będzie źle — powiedziała Lilka.  
— Tylko ta draka z Pikusiem wyskoczyła nie w porę.  
Wczoraj przekonałam Magusię, że jestem dorosła, a  
dzisiaj... Powieszę się, jeżeli ona zacznie wierzgać i  
zechce, żebym przeniosła się do wuja.

## 2.

Z Magusią, czyli mamą Jagusią, dało się żyć. Bywała stanowcza i zasadnicza, zwłaszcza gdy chodziło o naukę i alkohol, jednak nie czepiała się drobiazgów, nie nudziła i popierała samodzielność. Miała dużo zalet, szczególnie w porównaniu z resztą rodziny. Magusia bardzo pasowała do męża i córki, natomiast nie pasowała do siostr ani do brata, jakby pochodzili z różnych domów i nie łączyły ich wspólne geny. Ciotki, w przeciwieństwie do Magusi, „nie były piękne, nie miały nic z wrózek”, jednak to nie uroda decydowała o inności. Jeśli się kogoś lubi, można przymknąć oczy na trwałą ondulację, wagę godną słonia czy prehistoryczne ciuchy... No właśnie, jeśli się lubi. Ta rodzina, może poza mężami ciotek, nie nadawała się do lubienia, szczególnie gdy zasiadała przy jednym stole. Wtedy to nawet Magusia, wzór tolerancji, mówiła po cichu, że drugiego takiego wariatkowi nie ma ani w okolicy, ani w całej Polsce. Obie ciotki, najstarsza Emilka i średnia Lesia, były fankami telewizji. Pierwsza uwielbiała seriale, druga wyłącznie sport. Biedny pilot musiał cierpieć katusze, kiedy go sobie wyrywały z rąk, wpychały za dekolt lub siadały na nim, żeby nacieszyć się wła-

dzą. Wiadomo, że rządzić mogła tylko ta, która miała dostęp do klawiszy i kanałów. Raz, jedyny raz, w swoje imieniny, ojciec Lilki wyniósł telewizor z pokoju i więcej tego nie zrobił. Wymyślił sobie, że pozbawiona zabawki rodzina podejmie ciekawą rozmowę. Niestety, zamiast toczyć dyskusję na argumenty, ciotki wdały się w pospolitą sprzeczkę na zarzuty, w którą włączyły również ojca Lilki. A kiedy już nie mogły patrzeć na siebie ani na pozostałych gości, całą energię skupiły na talerzach mężów i dzieci. Nagle okazało się, że na stole są same niezdrowe, żeby nie powiedzieć toksyczne, potrawy i ten temat zdominował przyjęcie. Gdyby Magusia była mniej odporna, mogłaby się ciężko rozchorować ze zgryzoty. A tak, po wyjściu gości, powiedziała mężowi: „Wolę patrzeć, jak one patrzą, niż słuchać tego, czego nigdy nie powinny mówić”. I właśnie ta rodzina, może nie taka najgorsza, lecz trudna do zniesienia, miała przejąć opiekę nad Lilką, i to na osiem miesięcy, jeśli nie na dłużej. O przeprowadzce do którejś z ciotek Lilka nie chciała słyszeć. W niewielkich mieszkaniach zapchanych gratami i domownikami nie dałoby się wydzielić kąta dla jeszcze jednej osoby, i to był główny argument w dyskusji z Magusią. Pozostawał jeszcze wujek Anatol, który co prawda też miał niewielkie mieszkanie, lecz siedział w nim jedynie z ciotką Jolą. Oboje nie za bardzo nadawali się na opiekunów. Patrząc na wuja, Lilka miała wrażenie, że on musiał urodzić się jako starzec i nie zdą-

żył być dzieckiem ani chłopakiem. Nawet kiedy rok wcześniej brał ślub, nie dało się o nim powiedzieć „pan młody”, bo właśnie przekroczył czterdziestkę, więc młodość miał za sobą. Los obdarzył go zgryźliwym charakterem, odpowiednim do wyglądu, i hojnie wyposażył w takie wady, jak złośliwość, nadmierna pedanteria i skłonność do marudzenia. Magusia dobrze wiedziała, że jej córka ma uczulenie na wuja, ale pomimo to darzyła go największym zaufaniem. Gdyby nie gwałtowny sprzeciw Lilki, z całą pewnością namówiłaby brata, by wziął siostrzenicę pod swój dach.

Lilka wróciła do domu z ciężkim sercem. Zamknęła drzwi i rozejrzała się po mieszkaniu. Duże, wysokie, tak znajome jak własna skóra, w niczym nie przypominało klatek w blokowisku. Pokój dzienny połączony z kuchnią, sypialnia rodziców, z której korzystała w czasie nieobecności ojca, gabinet i wreszcie jej pokój, wcale nie najmniejszy, urządzone ze smakiem. Niedobrze jej się robiło na myśl, że miałaby zostawić te przestrzenie i gnieść się po cudzych kątach, gdzie zawsze byłaby intruzem. Zaścieliła łóżka w sypialni, bo rano obie z Magusią trochę za długo spały, potem umyła talerzyki i filiżanki pozostawione w zlewie, na koniec wzięła się do obierania ziemniaków. Zwykle nie wykazywała aż takiej gorliwości, lecz dziś miała szczególne powody, by nie podpadać Magusi bardziej, niż będzie to konieczne. Dawno już zauważyła, że każda nie-

wdzięczna praca, choćby sprzątanie, mniej męczy, jeśli podchodzi się do niej bez uprzedzeń. Zamiast więc mamrotać pod nosem o robocie głupiego, po prostu pościeliła, umyła i obrała, co zajęło jej niewiele czasu, za to Magusię wprowadziło w osłupienie.

— No, no! — powiedziała, zaglądając do pokoju córki. — Jeśli chciałaś mnie przekonać, że umiesz sobie radzić, to prawie ci się udało.

Lilka uniosła głowę znad podręcznika.

— Dlaczego prawie?

— Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Sprzątać, niestety, trzeba codziennie.

Dopiero wieczorem, kiedy Magusia wynurzyła się z gabinetu, żeby zaparzyć sobie herbatę, Lilka uznała, że nadszedł odpowiedni moment na poważną rozmowę. Weszła do kuchni z nieszczęśliwą miną.

— Łeb mnie boli jak głupi, Goździkowa ma prze-chlapane — zakomunikowała, licząc skrycie, że Magusia ulituje się nad chorą głową i nie zechce dobijać jej właścicielki.

— Źle się czujesz?

— Nie aż tak źle, żeby zaraz umierać. Miałam ciężki dzień. Chyba nie lubię swojej budy. A ty lubiłaś?

— Chyba tak — zawahała się Magusia. — Ale zaczęłam ją lubić dopiero po maturze. Wiesz, z upływem czasu inaczej się patrzy na przeszłość.

— To świetnie! — Lilka dość udanie zamanifestowała swoją radość. — Jutro będziesz miała okazję znowu odwiedzić stare mury.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Już ci wiadomo, bo cię zaprosiłam. To znaczy, nie tyle ja, ile wychowawczynie. Zapraszam cię w jej imieniu... To znaczy, nasza Aldona uparła się, że musi z tobą pogadać.

— Znowu coś zmalowałaś! — domyśliła się Magusia.  
— Co tym razem? Wciąż jesteś bita w domu i odreagowujesz stres, tłukąc kolegów w szkole?

— Ojej, nie musisz mi przypominać szczeniackich wygłupów! — obruszyła się Lilka. — Nic nie zmalowałam. Widać mam takie parszywe szczęście, że trafiam na ludzi bez poczucia humoru. Jeśli ktoś jest nadętym balonem i całą parę pakuje w pompowanie swojego autorytetu, to zrobi aferę nawet z reklamy telewizyjnej.

— Proszę o konkrety — rzuciła sucho Magusia.

— Właściwie to już wszystko powiedziałam. — Jej córka wzruszyła ramionami. — Nadęty balon to Pikuś, nasz chemik.

— Dlaczego Pikuś? Niski?

— Bo ja wiem? — zastanowiła się Lilka. — Możliwe, że w dzieciństwie nie jadł jogurtu, bo wielki nie jest, góra metr siedemdziesiąt. A Pikuś, bo... To jest mały Pikuś, nie tyle z racji wzrostu, ile wieku. Młody, świeżo po studiach i zakompleksiony. Pierwsza praca i tak dalej, więc chyba się nas boi. W każdym razie sprawia wrażenie, jakby się bał, nie pozwala na żarty i sam też nie żartuje. Pewnie nie ma poczucia humoru, biedny leszcz. Rozumiesz?

— Rozumiem. Mam się zwolnić z pracy, żeby pogadać z twoją wychowawczynią o kompleksach chemika?

— Nie żartuj!

— I kto to mówi? — Magusia pokręciła głową. — Wychowawczynię znam, a jak się nazywa chemik? Nie będzie miło, jeżeli wyskoczę z Pikusiem.

— Normalnie, Kowalski.

— To teraz po kolei: co powiedział profesor Kowalski, co ty i dlaczego wmieszała się w to wychowawczyni.

Lilka kręciła się przez chwilę, jakby krzesło zaczęło nagle parzyć. Magusia przyciskała ją do muru, więc musiała przyjąć postawę obronną, czyli przypuścić atak na chemika.

— Pikuś ma taki głupi zwyczaj, że nie odpytuje jak inni z dziennika, tylko najpierw rzuca pytanie, potem rozgląda się po klasie, wybiera ofiarę, celuje w nią paluchem i mówi: „Odpowiedz ty”. To jego celowanie jest nie do wytrzymania. Wie, że nikt tego nie lubi, więc gra na zwłokę, jakby go cieszyło, że nas to wkurza. Masakra. Dzisiaj wybrał mnie. Pytanie było proste, i gdyby tylko pozwolił mi się wykazać...

— Coś jednak powiedziałaś?

— Mhm. Na dobry początek rzuciłam: „To jest pytanie do zebra, zebra odpowiada wszystkim”. Wiesz, to z tej fajnej reklamy...

— Wiem. Co było dalej?



— Normalka. On nie znosi żartów ani chichotów, więc się wściekł, walnął mi pałą i kazał iść do Aldony. Uwierz mi, naprawdę nie zrobiłam nic złego.

— A przeprosiłaś?

— Za co niby? — obruszyła się Lilka. — Przecież tłumaczę ci, że nie czuję się winna.

Magusia widziała co najmniej dwa powody do przeprosin. Po pierwsze, gdyby umieściła córkę w szkole klaunów, gdzie nauka sprowadza się między innymi do wygłaszania żartów, być może uważałyby, że nic się nie stało. Jednak Lilka chodziła do najlepszego w mieście liceum, które promowało wiedzę, a jeśli czasem przypominało szkołę klaunów, to tylko przypadkiem. Po drugie, chcąc czy nie, ale raczej chcąc, Lilka próbowała dokuczyć młodemu nauczycielowi i choćby za to powinna przeprosić. Ostateczne wnioski Magusia odłożyła do czasu, aż pozna opinię drugiej strony.

Następnego dnia mocno się rozczarowała. To samo zdarzenie w relacji profesora Kowalskiego i wychowawczyni wyglądało nieco inaczej, przy czym słówko „nieco” robiło wielką różnicę. Kiedy palec chemika zawisł nad Lilką, ta nie dość, że nie ruszyła tyłka z krzesła, to nawet nie usiadła prosto. Rzuciła jedynie gdzieś w przestrzeń parafrazę reklamy piwa: „Tylko żubr odpowiada wszystkim, ja nie jestem żubrem”. Magusia w szkole zachowała zimną krew, a nawet próbowała tłumaczyć córkę, dopiero w domu nerwy jej puściły.

— Zachowałaś się jak bezczelna kretynka — stwierdziła.

Lilka nie kryła oburzenia. Całkiem inaczej widziała tę scenę. Owszem, zaczęła mówić, siedząc, ale właśnie się podnosiła. I nie rzucała słów w przestrzeń, tylko patrzyła Pikusiowi w oczy. Gdyby ją posądził o kokieterię, byłby bliższy prawdy.

— Kokieterię zostaw dla kolegów, nauczycieli sobie daruj - powiedziała ostro Magusia. -1 nie wmawiaj mi, że nic się nie stało. Przy całej klasie odmówiłaś odpowiedzi i podważyłaś autorytet profesora.

— Nie można podważać czegoś, czego nie ma!

— Z autorytetem nikt się nie rodzi, autorytet buduje się przez lata i dobrze jest zacząć możliwie wcześnie. Założę się, że z wychowawczynią byś tak nie zagrała.

— Chyba nie - mruknęła niechętnie Lilka i żeby nie skapitulować zbyt szybko, znowu przystąpiła do ataku. — Aldona po tygodniu знаła nasze imiona. Przyznasz, że takie wytykanie brudnym paluchem nie jest w najlepszym stylu. Pikuś nie umie się zachować, wytyka nas ze strachu. On jest... - zaperzyła się i nie umiała znaleźć właściwego słowa, które jednocześnie byłoby słowem cenzuralnym.

— Nieważne, jaki jest chemik — stwierdziła uspokojona już Magusia — teraz mówimy o twoim wyskoku. Nie ma wyjścia, musisz przeprosić.

— No dobra! - zgodziła się Lilka z lekkim ociąganiem. — Zrobię to dla ciebie, dorwę go przed lekcją na korytarzu i przeproszę.

Magusia pokręciła głową.

— Nie na korytarzu, tylko w klasie, w obecności świadków twojego, pożał się Boże, dowcipu. I nie tak po waszemu: „przepszam, sorze”, jakbyś parzyła sobie buzię gorącymi ziemniakami. Jasno, wyraźnie masz się przyznać do głupiego zachowania i wyrazić skruchę.

— Nie mówisz poważnie! — Wielkie oczy Lilki wyrażały ogromne zdumienie. — Wiesz, co się będzie działo? Klasa uzna, że to nowe jaja, i ludzie gotowi popękać ze śmiechu. Chemik nie będzie zadowolony, masz na to moje słowo.

— Dorosłość to między innymi umiejętność przyznania się do błędu — wyjaśniła chłodno Magusia. — Najwyraźniej nie dojrzałaś jeszcze do samodzielności. Albo przeprosisz, albo...

Lilka spuściła głowę. Gdyby nie widmo zamieszkania u wuja, nie poddałaby się bez walki. Było pewne, że tym razem Magusia nie ustąpi. Bardzo rzadko się upierała, ale jak już się uparła, żadna siła nie mogła jej przekonać.

— Dobrze — powiedziała cicho — zrobię, jak mówisz, tylko nie miej do mnie pretensji, jeżeli coś wyjdzie na opak.

— Wyjdzie dokładnie tak, jak zechcesz, żeby wyszło. Masz przeprosić bez wygłupów i jestem pewna, że nawet największy klasowy kretyn to uszanuje.

— Mhm — mruknęła Lilka, chociaż nie podzielała tego przekonania.

Klasa nie była jeszcze zżyta, ludzie dopiero badali, na co sobie mogą pozwolić, poznawali się i Lilka mogła ręczyć jedynie za Oliwię i Mikołaja. Prawdę mówiąc, na innych niespecjalnie jej zależało. Obserwowała ich chłodno, z grubsza wiedziała, kto kujon, a kto leser, kto się popisuje, a kto jest lizusem, i to wystarczało. Nie pociągała jej też grupa klasowych dzokerów. W każdej klasie znajdzie się kilku wesołków, którzy za wszelką cenę próbują zaznaczyć swoją obecność i nie obchodzi ich, że gubią granice dobrego smaku i przyzwoitości. Trzeba przyznać, że płynne to granice i dla każdego inne. Lilka nie zaliczała się do dzokerów, nie znosiła popisów. Czasem zdarzało się, że palnęła coś, jedno zdanko, jedną odzywkę — na tym kończyła. I to nie dla poklasku czy popularności, lecz wyłącznie dlatego, że nie umiała się powstrzymać.

Magusia, ledwie wymogła na córce przeprosiny, natychmiast zniknęła w gabinecie. Dopiero następnego dnia Lilka odkryła na tablicy korkowej nad biurkiem zielony list. A właściwie zielony karton A4, z krótkim tekstem, który Magusia przypisała świętemu Tomaszowi z Akwinu.

*Panie!*

*Zachowaj mnie od zgubnego nawyku mniemania, że muszę coś powiedzieć na każdy temat i przy każdej okazji.*

*Użycz mi chwalebного poczucia, że czasem mogę się mylić.*

*Zachowaj mnie miłym dla ludzi, choć z niektórymi z nich doprawdy trudno wytrzymać.*

Lilka roześmiała się głośno. Doceniła gest Magusi. Niestety, była środa, a w środy na czwartej lekcji wypadała chemia. Spakowała torbę i pełna złych przeczuć wyruszyła do szkoły.

### 3.

Oliwia i Mikołaj nie kryli zdziwienia. Lilka, z trudem przekonana przez Magusię, próbowała dla odmiany przekonać ich, że Pikusiowi należą się przeprosiny. Broniła matczynych racji, nie swoich, więc jej argumenty były płaskie jak bibułka.

— Robisz to z wewnętrznej potrzeby czy dla jaj?

- spytał Mikołaj. - Jeżeli dla jaj, to przydałby ci się jakiś rekwizyt, bukietik konwalii albo coś w tym stylu.

— Skąd weźmiesz konwalie w październiku? — zdziwiła się Oliwia. — W czasie przerwy możemy skoczyć po fioletową chryzantemę. Fioletowa będzie pasowała do nastroju. Cud-miód i orzeszki! — Roześmiała się ubawiona.

Lilka pokręciła głową. Pomysł z fioletową chryzantemą był świetny, kupiłaby go bez zmrużenia oka, lecz nie tym razem.

— Nie chodzi o wewnętrzną potrzebę ani o jaja

— powiedziała smętnie. — Chodzi o wyższą konieczność. To jest tak: Magusia obiecała Aldonie, ja obiecałam Magusi i choćbym pękła, dotrzymam słowa, bo inaczej wyląduję u wuja na całe osiem miesięcy. Możecie mi wierzyć, ciotki są okropne, ale wuj osiągnął w marudzeniu mistrzostwo świata.

Odpuścili natychmiast. Na miejscu Lilki żadne z nich nie pchałoby się dobrowolnie pod opiekę takiego krewnego, i to nie wiadomo na jak długo, mając wolną chatę, a w niej święty spokój.

— Fajnie, że przynajmniej wy mnie rozumiecie — westchnęła Lilka.

— Wiesz już, co powiesz?

— No co wy! Nie będę deklamowała wyuczonej lekcji, wymyślę coś na poczekaniu.

— Coś prosto z serca? — Mikołaj się roześmiał.

— Nie wkurzaj mnie, dobrze? — poprosiła.

Szli jak na ścieżce, czyli jak zwykle. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pędził do szkoły z bananem na twarzy. Nie wypadało się cieszyć, bo i z czego? Oczywiście wiadomo, że nauka, że wiedza i otwarta furтка do studiów, ale najpierw trzeba było uporać się ze szkolnymi pułapkami. Uczeń nie znał dnia ani godziny swojej klęski. Nawet jeśli zakuwał i czytał, lub przynajmniej zapewniał, że czytał, mogło się okazać, że wie dużo mniej, niż powinien, przeoczył najważniejsze lub źle coś zrozumiał.

Lilka dobrze radziła sobie w szkole. Była urodzoną humanistką po Magusi, ale też całkiem niezłą ma-tematyczką po ojcu. Miała świetną pamięć i talent do kojarzenia faktów. Gdyby jeszcze dołączyć do tego pracowitość, znalazłaby się w klasowej czołówce. Nie przywiązywała wagi do miejsc i rankingów, nie lubiła erudycyjnych popisów i była dumna, że nigdy dobrowolnie nie zgłosiła się do odpowiedzi.

Jakiś powód do dumy musiała przecież znaleźć. Jej szkolne kłopoty, przynajmniej do tej pory, wiązały się wyłącznie z niezbyt przemyślanymi wyskokami, jak choćby ten ostatni. Z wielkim trudem doczekała do czwartej lekcji. Zapewniała przyjaciół, że się nie denerwuje, że postawi na żywioł, co nie do końca było prawdą. Tekst wymyśliła jeszcze na angielskim, a denerwowała się na zapas, wyobrażając sobie docinki klasy. Poza Oliwią i Mikołajem nie miała nikogo, kto chciałby ją wesprzeć. Ich trio nie było zbyt lubiane, ponieważ od początku trzymało się na uboczu. A i ona sama musiała wiele osób drażnić: nie dość, że ładna i dobrze ubrana, to jeszcze chwalona przez nauczycieli za umiejętność wyciągania celnych wniosków. Anglik rozpływał się nad jej akcentem, ale trudno, żeby miała gorszy, skoro była dwujęzyczna i często jeździła do Anglii.

Pikus wkroczył do klasy zamaszystym krokiem. Sprawdził obecność i dopiero wtedy stanął przy pierwszej ławce. Wybrał środkowy rząd, patrzył przed siebie, więc nie zauważył, albo nie chciał zauważyć, wyciągniętej ręki Lilki. Zmarszczył czoło, co znaczyło, że obmyśla pytanie i za moment puści w ruch palec wskazujący. Wszystko, co odsuwało w czasie ten najgorszy moment, było na wagę złota. Z ostatnich ławek rozległy się głosy:

- Panie sorze, koleżanka zgłasza się do odpowiedzi!
- Sorze, mamy ochotnika!



Pikus wreszcie na nią spojrział. Uniósł lekko brwi, więc Lilka uznała, że w tych podniesionych brwiach kryje się pytanie: „O co ci chodzi, puchu marny, że zawracasz mi głowę w czasie lekcji?”. Wstała i odruchowo obciągnęła sweterek.

— Panie profesorze — zaczęła niezbyt głośno, ale bardzo wyraźnie — przepraszam za moje nieodpowiedzialne i głupie zachowanie na ostatniej lekcji. Nie chciałam pana obrazić, po prostu czasem, jak każdy człowiek, mam gorsze chwile i najpierw coś powiem, dopiero potem pomyślę.

Twarz Pikusia nie wyrażała żadnych emocji. Całkiem jakby Lilka podawała definicję izotopów, a nie skupiała się na szczerych wyznaniach. Wymuszonych, co prawda, lecz tego przecież nie wiedział. Zamilkła na moment, żeby obmyślić jakieś efektowne zakończenie, i wtedy, w najmniej odpowiedniej chwili, z jej kieszeni rozległ się skrzek SMS-a: „To ja, twój telefon. Ja dzwonię, odbierz mnie”. Bodaj pierwszy raz w nowej szkole zapomniała wyłączyć komórkę przed lekcją.

— Siadaj i odbierz ten ważny telefon — powiedział Pikuś.

Ani słowa więcej, tylko siadaj i odbierz. Opadła na miejsce, bo co miała robić, ale czuła się upokorzona i stłamszona. Bała się reakcji klasy, a tymczasem klasa, w odróżnieniu od nauczyciela, zachowała się zupełnie w porządku. Śmiechy po telefonie były całkiem na miejscu. Każdy miałby ubaw, gdyby to nie jego dotyczyło.

4.

Magusia całe popołudnie była zajęta tłumaczeniem powieści, którą przed wyjazdem musiała odesłać do wydawnictwa. Dopiero przy kolacji znalazła czas dla córki. Rozsiadły się w fotelach, postawiły talerz z kanapkami. Lilka lubiła takie chwile: Magusia na wyciągnięcie ręki, dobre jedzenie pod ręką i dyżurny temat do wałkowania. Niestety, nie dało się go nazwać ciekawym.

— Ja to mam pecha. Pikuś, telefon i klęska. To był zły pomysł — złościła się Lilka. - On udawał, że niczego nie rozumie, i jeszcze mnie upokorzył.

— Wobec tego jesteście kwita — uznała Magusia. — Mało tego, profesor jest górą. Przepraszać nie musi, za to może zgniebić cię chemią. Najlepiej powiedz sobie już dzisiaj, że jest to twój ulubiony przedmiot, i zacznij wkuwać. Lubisz chemię?

Lilka się wykrzywiła.

— Ujdzie, chociaż wolę matkę. To niesprawiedliwe. Sama powiedz, do czego mi potrzebna chemia? Wybrałam klasę o profilu społeczno-prawnym, chcę iść na dziennikarstwo, a mam sobie zawracać głowę konfiguracją elektronową atomów?

— Nie rozmawiamy o sprawiedliwości, tylko o nierówności stron. Następnym razem, jak zechcesz błysnąć dowcipem, dobrze się zastanów, czy dla wątpliwego efektu warto nadstawiać głowę. A ten SMS był chociaż ważny?

Lilka zerwała się na równe nogi i popędziła do pokoju. Po wpadce zablokowała telefon i do wieczora nie wzięła go do ręki. Przeleciała wszystkie wiadomości i bez trudu znalazła tę poszukiwaną. Wróciła rozbawiona z komórką w garści.

— Kretyn jakiś albo co? Posłuchaj: „Miłość jest jak tęcza, jak barwy łączy serca, ja błękit, a ty czerwień, ta miłość jest już we mnie”.

— Błękit? Czyżbyś poznałaś jakiegoś arystokratę? — zainteresowała się Magusia.

— Ale jajo! — ucieszyła się Lilka. — Ciekawe tylko, z jakiego drzewa się urwał, bo z genealogicznego chyba nie. Przeczytać ci pierwszą wiadomość od niego?

Wprawnie wyszukała w skrzynce odbiorczej właściwy SMS. Dopilnowała, żeby Magusia przełknęła kęs i popiła go herbatą.

— To jest taka poezja, która może utknać w gardle — wyjaśniła. — Oceń sama: „Gdy usłyszysz głos gitary, a gitara pięknie gra, to nie pytaj, kto cię kocha, bo to zawsze, zawsze ja”. I co?

— Zaraz cię zaskoczę, całkiem podobny okaz znalazłam w pamiętniku babci. „Ile razy jedząc zrazy, trafisz na cebulę, tyle razy jedząc zrazy, pomyśl o mnie czule”. Tak pisywano w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

— Nie... — chichotała Lilka.

— Ależ tak, tak—zaśmiewała się Magusia. — Gitara jest co prawda wznioślejsza od zrazów z cebulą, ale poetyka podobna. Ten twój wielbiciel sam tworzy?

— Akurat! W internecie znajdziesz wszystko: okolicznościowe wiersze, życzenia dla babci, charakterystykę Balladyny i przepis na pierogi ze szpinakiem, fuj! Sama wiesz.

Magusia traktowała internet jako pomoc naukową, zwłaszcza przy tłumaczeniach, doskonale wiedziała, co może znaleźć i gdzie, jednak interesowały ją zupełnie inne strony niż córkę.

— Co to za chłopak? — spytała, kiedy już wyśmiały się do woli.

— Pojęcia nie mam kto, a tym bardziej skąd ma mój numer — wyjaśniła Lilka. — Niewielu znam facetów spoza szkoły. Starzy kumple z gimnazjum, trzech kumpli Mikołaja, dwóch kuzynów Oliwii, bo ja wiem, kto jeszcze? Ale to raczej żaden z nich i na pewno nikt ze szkoły. Chłopacy z klasy nie interesują się mną, oczywiście z wzajemnością.

— Martwi mnie, że nie próbujesz zżyć się z klasą — powiedziała Magusia. — W gimnazjum byłeś duszą towarzystwa, a tu nagle taki dystans. Czemu?

— Bo ja wiem? — zamyśliła się Lilka. — Mam nasze trio, ostatnie już takie, i chyba nikt więcej nie jest mi potrzebny.

Zamyśliła się, bo nie umiała odpowiedzieć na to proste pytanie, chociaż zastanawiała się nad nim nie po raz pierwszy. Może to było tak, że gimnazjum, jako obowiązkowe, skupiało różnych ludzi o różnych ambicjach i nikt się nie dziwił, że jedni pracują więcej, inni mniej lub wcale. Podpowiadanie, ściąganie to była normalka, bo niepisany kodeks mówił, że czym jak czym, ale wiedzą i bułką trzeba się dzielić. W liceum spotkali się ludzie ze świadectwami z paskiem i oni przestrzegali całkiem innego kodeksu. Mikołaj mówił, że był to kodeks szczurów, które zaczynały swój wyścig już w liceum. Mikołajowi można było wierzyć, wybierał się na politologię i miał rozeznanie. Klasa od początku wydawała się dziwna. Najpierw z niebytu wynurzyła się grupa łowców piątek, czyli pospolitych kujonów, tuż po nich, jakby dla przeciwwagi, pojawiła się grupa luzaków, a cały środek przypominał galaretowatą, wечно trzęsącą się masę, która każdą lekcję witała z obłędem w oczach. Dziwne, ale ludzie środka jeszcze nie tak dawno też należeli do najlepszych, przynajmniej w swoich gimnazjach. Zmieniając szkołę, najwyraźniej o tym zapomnieli. Lilka była przekonana, że dobrego kumpla lub kumpelkę wyczuje intuicyjnie. Od sześciu tygodni jej intuicja spała.

Próbowała to jakoś wytłumaczyć Magusi: — Nie ma nikogo, z kim chciałabym się zbratać — westchnęła. — Kujonów nie cierpię. Kujon tym się różni od normalnego człowieka, że nie obchodzi go, czego się uczy, byle dostał piątkę. Z takim sobie nie pogadasz. Całą wiedzę trzyma dla siebie, nie podpowie, żeby, broń Boże, ktoś

inny nie dostał lepszego stopnia. Z luzakami niewiele mnie łączy. Niby nie uczę się dla stopni, ale doceniam ich zróżnicowanie. A cała reszta jest albo bez wyrazu, albo zbyt wyrazista. Zobaczyłabyś, jak niektóre dziewczyny przychodzą ubrane. Szok. Masz, co chcesz: impreza, bal z myszką, bal przebierańców. Jest taka jedna laska, nowoczesna do bólu. Na głowie pasemka koloru oberżyny, na paznokciach tipsy, całość dyskotekowa, ale ujdzie. Ledwie się do mnie przyczepiła, natychmiast ją spławiłam. Powiedziałam: „Jak chcesz ze mną gadać, kotku, to po polsku albo po angielsku, proszę uprzejmie, a jak chcesz kurwami rzucać, to zjeżdżaj tam, gdzie cię rozumieją”. Krótka piłka i po krzyku. Ja już wyrosłam z tego szamba, w gimnazjum przerobiłam całe to bluzganie, a teraz mam w dupie, czy jakieś głupie lasencje będą mnie uważały za równą czy nierówną.

— Chyba jeszcze całkiem nie wyrosłaś. — Magusia pokiwała głową.

Od kilku lat toczyła wojnę o czystość języka, uczuła córkę na piękną polszczyznę i obrzydzała jej rynsztokowy bełkot. Wreszcie doczekała się efektów. Lilka nie tylko potrafiła odróżnić prawdziwą poezję od grafomanii, ale miała też odwagę sprzeciwić się modzie na przeklinanie. O jej język Magusia była w miarę spokojna. W miarę nie znaczy, że do końca.

Pomyślała z rozbawieniem, iż całkiem niechcący urodziła małe kociątko, ciekawskie stworzonko, które samo musi wszystko sprawdzić, dotknąć, powąchać, ale wybiera tylko to, co mu odpowiada. Nie tknie gorącego jedzenia, choćby nie wiadomo jak pięknie pachniało, i zagłaskać też się nie pozwoli.

— Wyrosłam, wyrosłam — mruknęła Lilka i przeciągnęła się niczym rozleniwiona kotka, całkiem jakby czytała w myślach matki. — Czasem tylko, jak się wkurzę, to jeszcze coś palnę, ale w normalnej rozmowie nigdy.

— Zamiast się wkurzać, popracuj nad sobą.

— Pracuję, ale life is brutal and full of zasadzkas and pułapkas and wilczas dolas.

— A to po jakiemu? — Magusia się roześmiała.

— To ulubione powiedzonko Raja. Raja, Magusiu, nie jakiegoś tam raj, którego nie wiadomo gdzie szukać. Raja szukać nie trzeba, nawet jak zahula, to w końcu zawsze się znajdzie. To najlepszy kumpel Mikołaja i naszego tria.

— Zahula?

— No... wyjdzie w sobotę rano na przykład do Damiana i zamelduje się w domu w poniedziałek, też nad ranem. Nic złego nie robią — zapewniła energicznie. — Jadą na działki, słuchają rapu, kłócą się o hip-hop, zmieniają świat i robią zrzutę na pizzę... Może i na piwo, nie wiem, ale raczej tak. Całe przewinienie Raja sprowadza się do tego, że zapomina uprzedzić swoich starszków.

Magusia była zbyt doświadczoną matką, żeby wypytywać o więcej, dziwić się lub krytykować postępowanie chłopaka. Gdyby zaczęła mówić, co sądzi o takich hulankach, Lilka, dla świętego spokoju, następnym razem nic by nie powiedziała. A Magusia chciała wiedzieć jak najwięcej o ekipie (słowo „paczka” powoli wychodziło z mody), z którą trzymała jej córka. Znała Raja i lubiła, na szczęście nie jego miała wychowywać, tylko Lilkę.

- Umiąłabyś tak zniknąć z domu na dwie doby? — spytała.

- A po co? - zdziwiła się Lilka. - Nie za bardzo lubię nocne dyskusje. Kiedy mi głowa opada, to myślę, jak ją podnieść, a nie co powiedzieć. Poza tym — roześmiała się — ty masz rzadki dar przekonywania. Nawet jeśli czasem chcę zrobić coś po swojemu, to i tak w końcu muszę przyznać ci rację. Cieszę się, że trafiłam na ciebie, a nie na ciotkę Lesię lub Emilkę.

- Nie będzie mnie przez jakiś czas przy tobie. Wystarczy ci zdrowego rozsądku, żeby nie zrujnować sobie życia?

- Spoko, Magusiu! Spoko! Dawłaś mi tyle swobody, że teraz nie zgłupieję od jej nadmiaru. Spróbuję żyć jak dotąd, tyle że... bez ciebie. - Głos jej zadrżał, więc szybko zmieniła temat. — A jeśli chodzi o moją klasę, to sama widzisz, że nie ma tam nikogo interesującego.

- Do matury zmienisz zdanie, zobaczysz — powiedziała Magusia. Spojrzała na zegarek i poderwa-



ła się z fotela. — Późno, a ja jeszcze w lesie — mruknęła.

Lilka z własnej woli zebrała naczynia i wzięła się do zmywania.

— Aha! — zawołała z kuchni. — Udał ci się ten święty Tomaszek, złapałam aluzję.

— Tam było jeszcze jedno zdanie — roześmiała się Magusia. — „Panie, wyzwól mój umysł od niekończącego się brnięcia w szczegóły i daj mi skrzydeł, bym w lot przechodził do rzeczy”. Uznałam, że to już umiesz. Inna sprawa, czy twoje skojarzenia zawsze są trafne.

— Znasz ten tekst na pamięć? — zdziwiła się Lilka.

— Nawet nie wiesz, jak często z niego korzystam! — zawołała Magusia już z gabinetu.

## 5.

Aldona została Aldoną na cześć wieszczą Mickiewicza i miało to miejsce ładnych kilka lat wcześniej. Nauczycielskie przydomki przechodziły z rocznika na rocznik, bo nie było sensu wymyślać nowych, jeśli stare wciąż pasowały. Można było jedynie mieć nadzieję, że oblubienica Wallenroda nie wyglądała tak ciężko i przysadziście jak wychowawczynie I e. Kiedy Aldona wchodziła do klasy, podłoga drżała. Miała posturę budzącą respekt i zdecydowany sposób bycia, który sprawiał, że uczniom przechodziła ochota na wygłupy. Cieszyła się opinią profesorki wymagającej, w miarę sprawiedliwej i obdarzonej specyficznym poczuciem humoru, co potwierdziło się już w pierwszych tygodniach nauki.

W piątek na godzinie wychowawczej Aldona wróciła do wyborów samorządu klasowego. Na początku roku dała podopiecznym trochę czasu, żeby zdążyli się poznać i zorientować w swoich możliwościach. Teraz uznała, że darowany czas się skończył. Ledwie padło zwyczajowe pytanie: „Kogo proponujecie?“, w klasie zapadła cisza. Słyszać było jedynie brzęczenie spóźnionej muchy, która jeszcze nie zasnęła lub już się obudziła.

— Co z wami? — spytała zdziwiona wychowawczynie. — Władza pcha się wam w ręce, a wy jej nie chcecie?

— Pani sorko, mucha okropnie hałasuje — błysnął żartem ktoś z ostatnich ławek.

— Widać u was tylko muchy chcą rozmawiać o swoich programach wyborczych — stwierdziła Aldona ku uciesze klasy.

Lilka przyczaiła się i czekała na odpowiedni moment. Była przekonana, że najpoważniejszego kandydata najlepiej zgłosić na końcu, bo tylko wtedy ludzie są w stanie zapamiętać rekomendację i uwzględnić ją w momencie wyboru. Usiadła bokiem, tak jak wszyscy, żeby widzieć możliwie najwięcej osób. Pierwszy podniósł rękę Paweł, jeden z klasowych dzokerów.

— Jak zgłosi Filipa, będziemy mieli rządy błaznów — szepnęła Oliwia.

Paweł całkiem niepotrzebnie zaczął nawijać o odpowiedzialności, trochę się zamotał, wreszcie wypalił.

— Zgłaszam kandydaturę Lilki Grant.

Lilka z wrażenia o mało nie zleciała z krzesła. Obecność Aldony wykluczała pyskówkę, więc obiecała sobie, że zaraz po lekcjach przerobi Pawła na karmę dla kotów, i nawet zdążyła to szepnąć Oliwii. Szmery w klasie, a nawet krótkie chichoty świadczyły, że zaskoczonych osób było więcej.

— Uzasadnij swój wybór — poprosiła Aldona.

— Wspominałem już o odpowiedzialności — brnął dzielnie Paweł — i uważam, że Lilka jest odpowiedzialna. Zaimponowała mi swoją postawą, kiedy

przy całej klasie przeprosiła Pik... znaczy sora Kowalskiego. Podpaść każdy może, ale nie każdy potrafi tak odpowiedzialnie wybrnąć. Poza tym Lilka jest zdecydowana, wie, czego chce i... i ogólnie jest bardzo fajna.

— Zwłaszcza nogi ma fajne! — rzucił któryś z chłopaków.

Aldona obrzuciła żartownisia spojrzeniem znad okularów.

— Do sprawowania funkcji bardziej przydaje się głowa — powiedziała głosem wykluczającym dalsze dygresje.

. Lilka rzadko panikowała, ale tym razem miała kłopot z zebraniem myśli. Podejrzewała żart, jednak Paweł najwyraźniej nie żartował, więc musiała bardzo się skupić na zręcznym wybrnięciu z niezręcznej sytuacji. Za nic nie chciała pozwolić, by wrobiono ją w jakąkolwiek władzę. Zapytana o zgodę, musiała powiedzieć coś sensownego. „Panie, daj mi skrzydeł, bym w lot przeszła do rzeczy” — mruknęła pod nosem. I pomogło.

— Dziękuję za zaufanie — powiedziała — ale my jeszcze mało się znamy i Paweł nie może wiedzieć, że ja w życiu nie pełniłam żadnej funkcji społecznej. Brakuje mi doświadczenia, umiejętności, a przede wszystkim zapału do tego typu pracy. Mam natomiast

bardzo dobrego kandydata, którego teraz oficjalnie zgłaszam. Myślę o Mikołaju Podlaskim. Mikołaj, w przeciwieństwie do mnie, zawsze udzielał się społecznie. Wiem, bo znamy się wiele lat. Jest świetnym organizatorem i ręką za jego odpowiedzialność oraz uczciwość. Poza tym Mikołaj wybiera się na politologię i niewykluczone, że kiedyś będzie sprawował władzę. Taka praktyka może mu się przydać.

Pomysł był obgadany wcześniej, więc Mikołaj nie udawał zdziwienia. Inni wykręcali się, nawijali z sensem lub bez niego, w końcu jednak udało się wyłonić czterech kandydatów. W ostatniej chwili zgłosił się piąty. Sam się zgłosił, co — sądząc po dziwnych szmerach—wywołało spore zaskoczenie. Chłopak, nazwany przez trio Prymusikiem, miał fantastyczny tupet.

— Odniosłem wrażenie — powiedział — że wszyscy kandydaci robili nam łaskę, godząc się na startowanie w wyborach.

— Przepraszam — zaprotestował głośno Mikołaj — ja nie robiłem łaski.

— A ja ci nie przeszkadzałem — odparował Prymusik. — Powiedzmy, że nie wzbraniałeś się zbyt jawnie. Zadowolony? Jeśli tak, to daj mi skończyć. Nie ma nic gorszego od obejmowania stanowisk z łaski. Wybaczenie, ale z łaski daje się na tacę w kościele, natomiast w samorządzie trzeba pracować. Ja chcę pracować i dlatego oddaję się do waszej dyspozycji. Mam wieloletnie doświadczenie, chęci i celne pomysły. Dołożę wszelkich starań...

— Bla, bla, bla, co on wygaduje — szepnęła Oliwia.  
— Kandydat na dyktatora się znalazł.

Prumusik przepadł w wyborach, lecz nie z kretesem, co znaczyło, że nie wszyscy widzieli w nim dyktatora. Zabrakło mu dwu głosów, żeby przebić Martynę. Drugi był Szymon, natomiast Mikołaj, ku swojemu zaskoczeniu, wyszedł na prowadzenie.

Godzina wychowawcza była ostatnią lekcją i bodaj po raz pierwszy na dźwięk dzwonka nie wszyscy uczniowie rzucili się do ucieczki. Spora grupka została, żeby jeszcze chwilę pogadać. Prymusik, zanim opuścił klasę, podszedł do Mikołaja.

— Gratuluję — wycedził. — Nie myśl, że martwię się przegraną. Przejdę do opozycji i będę pilnie obserwował wszystkie twoje posunięcia. Mój czas jeszcze nadejdzie.

— Ten facet mnie przeraża — wzdrygnęła się dziewczyna z białymi włosami, w których połyskiwały pasemka koloru oberżyny.

— Ma tupet, gadane i daleko zajdzie — rzucił ktoś.

— Ale żeby tak jawnie upominać się o władzę! — wykrzyknęła oberżyna, dorzucając dla efektu kilka słów niezbyt cenzuralnych.

Mikołaj popatrzył na nią z lekkim rozbawieniem. Umiał tak patrzeć spode łba, ni to z uśmiechem, ni to poważnie, co na dziewczynach robiło odpowiednie wrażenie. Zresztą czarował nie tylko uśmiechem. Miał wzrost i wygląd: włosy krótko ostrzyżone, na

policzkach wyraźny cień zarostu, niezłe ciuchy, więc było na czym oko zawiesić.

— To taki styl — powiedział spokojnie. — Facet sam się lansuje i wmawia wyborcom, że jest dobry, ma doświadczenie i lepszego kandydata nie znajdują. Jest przekonany o własnej wartości i mówi o tym głośno. Nie jest to złe.

— Odrażające! — upierała się oberżyna. — Przynajmniej w jego wykonaniu. — I ta gadka na koniec. Całkiem jakby próbował cię zastraszyć. Ja bym takiemu pokazała o tak!

Machnęła pięścią, z której dumnie sterczał środkowy palec ozdobionym wielkim tipsem.

— No coś ty! — Mikołaj się roześmiał. — Mam pozdrawiać politycznych przeciwników środkowym palcem?

— Nie wypada? — spytała cicho oberżyna. Opuściła rękę i wyglądała niewinnie niczym niemowlę z reklamy pampersów.

— Nie wypada — przytaknął. — Ja sobie z nim poradzę bez takich gestów.

— Wierzę. Od razu widać, że masz styl i nie pękasz przed byle dupkiem. Dobrze zrobiłam, że głosowałam na ciebie. Takich ludzi nam trzeba.

Mikołaj zarumienił się z zadowolenia, a Lilka mrugnęła do Oliwii. Ich przyjaciel był niesamowicie łąsy na komplementy i nie miały złudzeń, jak będzie wyglądała reszta popołudnia. Otóż najbliższe godziny upłyną im na wysłuchiwanie gadki o inteligencji oberżyny.

— Ona mi się nie podoba — szepnęła Oliwia. -Nie dość, że wchodzi bez mydła, to jeszcze strasznie przewraca oczami. Od razu widać, że nie nosi soczewek, bo dawno by je pogubiła.

— Opuść! — Lilka machnęła ręką. — Widać przecież, że zarzuciła przynętę, a rybka już tańczy na haczyku. Przez jakiś czas będziemy ją miały na karku. Spoko, damy radę. Zaczniemy laszkę tępować za bluzgi i sama pójdzie.

Zacząły się w pośpiechu pakować. Oliwia musiała odebrać jeszcze Miśkę z przedszkola. Lilka na moment podeszła do Pawła.

— Dzięki, stary, że pomyślałeś o mnie, ale ja się naprawdę nie nadaję do zabawy w te klocki. Trochę mnie przeceniłeś.

— No co ty! Nie ma sprawy. Nie cierpię smutasów, chciałem, żeby wygrał ktoś z jajami, kto kocha zabawę.

— Marzą ci się rządy błaznów?

— No właśnie! — ucieszył się, bo lubił być właściwie rozumiany.

Przytrzymał ją za rękaw. Delikatnie, tak tylko, żeby nie odeszła.

— Ty, Lilka...

Patrzył niepewnie, jakby nagle zaniemówił.

— Streszczaj się, muszę lecieć. ...



— No bo chodzi o to, czy nie poszłabyś ze mną w niedzielę na osiemnastkę do kumpla — wykrztusił wreszcie, przeplatając swój krótki wywód aż trzema kwiecistymi przecinkami.

— Tak ładnie prosisz, stary, że trudno ci się oprzeć, ale, sorry, niedzielę mam zajęta.

Okrasiała odmowę najładniejszym ze swoich uśmiechów i już jej nie było.

Trio wyszło w komplecie. Mikołaj wciąż przeżywał sukces wyborczy.

— Nie wiesz, dlaczego cię wybrali? Nie wiesz?

— dopytywała się Oliwia. — To ja ci powiem. Każdy twój ruch, każdy twój gest świadczy o tym, że jesteś the best.

Teraz i on musiał się roześmiać.

— Oberżyna wyznała ci to samo tylko bez rymów

— zauważyła Lilka.

-Kto?

— Ta siwa blondynka z pasemkami.

— Przecież to Majka! — powiedział Mikołaj. — Fajna dziewczyna i mówiła całkiem rozsądnie.

Całą drogę przytakiwały skwapliwie, mrugając do siebie za plecami kolegi. Oliwia zostawiła Lilkę z Mikołajem przy furtce, a sama pobiegła po siostrę.

— Tylko już ani słowa o wyborach — mruknęła Lilka. — Mieliśmy wybrać samorząd, więc wybraliśmy, ale wiedz, że dla mnie nie ma to najmniejszego znaczenia.

— Mówisz poważnie?

— A jak? Fikam nogami, stroję małpie miny? Mówię jak najpoważniej. Mnie samorząd nie jest do niczego potrzebny.

— To zobaczysz, jak polecimy po całości. Zaczniemy od wystąpienia do dyrekcji o zmianę nauczyciela geografii.

— Odbiło ci?

— Dlaczego? Podobają ci się lekcje Rybki? Bo mnie ani trochę. Na maturze mam zdawać rozszerzoną geografie.

— Zawsze możesz sam pouczyć się w domu.

— Pewnie jeszcze każesz mi brać korki? Nie mam czasu na takie rzeczy. Siłownia, dodatkowy francuski, lekcje... Wybacz, ale weekendów nie będę sobie marnował z tak błahego powodu, że komuś nie chce się porządnie poprowadzić zajęć. Sama powiedz, czy ona nas nauczy geografii?

Lilka pokręciła bezradnie głową. Już miała powiedzieć, że nauczyć to Rybka niewiele nauczy, niemniej głupio jakoś występować jawnie przeciwko nauczycielowi, i to z wieloletnim stażem. Nie zdążyła otworzyć buzi. Na schodkach pokazała się Miśka i już z daleka szczyrzyła się serdecznie, demonstrując dziurę po górnej jedynce. Zaczęło się powitalne zamieszanie z żółwikiem i przybijaniem piątki. Miśka dla Lilki i Mikołaja była przyszywaną siostrą. Można powiedzieć, że wspólnie ją wy-niańczyli. Towarzyszyła im w niejednym wypadzie i niejednym wygłupie. Była żywa, bystra i nad wiek

rozgarnięta, więc awansowali ją na swoją maskotkę.

— Zgubiłaś ząbek — uśmiechnęła się Lilka.

— Odrośnie — pocieszyła ją Misia.

— Z kim idziesz? — spytała Oliwia.

Nie oczekiwała odpowiedzi. Wiadomo było, że Miśka przypnie się do Mikołaja i jemu poda rękę, niemniej należało to ustalić głośno i wyraźnie. Ze dwa razy już zgubili małą, kiedy tak szła między nimi sama i nieprzypisana do nikogo.

— Ale zimna jączka. Nie masz jękawiczek? — zainteresował się Mikołaj.

— Nie mówi się tak, mówi się „rączka” i „rękawiczki” — poprawiła go z powagą.

— I hura, niestety! — powiedział Mikołaj, ale tak, żeby słyszały wyłącznie dziewczyny.

Misia dość długo, gdzieś do czwartego roku życia nie wymawiała „er”. Mówiła „jowej”, „kujtka”, więc nauczyli ją wołać „hura” i klaskać w ręce. Bardzo szybko stała się dzieckiem wyjątkowo entuzjastycznym i z byle powodu klaskała i krzyczała. Ta okrzykomania skończyła się dokładnie 24 czerwca w imieniny Jana. W ogrodzie pełnym gości Misia miała zadeklamować wierszyk na cześć taty. Odklepała wierszyk na jednym oddechu, nabrała powietrza i zakończyła swój występ potrójnym „hura”. Słyszał cały ogród i jeszcze ze dwa sąsiednie. Goście popłakali się ze śmiechu, natomiast Oliwia dostała wieczorem surową reprimendę. Krótco potem Miśka nauczyła się wymawiać „er” i cała sprawa poszła w niepamięć.

Oliwia mieszkała w domku jednorodzinny. Był to typowy dla lat sześćdziesiątych budynek o kształcie pudełka. Po kapitalnym remoncie, podniesieniu dachu i dobudowaniu tarasu bardzo zyskał na urodzie. Jego największy atut stanowił niewielki, za to fantastycznie zadbane ogród. Miśka uparła się, że chce jeszcze pobawić się na dworze.

- Zjesz coś i wyjdiesz — zgodziła się Oliwia. Kiedy starsza młodzież ściągała kurtki i buty,

Misia zademonstrowała swój patent na rozbieranie. Przy drzwiach zostawiła buty, potem, idąc wzdłuż przedpokoju, kolejno rzucała na podłogę skafander, czapkę i szalik. Mamrotała przy tym pod nosem:

- Strasznie bałaganisz, Misieńko, nikt się tak nie rozbiera.

- No właśnie, dlaczego tak bałaganisz? - spytał Mikołaj.

- Przecież wiesz, że nie bałaganię, tylko zaraz wychodzę. Będę się ubierała w odwrotnej kolejności.

Rozumowanie było nad podziw logiczne, zresztą znali je od dawna. Ostrożnie, żeby niczego nie podeptać, przeszli do dużego pokoju, a Miśka z Oliwią zniknęły w kuchni.

- Ugotować ci budyń? Kto je budyń, będzie wielki.
- Wolę kanapkę, będzie prędzej.
- Umyj ręce.

— Warto? Zaraz wyjdę na dwór i znowu się pobrudzą.  
Oliwia nie ustąpiła. Miśka pogoniła do łazienki i podejrzenie szybko wróciła do kuchni.

— Oj, Misiu, Misiu — mała powiedziała sama do siebie — przed jedzeniem zawsze trzeba myć ręce z zarazków.

— Jak znam życie - odezwała się Oliwia — wszystkie zarazki zostawiłaś na ręczniku.

— Ale na swoim — zauważyła rezolutnie Misia.

— Nie chcę mieć siostry bałaganiary i brudaski — dodała z wyrzutem Oliwia.

Misia zachichotała.

— Wiem, dlaczego nie zaprosiłaś gości do swojego pokoju! Nie pościeliłaś rano łóżka i nie wywaliłaś starych kwiatów. Pewnie już śmierdzą.

— Czy ja cię o coś pytałam? — zdziwiła się Oliwia.

— Tak. O zarazki — wyjaśniła mała i zamilkła na dłużej, co znaczyło, że zajęła się jedzeniem.

Oliwia wniosła do salonu tacę z herbatą i domowymi ciastkami.

Po wyjściu Miśki mogli wreszcie spokojnie pogadać o swoich sprawach. Jak mawiał Mikołaj, życie było ciężkie tylko przez pięć dni w tygodniu, a zaczął się właśnie weekend, czyli czas wymagający starannego zaplanowania. Nie mieli zbyt wielkiego wyboru: kino, pub, może wieczór przy muzyce, i to wyłącznie w sobotę. W niedzielę Lilka miała rodzinny obiad, Mikołaj spotykał się z kumplami, a Oliwii wypadał wyjazd do babci. W końcu nic specjalnego nie wymyślili, ale przecież w każdej chwili mogli się skrzyknąć.

-Telefon! - zawołała Lilka. - Zapomniałam wam powiedzieć, że mam nowego wielbiciela. Posłuchajcie, co mi przysłał.

Wyciągnęła komórkę i próbowała przeczytać ostatni SMS, co wcale nie było proste. Nadawca pomiął kropki i przecinki, więc z trudem przedzierała się przez stylistyczne zawilości. Mikołaj rozszyfrował tekst jako mniej więcej rapowy i tak go podał. Przepiękując z nogi na nogę, chwiejąc się jak topola na wietrze, recytował: „Siedzę sam, nie wiem, w co się wpatruję. Tym problemem jesteś ty, w każde moje wtrącasz się sny. Brakuje mi ciebie, brakuje mi pewności siebie, sam nie wiem, czego chcę. Nie, już wiem! Ciebie chcę”.

Lilka z Oliwią piszczały z uciechy, więc zafundował im bis. Wplótł kilka słów, których nie wypada używać jedynie przy konfesjonale, i stworzył prawdziwy manifest buntu. Trudno było ustalić, przeciwko komu lub czemu ten bunt był skierowany, ale to nie miało znaczenia.

— Facet ma przez ciebie problemy ze spaniem. - zauważył Mikołaj. - Nie zazdroszczę mu takiego doła. Co to za jeden?

Lilka wzruszyła ramionami.

-Pojęcia nie mam. Przemawia do mnie językiem... powiedzmy, że poezji, ale się nie podpisuje.

— A numer?

— Buta czy kołnierzyka? — spytała, dusząc się ze śmiechu.

— Komórki.

— Nie mam go w kontaktach. Mikołaj pokręcił głową.

— Przecież wyświetla ci się na ekranie. Wystarczy zadzwonić.

— Taka bystra to i ja jestem. I tu zaczyna się zagadka. Po drugim SMS-ie zadzwoniłam i zamurowało mnie. Równie dobrze zamiast „Halo!” ten facet mógł powiedzieć „Czego?”. Głos miał... na pewno stary, ale nie wiem: zakatarzony albo przepity. Krzyczał, bo tam u niego strasznie coś hałasowało, jakby jakieś maszyny. Nie zakumał i chyba nie wiedział, co to jest SMS.

— No co ty, bajery podkręcał i tyle! — Oliwii nie mieściło się w głowie, że ktoś mógł nie wiedzieć, co to jest SMS.

Lilka energicznie zaprzeczyła.

— Nie, to nie był ten facet. Komórka jego, wyznania raczej nie. Próbowałam podpytać, ale huknął na mnie, że kradnę mu pieniądze.

— Niby jak? — zdziwiła się Oliwia.

— Pewnie myśli, że wszystkie połączenia są płatne, bez względu na to, czy on dzwoni, czy dzwonią do niego.

— Niezły lover ci się trafił — zasepił się Mikołaj. — Trudno zgadnąć, co zjadł, że mu się poezją odbi-

ja. Normalny by się przedstawił, próbował umówić, a psychol śle wierszyki z cudzej komórki.

— Ojej, zaraz psychol — zaprotestowała Lilka. — Może tylko nieśmiały.

— Może — zgodził się bez przekonania Mikołaj.

— Na wszelki wypadek ustaw sobie mój numer na szybkie wybieranie.

— Pogięło cię chyba? Od stu lat mam cię pod dwójką.

-1 bardzo dobrze. Gdyby coś, dzwoń natychmiast.

— Boisz się, że ją porwie i uwięzi? — Oliwia się roześmiała. — Romantyczne czasy już się skończyły, niestety.

— Właśnie dlatego, że czasy mało romantyczne, ktoś musi nad wami czuwać. Umówmy się, że to będę ja.

— Chcesz, to czuwaj — zgodziła się łaskawie Lilka

— ale my z Oliwią też umiemy o siebie zadbać.

Lekceważące machnięcie ręki świadczyło, że nie za bardzo w to wierzył. Czuł się dorosły, choćby z racji wieku. Miał to szczęście, że przyszedł na świat dwunastego stycznia, w dniu świętego Mikołaja z Longobardii, i za dwa miesiące kończył siedemnaście lat. Lilka, urodzona w grudniu, rocznikowo była szesnastolatką, lecz według metryki wciąż jeszcze piętnastoletnią smarkulą.

— Pamiętaj, Lilka — ciągnął — jeden sygnał z wiadomością, gdzie jesteś, a ja zbieram kumpli i organizujemy odsiecz. I żadnego łażenia z nieznajomymi!



— Przecież wiem — mruknęła.

Wiedział, że ona wie, że obie z Oliwią wiedzą, jednak na wszelki wypadek wstukał do swojej komórki numer, który wyświetlił się przy SMS-ie. Odkąd zauważył, że jego przyjaciółki zaczęły dostrzegać w chłopakach kogoś więcej niż tylko kumpli od wygłupów, roztoczył nad nimi męską opiekę. Potrafił powiedzieć: „Odpuść sobie, to model nie dla ciebie”. One odpuszczały albo nie, jednak zaczynały główkować. I bardzo dobrze, bo przecież chodziło tylko o to, by nie leciały jak ćmy do ognia. Już Mikołaj najlepiej wiedział, który chłopak jest odpowiedzialny, a który to pozer. Trochę gorzej radził sobie z dziewczynami, na szczęście miał dwie bystre przyjaciółki. One też umiały powiedzieć: „Wyluzuj! Zanim się obejrzysz, ona ogłosi wasze zaręczyny!”. Luzował więc, bo wierzył kobiecej intuicji. Pary się rozpadały, a trio nie.

## 6.

Magusia lubiła gotować jedynie wówczas, kiedy nie musiała myśleć o stu rzeczach równocześnie. Niestety, ostatnio myślała o stu pięciu i ciągnęła resztkami sił. W pracy przekazywała swoje stanowisko nowej lektorce, w domu wychodziła ze skóry, żeby skończyć tłumaczenie książki, i zadrezczała się wyjazdem. Wciąż nachodziły ją wątpliwości, czy aby dobrze robi, zostawiając na pastwę losu swoje dorastające kociątko. Niby niegłupie i samodzielne, jednak łase na czułości i rozchwiane emocjonalnie, lub tylko skłonne do rozchwiania, co na jedno wychodziło.

Na niedzielny obiad Magusia zaprosiła siostry z mężami, brata z żoną i Natalię, najbliższą przyjaciółkę. Do stołu miało zasiąść dziewięć osób. W przeliczeniu na zupę, krokiety i surówki dawało to wiele godzin spędzonych w kuchni. Lilka podpowiadała restaurację, ale to nie był najlepszy pomysł.

- Do restauracji zaprasza się normalnych ludzi, nie moją rodzinę — zaprotestowała Magusia. — Po pierwsze, nie znam lokalu z telewizorem, po drugie, już słyszę te ich narzekania na jedzenie i obsługę. Wstydu sobie narobimy, a ciotki i tak wyjdą prze-

konane, że chciałam je otruć. Zamówiłam catering. W niedzielę rano dowiozą cały obiad. To dobra firma, w szkole często ją wynajmujemy.

— Myślisz, że cioteczki dadzą się wyprowadzić w pole?

— Oczywiście, co nie znaczy, że będzie im smakowało. One wszystko najlepiej robią same. A jeśli przytrafi im się wpadka, jak Emilce z bigosem czy Lesi z galaretką, natychmiast o niej zapominają.

— Ostatni sernik ciotki Lesi był nie do przełknięcia - wzdrygnęła się Lilka. - Chyba pomyliła sól z cukrem... Brr.

— A powiedz jej to! — roześmiała się Magusia i natychmiast spoważniała. — Oj, będzie się tu dzisiaj działo, będzie. Aż strach pomyśleć.

— Nie rozumiem — powiedziała z wyrzutem Lilka

— dlaczego uparłaś się, żeby opowiadać całej rodzinie o swoim wyjeździe. Nim ciotki się zorientują, że ciebie nie ma, zdążysz wrócić. Rozmawiacie tylko wtedy, kiedy ty do nich dzwonisz. Przecież one nie szukają kontaktu z nami, oszczędzają na telefonach albo mają nas głęboko w nosie.

— Dopóki się nie pokłócą — zauważyła Magusia.

— Po każdej ostrej sprzeczce natychmiast wydzwaniamy, żeby naskarżyć na tę drugą. Ostatnio ścinają się dość często. W gruncie rzeczy to są drobne dziwactwa, na które trzeba przymknąć oko. Popatrz, idą święta, a każde święta spędzaliśmy razem. Nie chcę, żebyś została zupełnie sama. W trudnych chwilach

rodzina bardzo się przydaje, nawet taka zdziwaczała jak nasza.

- Jest pani Natalia. Bardzo ją lubię, o wiele bardziej niż rodzinę. Dwa razy w tygodniu jestem u niej na rosyjskim. To najwspanialsza Rosjanka, jaką znam.

- Natalia nie jest Rosjanką - poprawiła ją Magusia.

- Robi fantastyczne bliny i kulebiaki, więc duszę musi mieć rosyjską.

- Jej dziadkowie byli repatriantami...

- Jakie to ma znaczenie, Magusiu! - wykrzyknęła Lilka. - Chcę ci tylko powiedzieć, że gdybym miała jakieś kłopoty, mówię gdyby, a nie, że będę miała, więc gdyby... to ja tylko do pani Natalii. Przynajmniej zrozumie, co do niej mówię, wysłucha, doradzi. O czym mam gadać z ciotkami? Seriali prawie nie oglądam, sportem interesuję się średnio, a inne tematy nie wchodzi w rachubę, bo te z kolei ich nie interesują.

- Bardzo dobrze, że jest Natalia, ale... rodzina to rodzina. To są słowa twojej babci. Dopóki żyła, trzymała nas w kupie, więc może gra warta jest świeczki.

Magusia często się zastanawiała, jakie to siły, jakie przeciwności losu zadziały, że jej siostry, kiedyś normalne i życiowe kobiety, przeistoczyły się w dwa dziwadła. Nie były stare, jedna dobiegała pięćdziesiątki, druga ledwie ją przekroczyła, a zachowywały

się jak dziecinniełe staruszki. Dolegliwość zwana galopującym dziwactwem dopadła je, gdy przeszły na rentę, a cały ich świat skurczył się do domu, garnków i dzieci. Kiedy dzieci podrosły, zostały już tylko garnki i telewizor. Dlaczego więc innym kobietom się to nie przytrafiało? Magusia mogła wyliczyć kilkanaście znajomych, które nie pracowały zawodowo, a jednak postępowały normalnie. Choćby pani Malinowska, która raz w tygodniu przychodziła sprzątnąć mieszkanie, czy sąsiadka z piętra pani Sobolewska. Może więc, myślała Magusia, rodzina Walickich była obarczona jakimś skażonym genem, który dojrzewał także w niej. Pocieszała się tylko tym, że matka dożyła słusznego wieku w całkiem dobrej kondycji psychicznej, co by znaczyło, że gen nie u wszystkich się uaktywniał. Powolny rozpad więzi rodzinnych zaczął się jeszcze za życia matki, a po jej śmierci, podczas dzielenia pamiątek, doszło do przykrych spięć, nad którymi trudno było przejść do porządku dziennego. Z miesiąca na miesiąc rodzeństwo oddalało się od siebie i gubiło nic porozumienia. Magusia była w komfortowej sytuacji, oprócz męża i córki miała przyjaciół i kolegów z pracy. Otaczali ją wspaniali ludzie, życzliwi i oddani. Nie mogła jednak zapomnieć o rodzinie, z którą od czasu do czasu wypadało się spotkać.

Pierwsza przytruchtała ciotka Emilka i z miejsca położyła swoją pulchną rękę na pilocie. Dla kogoś, kto tak jak ona kochał seriale, zawsze było coś godnego obejrzenia, jeśli nie na jednym, to na drugim lub trzecim kanale.

— Po obiedzie chciałabym przez chwilę z wami porozmawiać — powiedziała Magusia.

— O czym? To znaczy, tak, tak! — zgodziła się skwapliwie Emilka. — Po to się spotykamy, żeby rozmawiać. Mnie telewizor nie przeszkadza, ja mam podzielną uwagę i powiem ci, że milej się rozmawia, kiedy w tle coś brzęczy.

Ciotka Lechosława na widok Emilki przeżywającej miłosne perypetie bohaterów z miejsca straciła humor. Na Eurosporcie trwały rozgrywki ligowe i za żadne skarby nie chciała ich stracić.

— Wiesz, co ci powiem, Jagienko — perorowała głośno — przy twoich zarobkach powinnaś sobie kupić drugi telewizor. Ty chcesz oglądać to, Lilka tamto, po co się kłócić.

— Właśnie, po co? — spytała niewinnie Lilka. — Pytam, po co nam drugi telewizor, jeżeli przed jednym rzadko siadamy? Nie mamy czasu, ciociu, jesteśmy kobietami pracującymi.

— Nie każę ci oglądać głupich tasiemców, ale taki sport to przecież zdrowie.

— Uprawiany amatorsko. Sport wyczynowy prawie zawsze prowadzi do kalectwa — stwierdziła Lilka i natychmiast wybiegła do przedpokoju, żeby powitać panią Natalię.

W czasie obiadu Emilka nie dała nikomu dotknąć pilota, więc Lechosława zaczęła przypomi-

nać odbezpieczony granat. Przedrzeźniała bohaterów, wtrącała zjadliwe komentarze i wściekała się, że musi wysłuchiwać historii, którymi pogardzała. Prawdę mówiąc, wszyscy byli skazani na serial, bo Emilka od pewnego czasu nastawiała głos na cały regulator, co najprawdopodobniej oznaczało kłopoty ze słuchem.

— Powinnaś doprawiać barszczyk majerankiem! — krzyknęła Lesia. — Ja zawsze doprawiam. A ty pewno wsypałaś oregano?

— Nie smakuje ci?

— Niezły, chociaż z majerankiem lepszy. Podobne uwagi towarzyszyły wszystkim daniom, jednak obiad zyskał ogólne uznanie.

— Domowe jedzenie to domowe! — wrzasnęła Lechosława. — Nawet jeżeli kucharka nie jest mistrzem.

Magusia gładko przełknęła wątpliwy komplement, a kiedy ciotka Emilka wyszła do łazienki, oczywiście z pilotem w kieszeni, wyłączyła telewizor z sieci. W pokoju zapanowała błoga cisza.

— To rozumiem — powiedziała Lechosława. — Jak ta wariatka wróci, każ jej oddać pilota, to jeszcze obejrzę końcówkę meczu.

— Wiem, że goście mają swoje prawa, jednak dzisiaj wyjątkowo proszę, żebyście zrezygnowały przynajmniej z oglądania telewizji. Chciałam z wami porozmawiać o bardzo ważnej sprawie — powiedziała Magusia.

Z wyjątkiem Emilki i Lesi nikt nie protestował przeciwko ciszy w eterze. W końcu i ciotki dały się jakoś udobruchać, a nawet znalazły satysfakcję w prostym rozumowaniu, że ta druga też nie ogląda.

- Wyjeżdżam na kilka miesięcy do Stanów — powiedziała Magusia. - Robert po wypadku ma bezwładną rękę, muszę mu pomóc w rehabilitacji oraz w dokończeniu pracy, to znaczy w przepisaniu pod jego dyktando.

- Nie rozumiem, po co on się tam włókł, ten twój Robert. - Ciotka Lechosława wzruszyła ramionami. - Tu mu źle nie było, a tam nikt go nie ciągnął.

Magusia z trudem ukrywała zniecierpliwienie.

- Mylisz się, zaprosiła go znana fundacja. Tłumaczyłam ci już, ale wytłumaczę jeszcze raz. Po serii artykułów, jakie opublikował w anglojęzycznych pismach fachowych, fundacja zaproponowała mu pracę. Jest na kontrakcie i musi wywiązać się z umowy. To sprawa ambicji, ale też pieniędzy.

- Jaka to fundacja, bo nie dosłyszałam? - zainteresowała się Emilka.

Magusia już miała nazwę na końcu języka, kiedy wujek Anatol gwałtownie wszedł jej w słowo:

- Emilio, nawet gdybyś napisała do nich w najczystszej polszczyźnie, ciebie i tak nie zaproszą. Brakuje ci doktoratu, wiedzy na temat recyklingu i perfekcyjnej znajomości angielskiego. Przymknij się więc, z łaski swojej, i pozwól mówić Jagience.



Magusia ciężko westchnęła. Nie liczyła, że będzie łatwo, ale też nie spodziewała się aż takiej drogi przez mękę.

— Jadę — powiedziała — bo jestem mężowi potrzebna. Lilka zostaje w kraju i proszę was bardzo, żebyście zapewnili jej opiekę. Nie chodzi o niańczenie, ale życzliwe zainteresowanie.

Pewnie piorun nie spowodowałby większego zamieszania.

— Twoim największym błędem było to, że wyszłaś za Anglika — odezwała się ni z tego, ni z owego Lechosława.

- Druga mądra zabrała głos! - zdenerwował się wujek Anatol. - Robert jest w połowie Polakiem, tyle że urodzonym w Anglii. Zresztą to nie ma nic do rzeczy. Jagienka prosi nas o pomoc i trzeba się zastanowić, jak możemy pomóc.

Lilka spojrzała na wujka ze zdziwieniem, ale i z odrobiną sympatii. Nie spodziewała się, że z taką łatwością usadzi najpierw Emilkę, potem Lesię. Rzadko się odzywał i pewnie dlatego uważała go za straszego mruka. A wujek, jak już raz przemówił, nie dał sobie odebrać głosu i bezlitośnie ucinał lamenty ciotek. Gasił każdą odzywkę, która nie wiązała się z prośbą najmłodszej siostry. Gotów był nawet przyjąć Lilkę pod swój dach.

- Ustaliliśmy, że Lila zostanie tutaj, w naszym mieszkaniu — zaczęła Magusia, lecz Emilka nie dała jej skończyć.

— Głupi pomysł! — stwierdziła kategorycznie. — Gdybyś od czasu do czasu popatrzyła w telewizor, wiedziałabyś, jaka teraz jest młodzież. Seks, narkotyki, wódka, jednym słowem deprawacja.

— Ty znasz życie z seriali, ja znam moją córkę i wiem, w jakim towarzystwie się obraca — odparowała ostro Magusia.

Jeszcze wiele razy musiała podnosić głos, zanim ciotki pogodziły się z jej wyjazdem i z kukułczym jajem, jakie zamierzała im podrzucić. Nie protestowały przeciwko Lilce, bo na swój sposób ją lubiły, protestowały przeciwko siostrze, która podjęła tak ważną i nierozsądną decyzję bez pytania ich o zdanie. W końcu po wielu przykrych, czasem bezsensownych uwagach dały słowo, że zajmą się siostrzenicą jak własną córką. Głównym i pierwszym opiekunem został wujek Anatol.

— Wujek był dzisiaj super — stwierdziła Lilka po wyjściu rodziny, kiedy w mieszkaniu została jedynie pani Natalia.

— Nie uprzedzaj się do niego — prosiła Magusia  
— nie wystawiaj pazurków, a zobaczysz, że jest w porządku i da się lubić.

— Możliwe, ale mnie drażni jego drobiazgowość. Wujek nie dzieli włosa na czworo, on go potrafi posiekać na osiem części.

— Nie dziw się, kochanie! — wtrąciła pani Natalia.

— Przecież to mikrochirurg.

## 7.

Dzień wyjazdu Magusi zbliżał się nieubłaganie. Krótko przed Świętem Zmarłych skończyła tłumaczenie i wysłała książkę do wydawnictwa. Wreszcie mogła się zająć pakowaniem. Zabierała tylko najpotrzebniejsze rzeczy, ale wiadomo, jak się jedzie na kilka miesięcy, to i potrzeby są większe. Lilka starannie przeglądała odłożone ubrania.

— Ten triumph spłaszcza ci biust, po co go bierzesz?

— Spłaszcza? — zatroskała się Magusia.

— Jasne. Mogę go wywalić?

— Świetnie mieć kogoś, z kim można porozmawiać tak intymnie — westchnęła Magusia. — Wywal!

Przygotowania tak je pochłoneły, że o mały włos nie przeoczyły nadchodzącego święta.

— Musimy pojechać na cmentarz, uporządkować grób dziadków — ocknęła się Lilka.

Nie lubiła cmentarza ani Święta Zmarłych, ale kochała babcię, więc sentyment wziął górę nad niechęcią. Ulżyło jej, kiedy się dowiedziała, że Magusia dała pieniądze na kwiaty, znicze i wszystko, co trzeba, natomiast ciotka Emilka zobowiązała się umyć nagrobek i ozdobić.

— Wiedziała, że jestem zabiegana — powiedziała Magusia — i zdobyła się na taki ładny gest.

Gest może i ładny, ale przybranie nagrobka już takie nie było. Emilka straciła wyczucie. Wśród doniczek i wielkich plastikowych zniczy zmieściła jeszcze domek z pozytywką i bukiet niezniszczalnych storczyków.

— Ale kicz! — jęknęła Lilka.

Magusia nawet nie jęknęła, jednak humor straciła. Pokręciły się trochę po cmentarzu, zapaliły światełka kilku dawnym znajomym, a także ustawiły spory znicz pod tablicą pamięci ofiar zbrodni katyńskiej.

— Babcia chyba się w grobie przewróciła — mruknęła Lilka, kiedy w końcu dobrnęły do samochodu.

— A wcale nie! — uśmiechnęła się Magusia. — Tam został tylko popiół z babcinych kostek. Babcia była zbyt ruchliwa, żeby teraz siedzieć bezczynnie i pilnować truchełka.

— I co niby robi? — spytała zaskoczona Lilka.

— Jest z nami, w domu. Nie uwierzysz, ale czuję jej obecność w gabinecie. To przecież był jej pokój.

— Próbujesz mi wmówić, że wyjeżdżasz, a mnie na pociechę zostawiasz babcię? Wcale mnie nie cieszy takie obcowanie ze zmarłymi — wzdrygnęła się Lilka.

— Nie każę ci obcować, mówię tylko o pamięci — wyjaśniła spokojnie Magusia.

Nim dojechały do domu, Lilka zapomniała o całej rozmowie.

Listopadowy chłód trochę jej dokuczył, więc z radością rzuciła się na gorącą herbatę i ciasto. Magusia, z filiżanką w ręku, zaczęła przeglądać płyty. Wiadomo

było, że włączy nokturny Chopina, które, jej zdaniem, najlepiej podkreślały powagę dnia. Przy całym szacunku dla Chopina i klasyki nastolatka wetknęła w uszy słuchawki odtwarzacza ze swoją muzyką. Ledwie jej ulubiona wokalistka Ciara zaczęła śpiewać *Goodies*, Lilka poczuła, że opadają z niej cmentarne smutki. Inne, niestety, nie chciały opaść. Im bliżej było do wyjazdu Magusi, tym bardziej traciła pewność siebie. W przeciwieństwie do wielu rówieśników nigdy nie narzekała na swój dom i nie próbowała z niego uciekać. Nie miała powodów. Staruszkowie, a ostatnio już tylko Magusia, pozwalali jej żyć i spokojnie oddychać. Nie musiała kręcić jak inne kumpelki, kłamać ani motać. Dyskoteka, koleżeńska impreza, kino, proszę bardzo, byle tylko wiedzieli, z kim idzie i na jak długo. Za długo to ona sama nie wytrzymała, bo, jak wszystkie ranne ptaszki, o dziesiątej wieczorem była nie do życia. Dobrze się czuła w domu, dobrze z Magusią, a teraz wszystko miało się zmienić. Magusia wybrała męża. Lilka niby to rozumiała, bardzo dobrze rozumiała, jednak czuła w środku dziwny niepokój. Wyciągnęła słuchawki z uszu.

— Magusiu, czy rodzice kochają wszystkie dzieci jednakowo? — spytała. — Jeśli mają troje, czworo, to jak to jest?

- Nigdy nie miałam czworga dzieci — roześmiała się Magusia.

- W domu była was czwórka, to chyba wiesz.

- Nie sądzę, żeby jednakowo - powiedziała po chwili namysłu Magusia. - Zawsze trafi się jakieś jedno mniej zaradne, chore lub po prostu później urodzone, które wymaga większej troski. Poza tym dzieci też są różne. Moja mama wyraźnie faworyzowała Anatola. Jedyne syn, do tego najmłodszy.

- I nie miałyście do niej żalu?

- Pomiedzy ciotkami a mną i Anatolem jest ponad dziesięć lat różnicy. One pewnie reagowały inaczej, a ja czasem miałam żal. Najczęściej o drobiazgi, bo babcia bardzo się starała, żeby wszystkich równo traktować. Nie zawsze to się udawało.

- Kogo się bardziej kocha: dzieci czy męża?

-Dziewczynko, kogo bardziej kochasz: tatusia czy mamusię?

Lilka spojrzała zaskoczona, co Magusię rozbawiło.

- Dyżurne pytanie w czasach dzieciństwa twojej babci - wyjaśniła. - Jak dorosły chciał zagadać do znajomego dziecka, to obowiązkowo pytał o preferencje uczuciowe. Słuchaj - Magusia spoważniała -jeżeli myślisz, że jadąc do taty, wybieram jego, a ciebie odstawiam na boczny tor, to jesteś w błędzie. Prawdę mówiąc, ja mam dwoje dzieci. Twój ojciec to cudowny facet, ale naukowiec, który w normalnej rzeczywistości porusza się po omacku. Ma swoje badania, swoje idee i nie obchodzi go, czy włoży dwa buty do pary, czy każdy inny. A teraz ten naukowiec jest chory, zrozpaczony i całkiem

bezradny. Wiem, że jestem potrzebna i tobie, i jemu, uznałam jednak, że w tej chwili jemu bardziej. Ty masz nieźle poukładane w głowie i jeśli tylko zechcesz kierować się zdrowym rozsądkiem i zapanujesz nad językiem, dasz sobie radę. Podobno jesteś dorosła — dokończyła szeptem i przygarnęła córkę do siebie.

Lilka wtuliła nos w ciepłą szyję Magusi i z przyjemnością wdychała delikatny zapach jej perfum.

— Mogę ci odpowiedzieć na babcine pytanie — powiedziała cichutko. — Bardzo kocham tatę, ale nikogo na świecie nie kocham tak jak ciebie. Nie wiem, może kiedyś jakiś facet zabierze ci trochę tej miłości, chociaż facetów kocha się chyba inaczej?

Zamilkła speszona. Nie podejrzewała, że zdobędzie się na tak nieoczekiwane wyznanie wobec matki. Bardzo się kochały, to prawda, ale nie miały zwyczaju zapewniać się o swoich uczuciach ani powtarzać co dwa zdania: „Kocham cię”. Według Lilki coś takiego było sztuczną manifestacją, w której celowała ciotka Emilka. Kiedy wnuczęta przeszkadzały jej w oglądaniu filmu, mówiła, że je kocha, posyłała całuska i wyganiała do drugiego pokoju.

— Sama znalazłaś odpowiedź — powiedziała cicho Magusia i przytuliła córkę jeszcze mocniej.

Lilka poczuła, że zbiera jej się na płacz.

## 8.

Wujek Anatol podjechał o umówionej godzinie. Walizki wpakował do bagażnika, siostrę do samochodu i ruszył do Warszawy. W ten oto sposób Magusia zniknęła córce z oczu na ładnych kilka miesięcy. Nie był to miły moment. Lilka ze wszystkich sił zaciskała pięści, żeby nie rozplakać się jak dziecko i oszczędzić Magusi dodatkowego stresu. Wytrwała dzielnie, obiecała zamykać, pamiętać, nie przegapić, po czym wróciła na górę i dopiero wtedy rozmazała się na dobre. Pochlipując, odszukała DVD z *Casablancą* i wsunęła płytę do odtwarzacza. Film był niezły, jej jednak nie chodziło o film, tylko o Ingrid Bergman, która bardzo przypominała Magusię. Lilka odkryła to podobieństwo dość dawno, lecz Magusia nie chciała uwierzyć, że wygląda jak aktorka. Dopiero kiedy Oliwia i Mikołaj poparli Lilkę, przyznała z wahaniem, że może mają rację. Zdaniem Magusi Ingrid była dużo ładniejsza, zdaniem Mikołaja odwrotnie i spór pozostał nierozstrzygnięty. Lilka przychyliła się do opinii kolegi. Teraz, skoro Magusia wyjechała, Lilce musiał wystarczyć film i to, że patrzyła na kogoś bardzo podobnego.



W momencie kiedy Ingrid Bergman próbowała zastrzelić Bogarta, zadzwoniła Oliwia.

— Nie pytam, co robisz, bo jestem domyślna. Idę do ciebie — powiedziała. — A właściwie to już jestem pod drzwiami.

Lilka bez żalu przerwała oglądanie filmu, obmyła twarz zimną wodą i zaczęła przypominać człowieka.

— A Mikołaj? — spytała.

Oliwia machnęła ręką. Przez ostatnie dni Lilka była niezbyt przytomna, więc umknęło jej parę szczegółów, choćby to, że Majka oberżyna coraz jawniej kręciła się koło Mikołaja i próbowała wepchnąć na siłę do tria.

— Wszystko rozumiem — tłumaczyła Oliwia — ale facetów czasem nie rozumiem. Zabujał się, jego sprawa, zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz, tylko nie powinien zapominać, że trio nie jest kwartetem. On chce, żebyśmy pomogły Majce wyjść z kryzysu. Podobno przeżywa traumę: matka ma raka krtani, ojciec po zawale, a starsza siostra w wakacje popełniła samobójstwo.

— O kurczę! — wykrzyknęła Lilka. — Rzeczywiście można się załamać.

— Można — przytaknęła Oliwia. — Tylko ja nie widzę u niej traumy. Gdybym miała tyle nieszczęść na głowie, nie biegałabym na balety dwa razy w tygodniu i nie myślała o pasemkach i tipsach.

— Wiesz, różnie bywa. Może za wszelką cenę próbuje się trzymać i udaje przed sobą i przed innymi, że

nic złego się nie dzieje — zamyśliła się Lilka. — Kiedy dowiedziałam się o wypadku taty, też w kółko sobie powtarzałam, że nie ma tragedii, że musi być dobrze.

— Przez tydzień chodziłaś struta i nie odstępowałaś Magusi na krok. Ożyłaś nieco, kiedy poznałyście wyniki badań. Dobrze pamiętam. I to jest normalne. Ale ta laska nie zachowuje się normalnie. Niby śpieszy się do domu, bo lekarz ma przyjść, a za moment zmienia zdanie i w podskokach pędzi za Mikołajem na siłownię. Coś mi tu nie pasuje i śmierdzi fałszem. Majka pewnie ma głęboko w nosie rodzinne tragedie i myśli tylko o sobie. I to mnie u niej wkurza.

— Się zobaczy — powiedziała Lilka. — Mało ją znamy. O przyjęciu do tria nie ma mowy, ale jeśli można jej jakoś pomóc, to czemu nie.

Oliwia pokręciła się po pokoju, wzięła z tacy szklanekę i wodę mineralną. Czowała się jak u siebie w domu.

— Telefoniczny wielbiciel milczy? — spytała. Lilka z tajemniczą miną odszukała w komórce najnowszą wiadomość.

— Kochać coś to pragnąc aby to było. — Przeczytała zgodnie z zapisem, bo dopiero wtedy tekst brzmiał odpowiednio zabawnie.

— „Cos żyło”? — ucieszyła się Oliwia. — A co to niby jest to coś? Ty żyjesz, więc on może nawija o embrionie?

— Dzieciorób taki? — zdziwiła się Lilka.

Dziesięć minut później Mikołaj zastał swoje kumpelki rozchichotane i rozbawione. Sam wyglądał na zmęczonego i nie w sosie. Miał za sobą ciężką przeprawę z samorządem, z Aldoną i dyrektorką.

— Co z tobą? - spytała Oliwia. - Przypominasz faceta po przejściach.

Wzruszył ramionami.

— Edison nie żyje, Einstein nie żyje i ja też jakoś źle się czuję — wymamrotał. — Możliwe, że podłapałem grype.

— Weź proszek — poradziła Lilka.

— A co masz?

Zakręciła się i przyniosła cały listek pastylek reklamowanych jako najskuteczniejsze.

— Pomaga na wszystko, na kaszel i odciski — zapewniła. — Przed użyciem skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, bo ulotkę gdzieś wcięło. Każdy lek niewłaściwie stosowany...

— Odpuść, bo oszaleję! — krzyknął Mikołaj.

— Jeszcze nie połknął, a już jego zdrowie jest zagrożone — powiedziała współczująco Oliwia.

Znowu zaczęły chichotać, aż i on się rozpogodził. Nie miał innego wyjścia. Śmiech Oliwii był wyjątkowo zaraźliwy. Lilka też powoli doszła do siebie i zaczynała wierzyć, że jakoś tę swoją samotność oswoi i przetrzyma.

## 9.

Smutek przychodził wieczorami. W dzień wiadomo, szkoła, rosyjski u pani Natalii, wspólne z Oliwią treningi tenisa stołowego, pogaduchy i czas szybko uciekał. Przychodził jednak moment, że wszystko się kończyło, Lilka zostawała w pustym mieszkaniu i nie miała do kogo otworzyć buzi. Wtedy rozpaczliwie brakowało jej Magusi. To nic, że czasem obie ciężko pracowały i nie starczało im czasu na rozmowę. Starły się jednak jeść wspólną kolację i miały świadomość, że nie są same. Można było wejść do gabinetu i popatrzeć, jak sprawnie Magusia stuka w klawiaturę, zamienić ze dwa zdania albo i nie. Teraz na otarcie łez Lilce zostały tylko *Casablanca* i codzienne rozmowy przez skype'a. Te rozmowy bardzo podnosiły ją na duchu, dało się w nich zrelacjonować cały dzień. Tato rzeczywiście nie był w najlepszej formie, mimo że lekarze zapewniali o cofaniu się choroby. Przy Magusi wyraźnie odżył. Magusia miała w sobie coś takiego, że przy niej wszyscy odżywali, może z wyjątkiem ciotek, naładowanych własną energią nie gorzej niż elektrownia. Niestety, w przeciwieństwie do Magusi, ciot-

ki zużywały większość wigoru na kłótnie i narzekania, co - zwłaszcza dla najbliższych - było dość uciążliwe.

Lilka miała z nimi ciągle przejścia. Emilka uparła się, że chce ją widzieć codziennie o czternastej na obiedzie. Nie umiała pojąć, że ktoś, kto o czternastej siedzi jeszcze na lekcji, w żaden sposób nie zdąży dojechać na drugi koniec miasta wcześniej niż na szesnastą. Plotła coś o gorących ziemniaczkach i domowych

przyzwyczajeniach, które są święte. Lilka

tłumaczyła cierpliwie, że ma swoje obiady w domu. Magusia przed wyjazdem umówiła się z panią Malinowską, że ta będzie również gotowała. Nie codziennie oczywiście, tylko dwa razy w tygodniu. Ciotka Emilka wierzyła jedynie swoim umiejętnościom, w końcu, po zażartych sporach, dała się jakoś przekonać i przestała siostrzenicę zadreczać. Stało na niedzielnych obiadach raz u jednej ciotki, raz u drugiej. Lilka zgodziła się, ale bardzo intensywnie myślała, jak się z obietnicy wycofać.

Lechosława z kolei nastawiła się na rozmowy kontrolne. Dzwoniła o dziwnych porach, zapewne w przerwach między rozgrywkami, i zaczynała zawsze tak samo:

- Co u ciebie tak głośno? Masz gości?
- Nikogo nie mam, sama siedzę.
- Nie jestem głucha jak nasza Emilka, słyszę ryki.
- To może ściszyć telewizor.
- Nie pyskuj! Ciotka wie, co mówi.

Potem były pytania o jedzenie, ciepłe majtki i stopnie w szkole, na koniec seria dobrych rad. Radami ciotki Lechosławy można by wybrukować ze dwa piekła, nie tylko jedno.

W trudnym dla Lilki okresie osvajania się z samodzielnością prawdziwym skarbem okazała się żona wujka, ciotka Jola. Przy okazji swoich zakupów zaopatrywała lodówkę Lilki, przypominała o terminach opłat, zawsze pytała o Magusię i ojca oraz wypłacała Lilce tygodniówki. Wszelkie pełnomocnictwa do dysponowania bankowym kontem Magusi miał wujek, natomiast nad konkretnymi już wydatkami czuwała ciocia Jola. Ona też opłacała panią Malinowską. To była całkiem nowa ciotka, a właściwie nie tyle nowa, ile wcześniej niedoceniona. W czasie rodzinnych spotkań głównie milczała, więc wyglądało na to, że nie ma swojego zdania i chowa się w cieniu wujka. Lilka nawet nie próbowała jej poznać, oceniła niejako zaocznie i wpakowała do jednego worka z Emilką i Lesią. Jola nie pasowała do tamtych ciotek. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, nosiła się skromnie i bardzo tradycyjnie, unikała makijażu, a mimo to wyglądała nieźle, była poukładana i bardzo normalna.

Gdzieś tak w połowie listopada, już po rozmowach z Aldoną i dyrektorką, samorząd klasowy wystąpił z pomysłem urządzenia zabawy andrzejkowej. Na dużej przerwie Mikołaj zapowiedział zebranie.

Ledwie wspomniał, o czym będzie mowa, cztery osoby ostentacyjnie wyniosły się z klasy.

— Dobra, ślubu nie braliśmy — mruknął Mikołaj. Wyszła kolejna trójka, której brak ślubu też był na rękę.

— Rozumiem, że zostali ci, którzy w czasie tańców nie muszą wspomagać się ketonalem — powiedział Mikołaj. — Mamy do dyspozycji klasę i możemy urządzić dyskotekę połączoną z tradycyjnymi wróżbami. Trzeba ustalić, kto będzie odpowiadał za sprzęt, kto za jakieś kanapki i napoje. Alkohol jest wykluczony i dyrektorka zabroniła wszelkiego przemytu.

— Swoje mleko w kartoniku chyba można przynieść? — chciał wiedzieć Filip. — Regularnie pijam truskawkowe.

— Można, ale smoczek lepiej zostaw w domu — odparował Mikołaj.

Natychmiast posypały się pytania o colę i red bulla, bo inni nie chcieli być gorsi od Filipa. Dyskusja zaczęła wymykać się spod kontroli i rozmywać w niezbyt wybrednych żartach.

— Uspokójcie się! — krzyknął Mikołaj. — Zacznijmy od ustalenia, kto chce się zabawić?

— Zabawić to i owszem, ale nie we wróżby! — wyjaśnił Paweł.

— Koledzy pomylili liceum z podstawówką — zauważył chłodno Prymusik. — Jeżeli o mnie chodzi, to oczywiście przyjdę, żeby popatrzeć na wysiłki samorządu.

- Popełnisz błąd! - Nie wytrzymała Oliwia.  
-Andrzejkowe wróżby lubią się sprawdzać. Dowiesz się za dużo o sobie i załamka gotowa.

- No nie! — zauważył z niesmakiem Sebastian. —

0 wróżbach chyba nie mówicie poważnie. Zresztą, co to za zabawa w budzie. Na trzech balangowiczów dwóch opiekunów. Masakra.

Obok Mikołaja stanęła Martyna, skarbniczka samorządu.

- Słuchajcie, jest wyjście. Nie chcecie w budzie, to mogę załatwić mały, przytulny lokal. Cała salka dla nas.

- To już by było coś - zgodził się łaskawie Filip. — Z cateringiem?

- Dwie dychy za wstęp i w ramach tego jakieś jedzenie.

Dwie dychy wywołały przeciągłe „eee”, co było wyraźną oznaką niezadowolenia.

- Nie warto — orzekł Sebastian.

- Słuchajcie! - poderwała się Lilka. - Gdyby przypadkiem w telewizorze leciał *Indyk* Mrożka, to koniecznie obejrzyjcie. Jesteście tępi jak ci chłopcy z knajpy. A może byśmy co zasiał? A co? Choćby i żyto. E, warto? Nie warto!

Paweł zarechotał na cały głos.

- Obrażasz rolników indywidualnych, którzy nie załapali się na unijne dotacje - zauważył. - Nas to nie boli, nam się po prostu nie chce.

- A mnie się nie chce na was patrzeć!



Lilka wyszła z klasy. Za nią wysypali się inni, jakby jej wyjście było sygnałem do zakończenia zebrania.

Mikołaj był wściekły. Dwa tygodnie biegał od Aldony do dyrektorki, prosił, przekonywał, że tradycja, że integracja, a kiedy wreszcie dostał łaskawą zgodę, klasa całkowicie się wypięła. No, niecałkowicie. Na następnych przerwach zgłaszali się ludzie z różnymi pomysłami, że może w mniejszym gronie, może u kogoś w domu, żeby było bardziej kameralnie.

— Teraz to mówicie? — irytował się Mikołaj. — Wiecie, ile było zachodu ze zdobyciem pozwolenia?

— Nie mogłeś najpierw spytać ludzi? — zauważył ktoś.

Mikołaj przygryzł usta. Wciąż jeszcze myślał kategoriami ucznia gimnazjum. Tam klasa kupowała wszystkie pomysły w ciemno. Owszem, wychodziły różne afery, sprzątaczkę wynosiły z ubikacji butelki po wódce, czasem ktoś komuś dał za mocno w zęby, ale ludzie garnęli się do wspólnej zabawy. I wcale nie trzeba było pytać o zgodę.

— Im wyżej, tym gorzej — denerwował się w drodze do domu. — Strach pomyśleć, co będzie na studiach.

Oliwia i Lilka przezornie milczały. Mikołaj musiał się wygadać, taką już miał naturę.

Majka pogładziła go delikatnie po plecach.

— Chciałeś dobrze — powiedziała.

Żachnął się i odsunął. Nie cierpiał, kiedy go pocieszano.

Majka wracała razem z nimi, chociaż mieszkała w centrum i nie było jej po drodze. Przykleiła się do tria i

wcale jej nie przeszkadzało to, że Lilka z Oliwią nie tolerowały bluzgów. Dostosowała się do nich i było po krzyku. Widać bardziej zależało jej na towarzystwie niż na językowej swobodzie.

— O jakim lokalu mówiła Martyna? - spytała.

— Jej staruszkowie prowadzą Fantasmagorię.

— Dziwne, znam właścicieli lokali w mieście, ale ich nazwisko nie obito mi się o uszy. Może tylko dzierzawia?

— Skąd mogę to wiedzieć? — burknął Mikołaj.

— Ty z nią siedzisz. Zresztą wszystkich nie musisz znać.

— No co ty? Tłumaczyłam ci przecież, że mój tato ma całą sieć knajpek, w tym dwie za granicą, i naprawdę zna wszystkich.

— Sieć? — zdziwiła się Oliwia.

— Cztery, nie, co ja mówię, pięć lokali to już sieć

— wyjaśniła Majka. — Ale ja wolę domowe imprezki. Chętnie bym was zaprosiła, mieszkanie jest duże, fajnie umeblowane antykami, niestety, mama bardzo źle się czuje. Ma już przerzuty i potrzebny jej spokój.

— To przykre — mruknęła Lilka.

— Bardzo, ale nic nie można zrobić. Po chemii straciła głos, co dla nauczycielki śpiewu jest drama-

tem. Na szczęście włosy jej nie wyszły. Mój wujek jest majorem magistrem habilitowanym...

— Kim? — Mikołaj z wrażenia aż przystanął.

— Jest lekarzem wojskowym — wyjaśniła Majka — i zabiera ją do siebie do kliniki. Jest tam szefem, więc może uda się coś zrobić, żeby jej pomóc.

Doszli do kamienicy, w której mieszkała Lilka. Kawałek dalej był dom Mikołaja, a jeszcze kawałek dalej — Oliwii.

Majka stała już na trzecim schodku z ręką na klamce.

— Wejdziecie? — spytała Lilka.

Wiedziała, że nie wejdą, bo Oliwia miała tego dnia lekcję fortepianu, a Mikołaj trening tenisa stołowego. Wyglądało na to, że zostanie sama z Majką.

— Czy ty nie masz dzisiaj rosyjskiego? — spytała przytomnie Oliwia.

— O kurczę! — wykrzyknęła Lilka. — Sorki, zapomniałam na śmierć. Muszę lecieć.

Dopięła się do domofonu i pośpiesznie wystukała kod mieszkania. Dopiero na schodach zwolniła kroku. Z wdzięcznością pomyślała o Oliwii i wieloletnich przyjaźniach, które tak bezbłędnie pozwalają wyczuć nastrój drugiej osoby. Akurat tego dnia Lilka nie miała ochoty na wysłuchiwanie zwierzeń Majki. „Czasem się ma nastrój pocieszyciela, czasem się nie ma” — myślała. Od wyjazdu Magusi wciąż zmagala się z własnymi kłopotami i nie chciała brać sobie na głowę cudzych dramatów. Dziewczyna ją przerażała. Lilka nie знаła innej osoby, na którą spadałoby tyle nieszczęść. Nie dość, że siostra popełniła samobójstwo, ojciec miał

zawał, a matka raka, to jeszcze u Majki lekarze podejrzewali białaczkę. To nic fajnego, jeżeli tyle tragedii dotyka jedną rodzinę. Od samego słuchania można było zwariować. „Chyba jestem o krok od znieczulicy” - mruknęła, otwierając drzwi. Było jej przykro, głupio, jednak nic nie mogła poradzić na to, że nie czuła się świętą Teresą ani pocieszycielką strapionych.

## 10.

Pierwsza awantura z Lechosławą miała miejsce pod koniec listopada. Cioteczka zadzwoniła, żeby zadać swoje tradycyjne pytania. Widać nawet ją przestało bawić wałkowanie wciąż tego samego, bo nieoczekiwanie zmieniła ton.

— Jak ty sobie radzisz, sierotko? — spytała głosem, w którym brzmiało najszczerze współczucie.

— Dobrze. I wcale nie czuję się sierotką! — zaprotestowała energicznie Lilka.

— Nie bierz tego tak dosłownie, chociaż prawdą jest, że rodzice cię porzucili.

Lilka poczuła pulsowanie w skroniach, a to znaczyło, że za moment wybuchnie i powie o jedno, a nawet o dwa słowa za dużo. Lepiej było skończyć rozmowę.

— Uczę się do klasówki, ciociu, nie obraż się, porozmawiamy innym razem.

— Ucz się, pewnie że tak! — przytaknęła skwapliwie ciotka. — Przyjdiesz w sobotę na obiad, to pogadamy.

W sobotę wypadały andrzejki. Lilka, nieprzyzwyczajona do zmyślania i kręcenia, szczerze powie-

działa, że szykuje spotkanie dla kilku przyjaciół, musi to i owo przygotować, więc za obiad dziękuje, zje coś w domu. Ciotkę zatkało. Przez chwilę nie umiała wydobyć głosu, a kiedy już wydobyła, nie przestawała mówić. Lilka położyła słuchawkę na szafce i wzięła się do szykowania kanapki. Co pewien czas nachylała się, żeby powiedzieć: „Tak, tak, ciociu”. Nie interesowało jej, co Lechosława sądzi o koleżeńskich spotkaniach, rozwyrzeniu młodzieży i klęskach żywiołowych. Sięgnęła po słuchawkę dopiero w chwili, kiedy ciotka zaryczała:

— Masz być na obiedzie! I natychmiast odwołaj gości. Żadnych hulanek! Zdemolują ci mieszkanie albo okradną i tylko kłopotów matce narobisz.

Nikt tak nigdy do Lilki nie mówił. W domu była traktowana jak równoprawny członek rodziny, nie jak tępą wykonawcą rozkazów. Policzyła do pięciu i jakoś opanowała irytację.

— Przykro mi, ciociu, mama wie o wszystkim i nie ma nic przeciwko moim gościom. Nie musisz się o mnie martwić. Zjem coś w domu, a na wieczór koleżanki przyniosą różne domowe dania.

— Mama! — prychnęła Lechosława. — Wiedz o tym, że żadna porządna matka nie zostawiłaby dorastającej córki dla porachunków z kochanką męża. Ona ci teraz na wszystko gotowa pozwolić, żeby... żebyś...

— O czym ty mówisz?! — krzyknęła Lilka, przekonana, że się przesłyszała.

— O czym mówię, to mówię! Zamiast się stawiać, pamiętaj, że bez rodziny jesteś nikim. Tylko ciotki ci

zostały, więc je szanuj. Ojciec! Anglicy są jeszcze bardziej rozwiązli niż Polacy. Rehabilitacja! - prychnęła. - Też miałam skreconą rękę i nie robiłam z tego międzynarodowej afery.

Rozłączyły się niemal jednocześnie. Trudno przewidzieć, co zrobiła potem Lechosława, w każdym razie Lilka zaczęła płakać. Wredne słowa ciotki wwiercały się w mózg i nie mogła ich zostawić ot, tak sobie, żeby kiełkowały, rosły, a potem ją zabiły. Przywykła do tego, że dorośli trzymają różne sprawy w tajemnicy, że nie o wszystkim wspominają dzieciom, nawet tym dojrzałym, natomiast przyjaciołom i rodzinie mogą powiedzieć więcej. Musiała natychmiast porozmawiać z kimś mądrym, z panią Natalią albo ciotką Jolą. Natalia tego popołudnia miała lekcje w szkole języków obcych. Lilka nie chciała czekać ani minuty. Napisała rozpaczliwy SMS: „Chyba dałam się wykołować, jestem w rozpacz, zadzwonię potem”, wysłała go do Oliwii i Mikołaja, a sama ruszyła do wujostwa. Całą drogę biegła, jakby od tego zależało jej życie. Kiedy wreszcie stanęła na progu, była zziębnięta i czerwona z emocji. Nieprzytomnym wzrokiem obrzuciła wujka, zdziwiona, że jest w mieszkaniu i otwiera drzwi. Ciotka Jola mówiła, że odkąd zaczęli budowę nowego domu, prawie nie widuje męża. Pierwsze pytanie rzuciła, zanim ściągnęła buty i kurtkę.

— Czy to prawda, że tato ma kochankę i mama pojechała, żeby się z nią rozprawić?

— Cyganka ci to wywróżyła czy miałaś proroczy sen?

Wujek patrzył tak śmiesznie znad okularów, jakby chciał ją stuknąć czołem. Z jego miny nie dało się nic wyczytać.

Poprawił kurtkę, która spadła z wieszaka, i przez chwilę ustawiał równo buty Lilki. Pedantycznie, jeden obok drugiego, jakby były z drogocennego kruszcu, a nie z czarnej skóry. Lilka przestępowała z nogi na nogę, coraz bardziej przekonana, że wujek zbiera myśli, żeby wyjawić prawdę o wiele gorszą od tej ciotczynej.

— Chodź, chodź, proszę! — powiedział, kiedy już buty stały na baczność. — Usiądź i mów, od kiedy to dzieci podają w wątpliwość czyny rodziców?

— Od jakichś dwudziestu minut, dokładnie od telefonu ciotki Lechosławy — wyrecytowała jednym tchem, czując, że wzbiera w niej furia.

Wujek zagrywał po swojemu. Twarz miał kamienną, idealną do obwieszczania pacjentom najgorszej prawdy. Poczula się jak pacjentka.

— Prędzej podejrzewałbym Emilię — stwierdził — bo ona wietrzy romanse nawet między marchwią a burakiem. Co dokładnie ci powiedziała?

— Wujku, nieważne co! Wiesz, jaka jest ciotka! Odpowiedz mi na pytanie.

— Jeżeli oboje wiemy, jaka jest ciotka, to czemu tak bardzo przejęłaś się jej gadaniem? Przestań się mądrzyć i zrób, o co cię proszę.



Powtórzyła wiernie, od zaproszenia na obiad po ostatni wybuch. W ustach czuła popiół, język przypominał kołek. Jola zlitowała się nad nią i podsunęła szklanekę wody mineralnej.

Lilka wypła duszkiem i błagalnie spojrzała na wujka.

— Historia na miarę intelektu dwu półgłówków - powiedział spokojnie. - Nie wątpię, że jest to dzieło zbiorowego wysiłku. Niestety dwa półgłówki w kupie nie dają jednej mądrej głowy. Bierzesz sobie do serca wszystko, co one plotą?

— Nigdy nie mówiły nic złego o mamie... Prędzej o tacie, ale wtedy mama je gasiła.

Wujek znowu spojrzał znad okularów, jakby po raz drugi przymierzał się do stuknięcia Lilki głową. Wreszcie się odezwał:

— Ojciec przysłał mi faksem wyniki badań. Skomplikowane złamanie ręki z uszkodzeniem nerwu, przypadek poważny, jednak rokuje powrót do zdrowia. W Ameryce mają świetny sprzęt, dobrych specjalistów i nie wątpię, że zdołają mu pomóc.

To był cały wujek. Nie mógł nic powiedzieć wprost, uspokoić, pocieszyć, wyjaśnić: tak i tak. On musiał zacząć od wykładu i sięgnąć do początków świata. Co miała robić, skupiła się na wywodzie.

— Mój kolega przeszkolił trochę Jagienkę z rehabilitacji, żeby wiedziała, jak pomóc. Poza tym jest jeszcze do napisania ta nieszczęsna praca. Ojciec nie może w tej chwili stukać na komputerze. Czy mówię jasno?

— Tak. — Skinęła głową.

— To teraz słuchaj uważnie. Twoja mama i ja jesteśmy bardzo do siebie podobni. Mówię o charakterach, nie o wyglądzie. Wrodzona skromność nie pozwala mi równać się z taką pięknnością. — Uśmiechnął się lekko. — Łączy nas jedno: nie tolerujemy zdrady, bo nie mamy do niej skłonności. Gdyby pojawiła się kobieta, ta trzecia, jak się popularnie mówi, twoja mama, zamiast lecieć do Stanów i przeganiać rywalkę parasolką, wniosłaby sprawę o rozwód. Ja zrobiłbym tak samo. Nie można siłą zatrzymać przy sobie drugiego człowieka, chyba że na krótko. To nie żadna wyimaginowana kobieta pchnęła mamę do wyjazdu, tylko poczucie obowiązku wobec męża. Skończyłem. Teraz twoja kolej. Zdradź mi wreszcie, dlaczego uwierzyłaś ciotce Lechosławie? Mało to bzdur słyszałaś z jej ust?

— Przeraziłam się i zaczęłam kombinować. Mama bardzo długo utrzymywała swój wyjazd w wielkiej tajemnicy, nikomu nic nie mówiła, więc pomyślałam, że może miała... jakieś dodatkowe powody.

— Pewnie cię rozczaruję, lecz my z Jolą wiedzieliśmy o jej planach od samego początku. Emilii i Lechosławie nie było sensu mówić, ciebie mama chciała jak najdłużej oszczędzić. Trudno jest wybierać między mężem a dzieckiem. Dopiero kiedy Jola obiecała wziąć cię pod

opiekę, Jagusia podjęła decyzję. Mój nadzór sprowadza się do nadzorowania ciebie i Joli. Jak pewnie zauważyłaś, nie mam odpowiedniego podejścia do młodych panien. Dlaczego jesteś tak dziwnie ubrana?

— Dziwnie? Normalnie.

— Tu coś wyłazi, tu się coś nie dopina. To nie jest normalnie. Elegancki ubiór, moja droga...

Lilka tylko udawała, że słucha. Spojrzała na ciotkę, uśmiechnęła się trochę nieśmiało, trochę przepraszająco, bo nagle poczuła przyływ wielkiej sympatii.

Jola wstała od stołu i po chwili z kuchni zaczęły dobiegać miłe odgłosy towarzyszące przygotowaniu posiłku. Brzęczały sztućce, nóż stukał o deskę.

— Nudzę cię? — bardziej stwierdził, niż spytał wujek.

— Nie, dlaczego! — zaprotestowała energicznie.

— Nie wiem dlaczego, ale widzę po oczach. Starszych też czasem warto posłuchać... No, może z wyjątkiem dotkniętych demencją ciotek.

— Anatolu! — odezwała się z lekkim wyrzutem Jola.

— Są, jakie są, ale to w końcu twoje siostry.

Weszła do pokoju po talerzyki i zatrzymała się na moment przy krześle męża.

Wujek nieoczekiwanie się roześmiał.

— Żonę to ja sobie mogłem wybrać, niestety siostry były już na świecie, kiedy się urodziłem. Dwa pierwsze egzemplarze nie udały się rodzicom, można powiedzieć, są wynikiem chybionych eksperymentów. Dziesięć lat starszankowie myśleli nad udoskonaleniem pierwowzorów i dzięki temu mamy Jagienkę i mnie.

Lilka rzuciła się na kolację z wilczym apetytem. Była uspokojona, odprężona i niesamowicie głodna. O obiedzie zapomniała, w zjedzeniu kanapki przeszkodziła jej Lechosława, więc teraz nadrabiała zaległości całego dnia. Nie wtrącała się, słuchała, o czym mówią, i bardzo współczuła Joli. Wujek miał paskudny zwyczaj poprawiania każdego rozmówcy. Wysłuchał, a zaraz potem stwierdzał: „To nie jest dokładnie tak”, i zaczynał tłumaczyć po swojemu. Jola ani razu się nie wkurzyła, nie walnęła ręką w stół ani w przemądrzałą głowę męża. Musiała mieć anielską cierpliwość. Nic dziwnego, z zawodu była katechetką.

Lilka wracała od wujostwa nieprzyzwoicie obje-dzona i, o dziwo, lekka jak piórko. Nogi wrosły jej w ziemię dopiero przed domem, kiedy zobaczyła zziębniętą Oliwię i przytupującego Mikołaja. Przypomniała sobie o SMS-ie.

— Ojej, czemu nie zadzwoniliście? — spytała.

— Od dwu godzin nic innego nie robimy! — mruknął Mikołaj. — Dzwonimy na zmianę.

Lilka obmacała kieszenie kurtki, jednak telefonu nie znalazła. Odkryła go dopiero w mieszkaniu. Leżał spokojnie w przedpokoju na skrzyni.

— Sami widzicie, jak byłam zakręcona —  
powiedziała przepaszająco.

Obracała komórkę na wszystkie strony i nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że zostawiła ją w domu. Była jej niezbędna niczym rozrusznik serca, a przecież rozrusznika się nie zostawia.

Wieczorem jeszcze raz miała okazję porozmawiać z ciotką Lesią. Na ekraniku domowego telefonu pojawił się napis Teletuba2, więc nie było wątpliwości, kto dzwoni. Z niechęcią przystawiła słuchawkę do ucha i o mało nie padła z wrażenia. Głosem słodszy od miodu ciotka odegrała znakomitą jednoaktówkę pod nieco długim tytułem: „Nieładnie się gniewać na starą biedną ciotkę, która czasem coś palnie, ale zawsze chce dobrze dla rodziny”. Wujek musiał jej nieźle nagadać, bo nawet nie upierała się przy sobotnim obiedzie i nie napomknęła ani słowem o koleżeńskim spotkaniu.

## 11.

Pomysł na klasowe andrzejki skończył się piramidalną klapą. Mikołaj z trudem przebolewał porażkę, dał sobie jednak wytłumaczyć i przypomnieć, że zawsze najlepiej się bawili w swoim gronie. Trio miało wypróbowanych przyjaciół, więc zaczęło do nich rozsyłać SMS-y. Ze starej ekipy udało się ściągnąć dwóch kumpli Mikołaja i dwie osoby z dawnego gimnazjum. Dochodziła jeszcze Majka, która coraz częściej mówiła: „Bo my z Mikołajem...”. On nigdy nie mówił: „Bo my z Majką...” i dawno wyzwolił się spod jej uroku. Dziewczyna mimo licznych nieszczęść była uciążliwa i skupiona wyłącznie na sobie. Jej kłopoty mogły załamać nawet dorosłego, więc trio starało się okazywać współczucie, ale już na sympatię nie umiało się zdobyć. Udawała, że nie dostrzega tej rezerwy.

To właśnie za sprawą Majki impreza zaczęła nagle nabierać rozmachu. Tydzień wcześniej wiadomo już było, że spotykają się u Lilki w osiem osób, że kurczaka piecze mama Oliwii, sałatkę i bitki robi mama Mikołaja, że ciasto przynosi Małgosia... Jednym słowem wszystko już ustalono, kiedy nagle zaczęli się zgłaszać różni ludzie z dziwnymi pytaniami.

— Lilka, gdzie ty właściwie mieszkasz? Daj namiary na chatę, żebym nie błądził — poprosił Sebastian, ten sam, który na zebraniu klasowym najbardziej wybrzydzał.

— Chwila, moment! — zdziwiła się Lilka. — Ja się z tobą umawiałam?

— No przecież robimy bajkę u ciebie!

— Sorry, stary! To nie jest klasowa bajka, tylko ściśle prywatna.

— Majka mówiła, że zbieracie zgłoszenia.

— Widocznie Majka zaprasza cię na jakąś swoją imprezę.

Do Oliwii i Mikołaja też zgłaszali się różni ludzie, którzy bardzo dużo wiedzieli o andrzejkach u Lilki.

Ostatnio utarło się, że trio wracało do domu we czwórkę. Majka, doczepiona do nich, wlokła się z na-dąsaną miną i niemrawo próbowała odpierać zarzuty.

— Co jest grane? — pieklił się Mikołaj. — Wszyscy powołują się na ciebie. Co im naopowiadałaś?

— Nic takiego! Nie wiedziałam, że to tajemnica. Masz pretensję o kilka osób, a sam chciałeś robić imprezę dla całej klasy.

— W budzie, nie u Lilki. Nie widzisz różnicy między szkolną imprezą a domówką?

— Widzę, pomyślałam tylko, że będzie weselej, jak zejdzie się więcej ludzi. Gdyby nie choroba mamy i ojca, to ja bym zaprosiła całą klasę.

— Nie mam zamiaru zapraszać całej klasy — powiedziała zdecydowanie Lilka. — Nakręciłaś, to teraz

odkręcaj. Ja wszystkim mówię, że się przeszyszeli, że domówka jest u ciebie.

— No wiesz? Jak możesz! Na pewno nie chciałybyś być w mojej sytuacji — chlipnęła cichutko. — Mama ma nowe przerzuty.

— Dobra, przepraszam. Nie chciałam ci robić przykrości! — mruknęła ugodowo Lilka. — Jednak musisz odwołać swoje zaproszenia.

— Odwołam — zgodziła się potulnie. — Tylko... Paweł i Filip może mogliby przyjść, są bardzo fajni.

— Nie! — zaprotestował Mikołaj.

— Chyba nie jesteś zazdrosny? — Przewróciła oczami po swojemu i już nie wydawała się przybita.

— Całej klasie powiedziałaś? — spytała Oliwia.

— To nie moja wina, że ciekawe wiadomości szybko się rozchodzą. Ludzie lubią się pobawić. Nie bójcie się, Mariusza nie zaprosiłam.

A jednak Mariusz, nazywany przez trio Prymu-sikiem, też wiedział. Następnego dnia na przerwie Lilka zeszła do sklepiku po drożdżówkę i stanęła w kolejce właśnie za Prymusikiem. Nie czuła do faceta sympatii, a już po wyborach i po zebraniu klasowym przekreśliła go całkowicie.

— Podobno urządzasz andrzejki. Wróżyć też będziesz? — spytał Prymusik.

Miał dziwną manierę mówienia, jakby cedził słowa, a artykulacja sprawiała mu ból. Poza tym zachowywał się jak nadęty palant.

— Mhm — odpowiedziała wyczerpująco.



— Jest możliwość załapania się na tę nadzwyczajną imprezę?

— Wszystkie bilety już sprzedane. Odpowiedź trochę go dotknęła, czego nie zdołał ukryć. Ciągnął jednak:

— Ostatnio bardzo uważnie cię obserwuję.

— Dlaczego? — spytała obojętnie. — Mania taka czy co?

— Powiedzmy raczej, że to nawyk człowieka, który umie wyciągać wnioski z cudzych zachowań.

— No to sobie wyciągaj, na zdrowie!

— Nie interesuje cię, co o tobie myślę?

— Średnio. Raczej mniej niż więcej. Czuję jednak, że sam mi powiesz, bo z jakichś powodów zacząłeś tę rozmowę.

— Inteligentne stwierdzenie — pochwalił ją i nawet rozciągnął usta w uśmiechu. — Otóż obserwuję cię i coraz bardziej jestem przekonany, że my dwoje pasujemy do siebie.

— Mhm. Moja babcia powiedziałaaby, że jak garbaty do ściany. Przykro mi, najwyraźniej padłeś ofiarą złudzenia.

On kupił pączek, ona drożdżówkę i wrócili na górę oddzielnie. Lilka była przybita. To, że lubiła się podobać, nie znaczyło, że chciała się podobać wszystkim. Prymusikowi na pewno nie chciała, więc drażniła ją myśli, że takie zmanierowane zero mogło sobie wyobrazić nie wiadomo co. Na szczęście do klasy wszedł Pikuś, zaczęła się chemia, a na chemii Lilka była wzorem uczennicy. Pikuś co prawda ani jej nie

prześladował, ani nie zwracał na nią uwagi większej niż przed wypadką, jednak w każdej chwili mógł pokazać rogi. Nie umiała przewidzieć, jak bardzo pamiętliwi są mężczyźni, zwłaszcza ci zakompleksieni. Na wszelki wypadek uważała na lekcji i odrabiała zadania domowe. Przy okazji zauważyła, że facet, choć młody i świeżo po studiach, nieźle prowadzi wykład i nie nudzi. Chemia nie była przecież jakąś szczególnie interesującą dziedziną wiedzy, a dało się na niej wysiedzieć.

W tygodniu przed andrzejkami klasa była wyraźnie rozkojarzona. Skoro nawet na polskim Aldona musiała ryknąć, to znaczyło, że ludzie żyli zupełnie innymi sprawami, które z nauką miały niewiele wspólnego. Gadali, wiercili się, czasem jawnie przeszkadzali. Na chemii nie było lepiej.

Pikuś zaczął sprawdzać obecność i co chwila musiał prosić o ciszę i spokój.

— Ławki was parzą, że tak się wiercicie? — spytał. Lilka odezwała się, zanim zdążyła pomyśleć, co robi:

— Świat zmierza ku zagładzie, panie profesorze, i niektórym ludziom systemy się przegrzewają.

Palnęła, zdretniała i przygryzła usta, zła na siebie, że znowu zlekceważyła mądre przemyślenia Tomasza z Akwinu.

Klasa, jak to klasa, zaczęła rechotać. Pikuś spojrział, pokiwał głową, a nawet nieznacznie się uśmiechnął.

— Ciekawa teoria i sporo tłumaczy — przyznał, po czym zaprosił Lilkę na środek klasy i rzetelnie odpytał z tlenków.

Dostała piątkę i wróciła na miejsce. Ta piątka zrównoważyła pałę i była na wagę przyzwoitej oceny semestralnej. Lilka pomyślała z ulgą, że wreszcie może trochę odpuścić i nie zadrećzać się chemią.

## 12.

Na dzień przed andrzejkami miało miejsce niewielkie organizacyjne załamanie. Rodzicom Oliwii wyskoczył nagły wyjazd do babci, nie mieli co zrobić z Miśką, więc mama Oliwii zaproponowała, żeby przenieść imprezę do nich. Nie było z tym większego kłopotu. Trio powiadomiło przyjaciół o zmianie adresu, a w sobotę to nie Oliwia wybrała się do Lilki pomagać w przygotowaniach, tylko Lilka zjawiała się u Oliwii. Przyszła już przed południem. Oczywiście bardziej niż o pomoc chodziło o wspólne spędzenie dnia. Ich ekipa kierowała się zdrową zasadą: fantastyczny ubaw jak najmniejszym kosztem, czyli dobra muzyka, w przerwie coś do przekąszenia, obowiązkowo napoje i talerze jednorazowe, żeby nie zawracać sobie głowy zmywaniem. Po imprezie wszyscy doprowadzali mieszkanie do porządku. Czasem zdarzały się nieprzewidziane sytuacje, czyjaś dłuższa niemoc, czyjeś zaśnięcie w kątku, ale takie było życie i... działanie piwa. W każdym razie jak dotąd nikt z organizatorów domówek nie podpadł staruszkom. Oczywiście w ich ekipie, bo odbywały się też imprezy, o których krążyły legendy. Niezbyt może budujące, za to niesamowicie barwne.

— Masz czasem przeczucia? — spytała Oliwia. Siedziały w wielkich fotelach zwinięte w kłębki i popijały herbatę.

— Chodzi ci o to, czy bywam jak Kasandra? — roześmiała się Lilka.

— Kasandra nie. Ona zdaje się wróżyła same nieszczęścia i nikt jej nie wierzył. Pytam o zwykłe przeczucia, że coś się uda lub nie. Cholernie jestem dzisiaj niespokojna i nie wiem dlaczego.

— Pewnie będziesz miała okres.

— No co ty! Ledwie mi się skończył. Coś mnie ściska w środku i myślę, że to właśnie przeczucie. Chciałam skonsultować objawy.

Lilka pokręciła głową.

— Ja tak nie mam. Za to zaczynam wierzyć w andrzejkowe wróżby. W zeszłym roku wyszło mi, że poznam jakiegoś supermana, i objawił mi się Prymusik, czyli mówiąc z angielska the bill.

— Podobno pasujecie do siebie.

— Też jestem the bill! — wykrzyknęła Lilka z udanym oburzeniem.

Zaczęły przerzucać się żartami i złe przeczucia przestały mieć znaczenie. Chwilę potem zjawiała się Misia, zziajana, niezbyt czysta, ale szczęśliwa. Wróciła do domu z konieczności, bo jej banda poszła na obiad. Banda składała się z Misi i trzech chłopców mieszkających po sąsiedzku. Najstarszy miał siedem lat, Miśka sześć, a dwaj pozostali mniej więcej po pięć. Biegali razem po ogrodach, trochę psocili, a czasem,

mimo zakazów, wypuszczali się na ulicę. Była to spokojna uliczka, czysta i wysadzona starymi lipami.

— Głodna jestem — oznajmiła Misia.

Jej cichy głosik zabrzmiał jak głos rozsądku i nie dało się go zlekceważyć.

Na godzinę przed imprezą zaczęło się poprawianie urody. Łazienka na górze była przestronna, zaopatrzona w dwie umywalki, więc dziewczyny nie musiały deptać sobie po piętach ani poszturchiwać się łokciami. Sztukę makijażu miały opanowaną od dawna. Żeby osiągnąć pożądany efekt, wystarczyło położyć nieco tuszu na rzęsy, delikatny cień na powieki i odrobinę błyszczyku na usta. Błyszczyk co prawda zlizywały po piętnastu minutach, ale kto by się tym przejmował. Więcej kłopotu nastęrczały włosy, ale tylko Oliwii. Lilka miała gęste, proste i wystarczało, że fryzjer odpowiednio je wycieniował i wystrzygł pazurki. Głowa Oliwii cała była w pierścionkach. Loki, w czasach mody na włosy gładkie, stanowiły przekleństwo i wymagały prostownicy. Niestety, jej działanie było krótkotrwałe i po godzinie, najdalej dwóch wszystko wracało do normy, Oliwia znów miała na głowie baranka.

- Chyba się ogolę na Mikołaja - powiedziała z ciężkim westchnieniem. - Wyglądam jak po trwałej. Co za obciach! Ale kiedy ostrzygę włosy przy skórze, to wszyscy zobaczą, że jestem puciołowata.

— Mnie się podobasz z włosami — zapewniła Miśka. Kręciła się po łazience i z wielkim zainteresowaniem obserwowała wysiłki dziewczyn.

— Wielkie dzięki — burknęła niezbyt pocieszona Oliwia.

— Jesteś bardzo ładna. Lilka też jest bardzo ładna

— oświadczyła Misia.

— Nie podlizuj się, dobra? - poradziła Oliwia.

— Siedzisz do dziewiątej i ani minuty dłużej. Oliwia nie była zadowolona ze swojego wyglądu.

Nie dość, że loki, to jeszcze oponka w pasie, a jakby nieszczęść było mało — łydki jak u rzymskiego piechura. Takie łydki obowiązkowo trzeba było chować i Oliwia najlepiej czuła się w spodniach.

— Ty chociaż masz biust, a ja? — westchnęła smętnie Lilka. — Mucha ma większe uszy.

— Widziałam dzisiaj w supermarkecie panią z cyckami jak baloniki — oznajmiła Misia.

— Mówi się z dużym biustem — poprawiła Oliwia.

— Nieładnie jest gapić się na ludzi.

— E, nie na ludzi. Chodzimy do marketu, żeby pooglądać pisma z paniami.

— Ty i twoja banda? -No.

— A sprzedawczynie nic wam nie mówią? — spytała zaskoczona Lilka.

— Dzisiaj pani powiedziała: „Dzieciaki, albo kupujecie, albo wynocha!”.

Misia trochę się speszyła, kiedy Oliwia z Lilką wybuchnęły śmiechem. Nie widziała nic zabawnego w tym, że ekspedientka przegoniła jej bandę ze sklepu.

— Ze mnie się śmiejecie? — spytała niepewnie. Pokręciły głowami i śmiały się dalej. Misia miała do wyboru albo się obrazić, albo przyłączyć. Wybrała wariant drugi, bo nie wymagał wychodzenia z łazienki, gdzie działo się tyle ciekawych rzeczy. Misia była stworzonkiem towarzyskim i pogodnym.

Lilka dopięła spódniczkę, przewiązała tunikę wąskim paskiem i spojrzała na przyjaciółkę. Znowu musiała się roześmiać.

— Weź się nie wygłupiaj, co? — poprosiła. — W majtkach i skarpetkach chyba nie pójdiesz, włożysz coś jeszcze, prawda?

Oliwia błyskawicznie wciągnęła spodnie i czarną bluzkę odsłaniającą ramię. Nie była aż tak wielką masochistką, żeby dłużej niż pięć minut zadreć się lokami, oponką i łydkami.

— Dobrze ci mówić — mruknęła — bo sama wyglądasz jak modelka.

Lilka pokręciła głową. Miała mnóstwo zastrzeżeń do swojego ciała, bo nawet najładniejsze dziewczyny wymyślą coś do poprawienia, przerobienia lub uzupełnienia. Pod tym względem nieźle się z Oliwią dogadywały, choć każda mówiła o czymś innym.

O dziewiętnastej zaczęli się schodzić uczestnicy domówki. Każdy przyniósł coś do jedzenia i składał



w kuchni. O muzykę zadbał Mikołaj z kumplami, oni też zajęli się niewielkim przemeblowaniem salonu, żeby zrobić więcej miejsca do tańców. Majka przybiegła ostatnia.

— Masz pizzę? — spytała Lilka.

Majka trzepotała rzęsami i patrzyła nieprzytomnym wzrokiem, jakby Lilka pytała o pogodę w kosmosie. Obiecywała nie tylko pizzę, ale także kilka rodzajów sałatek, śledzie i galaretę z ryb. Trio uznało, że andrzejki to nie przyjęcie komunijne i wystarczy sama pizza.

— Nawet trzy, tato zamówił w swojej restauracji najlepsze, z krewetkami, ale — zniżyła głos do szeptu — sorki! Zapomniałam je zabrać. Tato jest za granicą, wkurzył się jakimiś podatkami i miał kolejny stan przedzawałowy. Zadzwoił, kiedy szykowałam się do wyjścia. Straszna tragedia... Rozumiesz chyba... Straciłam głowę. Może ktoś ma samochód i mógłby mnie podrzucić do domu?

— Okay, nie ma sprawy! — machnęła ręką Lilka. — Jedzenia mamy dosyć. A tak na marginesie: znasz kogoś, kto przyjeżdża na imprezę samochodem?

— Nie, ale myślałam... — Wzruszyła bezradnie ramionami.

Nawet w najbardziej zżytej ekipie początki imprez są zawsze trochę drętwe. Na jedzenie nikt jeszcze nie ma ochoty, na tańce też, muzyka sączy się cichutko lub dudni w uszach, zależnie od wyboru, a ludzie gadają o komórkach, gadżetach, czasem o numerach w szkole. Rozkręcają się powoli.

— To co, po piwku? — zaproponował Mikołaj. Piwo szło na pierwszy ogień. Miało gorzkawy smak zakazanego owocu i bardzo pomagało w podkręceniu nastroju. Ludzie pociągali prosto z butelek, żeby nie zostawiać śladów przestępstwa, jakichś szklanek na parapecie lub pod stolikiem. Po imprezie wystarczyło przeliczyć butelki, wynieść i kłopot z głowy. Zresztą nikt, kto skończył szesnaście, siedemnaście lat, nie uważał picia piwa za przestępstwo. Jedynie rodzice myśleli inaczej, więc należało oszczędzić im zmartwień. Do domu bezpieczniej było wracać ze zdrowym chuchem, dlatego od połowy imprezy mało kto czuł pragnienie. Co innego na początku. Powoli delektowali się smakiem. Lilka nie umiała pić z butelki. Przyniosła sobie szklankę, sok wiśniowy i dopiero wtedy umoczyła usta.

— No wiesz, tak marnować smak piwa — zmartwił się Raj, najlepszy przyjaciel Mikołaja.

— Jak się porzygam, to też zmarnuję, no nie? — odpowiedziała pogodnie Lilka.

Miśka kręciła się po pokoju, wreszcie przysiadła obok Mikołaja.

— Mogę umoczyć palec w twoim piwku? — spytała.

— Nie możesz!

— Tylko raz — prosiła.

— Nawet o tym nie myśl, Michalino! — powiedział stanowczo.

— Widzisz, sam mówisz, że jestem duża.

— Jak łapa kurza. Zmiataj, bo namówię Oliwię, żeby cię położyła spać.

Groźba była poważna i Miśka zdusiła chęć polizania palca. Zresztą droczyła się dla zabawy, bo знаła już ten obrzydliwy smak. Kiedyś pociągnęła cichcem łyk i uznała, że Lilka ma absolutną rację. Piwo było ohydne. Usiadła obok Mikołaja i czekała na wróżby. Samo słowo „wróżba” brzmiało magicznie i zapowiadało wielką tajemnicę.

— Będziemy lać wosk? - spytała cichutko, kiedy rozmowa na chwilę przycichła.

— Wiesz, ile z tym paprania?! — wykrzyknęła Oliwia. — To było dobre dawniej, kiedy ludziom brakowało rozrywek. Podgrzewanie, lanie, potem skrobanie garnka, o nie!

— Mamusia mówiła, że można lać ze świecy — przypomniała zmartwiona Misia.

— Nie! — ucięła kategorycznie Oliwia.

— To co będziemy robić?

Pytanie zawisło w próżni. Prawdę mówiąc, nikomu nie chciało się nic robić. Ludzie zbierali energię do tańców i już samo to było potężnym wysiłkiem.

Lilce zrobiło się żal małej.

— No dobra, ułożymy buty. Ale to jest wróżba wyłącznie dla dziewczyn — powiedziała.

— Beze mnie. — Majka zamachała ręką.

Do układania butów w szeregu najlepszy był hol. Raz, że sporo mniejszy od salonu, dwa, że nikomu się tam nie przeszkadzało. Zabawa okazała się szalenie wciągająca, a kiedy jeszcze zwyciężyła Miśka, powstał niesamowity harmider.

- O nie! Przede mną za mąż nie wyjdiesz! - wykrzyknęła Oliwia.

- Ona oszukiwała! — roześmiała się Małgosia.

- Lilka oszukiwała, ja nie! - broniła się Misia.

- Układajmy jeszcze raz — zdecydowała Oliwia. Przy trzecim układaniu wszystkie szorowały po posadzce na kolanach, wpadały na siebie i pękały ze śmiechu. Przez wesołe chichoty przebił się nieoczekiwanie dzwonek komórki.

- Komu dzwoni!?! - krzyknęła Małgosia, otwierając drzwi salonu.

Zerwała się Majka. Z komórką w garści schroniła się w łazience. Dziewczyny nie przerwały zabawy.

- Jaki tu adres? - spytała Majka, wysadzając głowę zza drzwi.

- Młynarska 6 — powiedziała Miśka, zdziwiona, że ktoś może nie znać tak prostego adresu.

- Młynarska 6 - powtórzyła Majka i zamknęła się w łazience.

Kiedy wyszła, minę miała dość niepewną. Oliwia podniosła się z podłogi.

- Ktoś przyjeżdża po ciebie? Coś nie tak z ojcem? — zaniepokoiła się.

— Nie, dlaczego? — Majka pokręciła głową. — Paweł dzwonił, szukał nas u Lilki.

— Skąd Paweł wie, gdzie ja mieszkam? — Lilka też wstała. — Poza tym mogłaś chociaż spytać, czy Oliwia chce tu widzieć Pawła.

— Ojej! — Majka zrobiła minę skrzywdzonego dziecka. — Nawet nie pomyślałam, że nie chce. Nie gniewajcie się, przecież to kumpel z klasy. To całkiem normalne, że ludzie z jednej balangi idą na inną. W mojej starej ekipie zawsze tak robiliśmy.

— Dobra! — Oliwia machnęła ręką. — Jednego Pawła jakoś przeżyjemy.

— On jest z Filipem — uzupełniła Majka i czmychnęła do salonu.

Chciały za nią biec, ale rozdzwonił się domofon, co znaczyło, że nieproszeni goście byli już przy furtce. Chwilę potem w holu zaroilo się od ludzi. Paweł przyszedł z Filipem, Filip z dziewczyną o imieniu Angelika, Sebastian sam, a na przyczepkę był jeszcze Prot, postawny mięśniak, którego, podobnie jak Angeliki, nikt z paczki nie widział wcześniej na oczy. Prot został przedstawiony jako kumpel Pawła.

— My od kołyski zawsze razem — zapewniał Paweł.

— No co, nie cieszyce się? Nie przychodzimy z pustymi rękami! — zawołał Filip.

Aby dowieść, że mówi prawdę, wyciągnął z kurtki półlitrowego absolwenta. Pozostali zrobili to samo, a Prot wyłowił nawet dwie butelki i jedną próbował wręczyć Oliwii zamiast kwiatka.

— My się bawimy przy piwie — zaprotestowała Oliwia i cofnęła rękę.

— Lol! Przy piwie? — rozrzewnił się Prot. — Jak dzieci, całkiem jak dzieci! Piwo jest dobre na zaka-seczkę.

Ustawili butelki na stoliku w holu i zaczęli ściągać kurtki. Hałasowali przy tym tak, jakby przyniesione absolwenty nie były pierwszym trunkiem tego wieczoru. Nie wyglądali jednak na pijanych, tylko bardzo rozluźnionych. Zgiełk sprowadził do holu Mikołaja i resztę. Sytuacja nie przedstawiała się dobrze: czterech zaskoczonych facetów z jednej strony, czterech przesadnie wesołych z drugiej, a środek pusty. Oliwia pomyślała, że jeżeli już chłopaki muszą wziąć się za łby, to niekoniecznie w jej holu i przy małej Misi. Podeszła do Mikołaja.

— Zadali sobie sporo trudu, żeby nas znaleźć, więc niech zostaną — uznała.

— A żebyście wiedzieli, że łatwo nie było — przytaknął Filip. - Spod domu Lilki o mało nas psy nie zawinęły, tak? — Zwrócił się do swoich, a oni zarechotali zgodnie. — Baba jakaś grubaśna chciała nas bić. Prot się wystraszył, zaczął ją po rękach całować... bo on cholernie strachliwy ten nasz Procio, tak? I łagodny jak owieczka... dopóki ktoś go nie wkurzy, ma się rozumieć.

— Właźcie, jak już jesteście! - Oliwia wskazała drzwi salonu.

Zaproszenie nie zabrzmiało zachęcająco ani serdecznie, jednak Pawłowi i reszcie to w niczym nie przeszkadzało. Weszli jak do siebie, pochwalili meble, że nowoczesne, laski, że ekstra, i rozsiedli się, gdzie kto mógł.

— Strzelimy absolwencika na dobry początek — oznajmił Paweł radośnie.

Sebastian gorliwie pobiegł do holu, gdzie stały butelki. Przyniósł od razu cztery.

— Oliwka, kieliszki dla wszystkich! — zarządził. — A jakbyś miała coś na zagryzkę, też może być.

— Do mnie mówisz, leszczu? — upewniła się Oliwia.

— A jest tu jakaś druga? — zdziwił się z rozbijającą miną.

Oliwia, z natury choleryczka, kiedy wpadała w złość, mogła powiedzieć wiele nieprzyjemnych słów. Wybuch wisiał na włosku, był kwestią sekund. Mikołaj podniósł się z fotela, odsunął ją delikatnie na bok i ustawił się na wprost spragnionego Sebastiana. Mierzył go przez chwilę wzrokiem.

— Czego się gapisz?! — warknął Sebastian.

— Nie bój się, lubię czasem popatrzeć na prawdziwych twardzieli.

— „Nie bój się”? — prychnął tamten rozbawiony.

— Tak, ale daj mi skończyć. Nie bój się, stary, swoich kumpli i powiedz im tak: wpadliśmy na domówkę bez zaproszenia, nie wyrzucili nas, więc wypadałoby dostosować się do zwyczajów gospodarzy. Żyjemy w

demokratycznym kraju, każdy może pić to, co lubi, a wiadomo, że tylko debile mieszają wódkę z piwem.

— Odwal się, sam im to powiedz.

— Ty musisz, ty jesteś ich szefem. Władzę trzyma ten, kto ma monopol w garści.

Zapanowała konsternacja. Paweł kręcił się nerwowo. Wzmianka o szefie mocno go ubodła, ale widać żadna sensowna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy, bo milczał. Sebastian wciąż sterczał na środku pokoju z głupią miną i czterema flaszками w rękach.

— A mnie się ten gościu podoba! Ja też jestem za demokracją i za popijaniem wódki piwkiem - oznajmił Prot.

Z trudem wygrzebał się z głębokiego fotela i wyciągnął do Mikołaja rękę. Łapa to była ogromna, żyłasta i pewnie silna jak imadło.

— Chcesz się pożegnać? — zdziwił się Mikołaj. — Spoko, stary, nikt cię jeszcze nie wyrzuca.

— Tchórzysz? — spytał Prot.

— Nie witałeś się ze mną, to i teraz mi łapy nie funduj — odpowiedział Mikołaj.

Udawał luz i obojętność, jednak ręki nie wyciągnął. Znał tę sztuczkę, która przyjacielski z pozoru gest zmieniała w torturę i rzucała ofiarę na kolana. Nie był słabeuszem, ćwiczył na siłowni, ale w starciu



na rękę z Protem miał niewielkie szanse i potrafił je właściwie ocenić. Jeden Raj mógłby sobie poradzić. Rzucił okiem na siedzącego obok kumpla i napotkał żalosne spojrzenie, które mówiło: „Z całego serca dałbym dupkowi w zęby, ale przecież szkoda demolować taki ładny pokoik”. Raj był myślącym siłaczem.

Paweł w końcu odzyskał głos i może nawet coś tam sobie przemyślał, bo zaczął mętnie tłumaczyć, że fajni ludzie powinni się trzymać razem, że w kupie siła, a kupy nikt nie ruszy, zapętlił się, nie umiał skończyć i chyba nikogo nie przekonał.

— Dobra, stary, wyluzuj! — powiedział Damian, kumpel tria z gimnazjum. — Mamy andrzejki, przyłączcie się do zabawy i po krzyku.

— Luz. — Sebastian się przeciągnął. — Jaką macie muzę?

Muzyka na jakiś czas złagodziła obyczaje i dostarczyła tematu do rozmowy. Oliwia pobiegła na górę wykapać i uśpić Misię. Lilka zrobiła sobie mocną kawę, żeby nie myśleć o spaniu i nie zostawić Oliwii samej z całym bajzlem. Na razie trzymała się nieźle, bo wieczór dostarczył jej sporo adrenaliny. Rozmawiała z Małgosią i popatrywała na ludzi z ekipy Pawła. Ciągnęli z butelek, jakby pili sok jabłkowy. Szpanowali, to pewne, jednak ten szpan mógł się różnie skończyć. Na oko nietrudno było ocenić ich możliwości. Prot pewnie spokojnie osuszyłby wiaderko, Sebastian po kilku tegich łykach bełkotał i nie trzymał pionu. Lilka wiedziała, choćby z czasów gimnazjum, co to znaczy użerać się z

pijanymi kumplami. Stara ekipa miała jednak swoje zasady i zawsze znalazło się kilku trzeźwych, którzy postawili na nogi, a nawet odprowadzili do domu kogoś, kto przeholował. Tym razem ci trzeźwi byli w wyraźnej opozycji do pijących.

- Gdzie tu można się odlać? - spytał Prot i zaczął gmerać przy rozporoku.

- Wyłącznie w łazience! - krzyknęła pośpiesznie Lilka. — Drugie drzwi po prawej.

Ledwie wyszedł, Majka zaczęła chichotać.

- Bałaś się, żeby nie nasikał w pokoju? - spytała, walcząc z lekką czkawką. - No co ty! Widać, że facet bezpruderyjny, ale równy. Ledwie przyszli, od razu zrobiło się weselej, no nie?

- Zamknij się! — warknęła Lilka.

Powiedziałyby pewnie dużo więcej, bo jej cierpliwość do Majki dawno się wyczerpała. Poczula, że któryś z kumpli lekko ją trąca w ramię. Chodziło pewnie o to, żeby odpuściła. Nie mogła odpuścić, bo była naładowana bardziej niż akumulator. Majka siedziała obok głupkowato roześmiana. Lilka spojrzała na twarz dziewczyny, a potem niżej, tam, gdzie kończyła się najeżona błyskotkami bluzeczka bling--bling, a jeszcze nie zaczynały biodrówki, opinające pośladki gdzieś w połowie. Zobaczyła pas opalonego ciała i bez zastanowienia wbiła paznokcie tuż nad krawędzią spodni. Chciała mocniej, ale jędrny,

nabity pośladek trudno było uszczypnąć. Wrzask Majki poderwał wszystkich na nogi.

— Uważaj, krzesło ma popsutą sprężynę — powiedziała Lilka słodkim głosem.

Majka nachyliła się nad siedziskiem i z konieczności wypięła tyłek na pokój. Każdy, kto chciał lub nie, mógł sobie obejrzeć rowek między pośladkami. Widok nie był przykry, bo Prot cieszył się jak dziecko.

— Tu nie ma sprężyn, to ty mnie uszczypnęłaś!

— wrzeszczała Majka.

— Wyglądam na zboczoną? — zdziwiła się Lilka i obrażona wyszła z pokoju.

Majka coś tam jeszcze wykrzykiwała, ale chyba nikt jej nie słuchał. Kumple Pawła zaczęli opowiadać o różnych swoich numerach i na jakiś czas przejęli ciężar prowadzenia towarzyskiej rozmowy.

Lilka zapaliła w kuchni światło. Przy stole siedziała Angelika. Wyglądała na wystraszoną i miała ślady łez na policzkach. Lilka nagle uświadomiła sobie, że przez cały wieczór nie widziała dziewczyny i że nikt z ludzi Pawła nawet o nią nie spytał.

— Co tu robisz po ciemku?

— Siedzę sobie — odpowiedziała niepewnie Angelika.

— Dlaczego nie ze wszystkimi?

— Od dwóch godzin powinnam być w domu — szepnęła. — Chciałam was przeprosić. Nie za nich

— ruchem głowy wskazała salon — tylko za siebie.

Mnie tu nie powinno być. Razem z nimi narobiłam wam kłopotu.

- No co ty! Jeżeli chodzi o ciebie, nie ma sprawy. Filip to twój chłopak?

- Sąsiad. Zaprosił mnie na andrzejki i rodzice pierwszy raz zgodzili się mnie puścić. Ja chodzę do gimnazjum, do drugiej klasy - westchnęła. - Poszliśmy do klubu, było nawet fajnie, dopóki nie przyplątało się tych trzech. Nie chciałam z nimi nigdzie iść, ten głupi Prot mnie niósł, żebym nie uciekła. Ludzie się gapili... Masakra. Powiedz Lilce...

- To ja jestem Lilka.

-Ojej, myślałam... zresztą nieważne. Pod twoim domem zachowali się jak idioci. Myśleli, że nie chcesz ich wpuścić, więc trochę hałasowali. Dzwonili domofonem do wszystkich mieszkań, wołali cię po imieniu... Jakaś staruszka też chciała wejść, to uznali, że wcisną się za nią. Ona krzyczała, że wezwie policję, oni pękali ze śmiechu. Masakra. Możesz mieć przykrości.

- Pamiętasz, jak ta staruszka wyglądała? - spytała Lilka.

- Normalnie. Niewysoka, gruba, w jesionce i takim puchatym kapelusiku. Znasz ją?

- Pewnie któraś sąsiadka - mruknęła Lilka. - Wezwać ci taksówkę?

Angelika pokręciła głową. Chciała zadzwonić do domu i poprosić, żeby ojciec po nią przyjechał.

— Tylko musiałabym skorzystać z telefonu, bo ja nie mam komórki — powiedziała cicho, prawie ze wstydem.

Piętnaście minut później Lilka narzuciła na siebie kurtkę i odprowadziła małą do furtki. Pogadała nawet z ojcem.

— Proszę się nie gniewać — tłumaczyła z przejęciem — tak świetnie się bawiliśmy, że straciliśmy poczucie czasu.

— A Filip nie wraca z nami? — zdziwił się ojciec Angeliki.

— Filip to ostatni palant — powiedziała Lilka z satysfakcją. — Może mu pan powiedzieć to w oczy. Na szczęście ma fajne koleżanki, więc Angelika chyba dobrze się bawiła.

Poczuła na policzku ciepły, mokry pocałunek. Pomachała ręką za odjeżdżającym samochodem i wróciła do mieszkania zadowolona z dobrze spełnionego obowiązku. Uchroniła małą głuptaskę przed gniewem staruszków i szlabanem. Pomyślała o Angelice „mała głuptaska”, jednak poczuła do dziewczyny sympatię.

Oliwia już była na dole i odgrzewała bitki, Małgosia doprawiała sałatkę. W pokoju Paweł opowiadał o jakichś wyskokach Prota, Majka piszczała z uciechy.

— Nie dość, że popsuli nam zabawę, to jeszcze musimy ich dokarmiać! — warknęła ze złością Małgosia.

- Popsuli - przyznała Oliwia - za to wiemy coś więcej o nowych kumplach. Od tych trzech świrusów trzeba się trzymać jak najdalej. Wiecie może, co robi Prot?

- A musi coś robić? - zdziwiła się Lilka. - Z tego, co mówi Paweł, wynika, że nic więcej poza jajami.

Ciepły posiłek, podany około pierwszej w nocy, był jedyną atrakcją andrzejkowego wieczoru. Zaraz potem nieproszeni goście zaczęli się zbierać. Mamrotali: „Co złego, to nie my” i prawdę mówiąc, poza jednym zbitym wazonem innych szkód nie narobili. Wazonu też nie stłukli specjalnie, sam spadł. Przytomnie zabrali ze stolika w holu ostatniego absolwenta, natomiast żaden z nich nawet nie spytał o Angelikę. Zgubili dziewczynę tak, jak się gubi stary bilet autobusowy zostawiony w kieszeni przez zapomnienie, czyli całkiem niechcący.

Majka wybiegła z nimi do przedpokoju i zaczęła się ubierać.

- Ty, śliczna, może byś pomogła chociaż posprzątać! — powiedziała ze złością Lilka.

Majka spojrzała na nią z miną zranionego zwierzątka.

- Sorki! Oni idą w moją stronę... Bardzo się boję o mamę... Wiesz, po tym telefonie. Następnym razem odpracuję wszystko, przysięgam.

- Wybij sobie z głowy następny raz!

- Chcesz mnie karać za to, że mój tato zachorował? - spytała Majka ze łzami w oczach.

- Dobra, nara! - mruknęła Lilka, co w ich ekipie znaczyło: „Spadaj, nie mogę na ciebie patrzeć”.

Z ulgą zamknęła drzwi. Przynajmniej jedno odprowadzanie mieli z głowy. Majka poszła z całą grupą, krzyżyk na drogę i ulga, że nie trzeba jej oglądać. Lilka zagadnęła o pomoc nie dlatego, że liczyła na cokolwiek. Przeciwnie, nie liczyła i z góry przeczuwała, jaką dostanie odpowiedź. Powoli rozgryzała Majkę. Laska zrobiła sobie z rodzinnych nieszczęść parasol ochronny. Guzik ją obchodziło, co działo się z matką i ojcem, dla niej liczyło się to, że w niewygodnej dla siebie sytuacji mogła spytać: „Chcesz mnie karać za chorobę ojca?”.

### 13.

Trio nie pamiętało podobnej imprezy. Bywały różne, z pomysłem i bez niego, przetańczone lub przegadane, ale tak beznadziejna jeszcze się nie zdarzyła. Na domiar wszystkiego Oliwia ścięła się z Mikołajem. I to ostro: padły mocne słowa. On krzyczał, że to jej wina, bo nie powinna wpuszczać nieproszonych gości bez zgody reszty, ona odkrzykiwała, że nie ma zamiaru odpowiadać za mactwa Majki. Mikołaj na Majkę też był wściekły, tyle że Majka zabrała tyłek i się zmyła, natomiast Oliwię miał pod ręką.

Lilka została na noc u przyjaciółki. Nie chciało jej się wracać do pustego mieszkania. Przespała się w salonie na skórzanej kanapie. Oliwia zeszła z góry koło południa i wtedy zrobiły sobie śniadanie. Misia całkiem głośno piszczała już z głodu.

— Widzisz, miałam przeczucie, że coś się stanie — przypomniała Oliwia.

— Też mam złe przeczucie — mruknęła Lilka.

— Mówiłaś, że nie miewasz przeczuć.

— Dzisiaj mam. Im dłużej myślę, tym bardziej jestem pewna, że ta kobitka w moherowym kapelusiku, którą Paweł tak czule wspominał, to nie była jakaś tam kobitka, tylko cioteczka Lechosława. Mu-



siała wpaść na inspekcję i wybrała trochę nieodpowiedni moment.

— Ale jajo! — westchnęła Oliwia i zaraz się zreflektowała. — Właściwie wcale nie. Nie wpuściłaś tych cymbałów, nie było cię w domu, całkiem komfortowa sytuacja.

— To niby gdzie byłam, jak mnie nie było? — spytała Lilka. — Głowę dam, że dzwoniła jeszcze w nocy. Poza tym nie wyrobiła sobie najlepszego zdania o moich kumplach. Przyznasz, że mogła być w szoku.

— Niby tak. — Oliwia pokiwała głową. — Zadzwoń do niej może.

— Po co? Przecież nie muszę, a nawet nie mogę wiedzieć, że ona tam była. Po południu pójde do wujka i zdam mu dokładną relację z naszej domówki.

— Dokładną?

— No weź się puknij! A co my mamy do ukrycia?

— Oni pili wódkę — przypomniała Misia.

— Pili — przytaknęła Lilka. — A widziałaś, żeby ja piła albo Oliwia, albo Mikołaj, albo ktoś od nas?

— Nie! — zapewniła z przekonaniem.

— No właśnie! Oni mogą mieć coś do ukrycia, my nie. Czy to nasza wina, że trafili nam się w klasie nierozgarnięci kumple?

— Nie! — zapewniła po raz drugi Misia.

Po południu Lilka wpadła do domu na moment, żeby się przebrać. Rzuciła okiem na sekretarkę i znalazła osiem nieodebranych połączeń, wszystkie od Teletuby2. Kiedy wkładała w przedpokoju kurtkę,

Teletuba2 zadzwoniła po raz dziewiąty i znowu nie zastała nikogo w domu.

Pomysł z wujkiem nie był zły. Wprawdzie Lilka uważała wuja za starca, jednak przekonała się, że ten sędziwy czterdziestolatek miał poglądy bardziej na czasie niż jego trzydziestoletnia żona.

— Wódkę prosto z butelki? Uczniowie liceum, przyszła inteligencja — kręciła głową ciocia Jola — to się po prostu w głowie nie mieści. — Tacy młodzi, właściwie dzieci jeszcze... Do czego oni tak się śpieszą?

— Nie jest dokładnie tak, jak mówisz — poprawił ją wujek. — Marzenie o dorosłości dotyka tylko ludzi w bardzo młodym wieku. Jak już się jest dorosłym, nie ma do czego tęsknić. A dorosłość kojarzy się młodym nie z obowiązkami, tylko z piciem, paleniem, seksem. Na kwaśne winogrona ma się wilczy apetyt właśnie w tym wieku. Potem, kiedy już można wszystko jeść, także to, co niezdrowe, apetyt często mija. Pierwszy raz skosztowałem piwa w wieku czternastu, może piętnastu lat na szkolnej wycieczce. Nie pamiętam już, czy mi smakowało, ale nawet jeśli nie, to na pewno nie przyznałem się kolegom. W grupie obowiązują zachowania stadne. Teraz, jak wiesz, piwa nie znoszę. Możesz mi powiedzieć, z ręką na sercu, że nigdy nie widziałaś, jak twoi szkolni koledzy pili w toalecie?

— Anatolu! Nie bywałam w męskich toaletach! — zawołała ze zgrozą ciocia Jola.

- Mam nadzieję - zauważył z powagą wujek. - Ale to przecież oczywiste, że jak wchodzili trzeźwi, a wychodzili na chwiejnych nogach, musieli coś wypić.

- Mówisz tak, jakbyś rozgrzeszał pijaństwo! - Ciocia wydawała się coraz bardziej przerażona.

- Błędem byłoby twierdzić, że ta plaga pijaństwa narodziła się na prywatce u Lilki - zauważył. - Tłumaczę ci właśnie, a trochę życie znam, że drobne młodzieńcze grzeszki ma na sumieniu niejeden stateczny pan i niejedna stateczna pani. A ty, młoda panno - zwrócił się do Lilki - też pewnie ukrywasz jakieś grzeszki?

Patrzył surowo znad okularów.

- Już nie. Problem z alkoholem miałam przez całą podstawówkę.

- Już w podstawówce piłaś? - spytał z niedowierzaniem.

- Uparcie pisałam „alkohol” przez „ch”. Aż Magusia powiesiła mi nad biurkiem taki transparent: „Kto pije alkohol, nie jest bohaterem”. Z „bohaterem” też miałam kłopoty.

- A tak niezależnie od ortografii, ile piw wypijasz przez jeden wieczór?

- Nie smakuje mi piwo. Jak sobie doleję soku, to jedną małą szklanekę zmęczone, a bez soku, to ledwie parę łyków. W mojej ekipie nie pije się dużo, spotykamy się, żeby potańczyć, pogadać, piwo jest tak przy okazji, na lepszy humor.

— Od małego piwa z sokiem raczej się nie umiera

— mruknął wujek — chociaż uważam, że za wcześnie zaczynacie.

— Mów, co chcesz, Anatolu, ale ja twierdzę, że wszystko zmienia się na gorsze. Nic już nie jest takie jak dawniej — powiedziała zdecydowanie ciotka Jola.

Wujek spojrział znad okularów na Lilkę.

— Za moich czasów na szkołę mówiło się buda, a teraz jak?

— Buda — przytaknęła Lilka.

— Najgorsza ocena to była pała.

— Teraz też.

— A nauczyciel to belfer.

— Ogólnie belfer — wyjaśniła Lilka — ale są też indywidualne przydomki: Rybka od Rybackiej, Bonzurka, bo uczy francuskiego, i tak dalej.

— To oczywiste! — przytaknął wujek. — Za moich czasów było podobnie, czyli — zwrócił się do żony

— tak naprawdę nic się nie zmieniło.

— Wybacz, ale nie zgodzę się z tobą. Musiałbyś posłuchać, jakim językiem mówią dzisiaj dzieci! — wykrzyknęła ciocia Jola. — Nawet te małe, w klasach jeden-trzy. Śmietnik w buzi to mało powiedziane.

— Moi koledzy w pokoju lekarskim nie wyrażają się lepiej — pocieszył ją wujek. — Myślę, że za jakieś piętnaście, dwadzieścia lat człowiekowi do porozumienia się z drugim człowiekiem wystarczy kilkanaście słów, w tym połowa obscenicznych. Coraz

szybciej żyjemy, coraz mniej mamy sobie do powiedzenia, więc trzeba się streszczać. Nadchodzi czas Apokalipsy. — Spojrzał na Lilkę znad okularów. — Wiesz, o czym mówię? Co to jest Apokalipsa?

— Mistyczne przepowiednie losów chrześcijaństwa i końca świata według świętego Jana Ewangelisty — wyrecytowała.

Wujek pokiwał głową, jakby to, że ona wie, było czymś całkiem naturalnym, jakby właśnie tego się spodziewał. Zaraz też zgrabnie przeszedł do ulubionej formy komunikowania, czyli do wykładu. Tym razem zajął się upadkiem kultury osobistej ludzi, którzy z przyzwyczajenia wciąż nazywają się inteligencją. Ten upadek był, według wuja, symptomem nie tyle końca świata, ile zmierzchu pewnej epoki, która z czasem może zostać nazwana epoką łupanego komputera.

Lilka, choć nie śledziła wykładu dość pilnie, wracała do siebie bardzo podbudowana. Kiedy około dziewiętnastej zadzwoniła do Magusi, mogła z czystym sumieniem przyznać, że wujek to równy gość, chociaż wytrzymać z nim pod jednym dachem byłoby bardzo trudno. Jeszcze wtedy nie wiedziała, jaką niespodziankę szykuje jej ciotka Lechosława.

Po rozmowie z Magusią nic już nie stało na przeszkodzie, by Lilka oddzwoniła do Teletuby2. Nastawiła się na przykrą, długą rozmowę, sądziła więc, że nic jej nie zaskoczy. Nie doceniła ciotki. Kiedy już wyczerpująco odpowiedziała na pytania, gdzie spędziła noc, co robiła i kim byli ci straszni chuligani pod jej

domem, a ciotka nie uwierzyła w ani jedno słowo, padła propozycja:

— Nie możesz mieszkać sama! Zejdiesz na psy prędzej, niż myślisz. Porozmawiam z moją Asią i Darkiem, żeby wprowadzili się do ciebie na czas nieobecności Jagienki.

— To jest zły pomysł, ciociu — powiedziała Lilka, kiedy już policzyła do pięciu i powstrzymała się przed ostrym: „Nie ma mowy!”.

— Zły? A niby czemu? — spytała buńczucznie ciotka.

— Gdyby był dobry, uzgodniłabyś go wcześniej z mamą.

— Od tej chwili zrzekam się odpowiedzialności za ciebie i twoją przyszłość! — krzyknęła dramatycznym głosem Lechosława.

Było po rozmowie. Lilka aż się trzęsła. Nie, nie dlatego, że ciotka zrzekała się jakiegś tam odpowiedzialności. Wiadomo było, że niczego dobrowolnie się nie zrzeknie, a już na pewno nie musztrowania siostrzenicy. Jutro lub pojutrze zadzwoni i zacznie tę samą śpiewkę. Lilka wściekała się na myśl, że w jej mieszkaniu, w łóżku Magusi i taty, mogłaby się zagnieździć rozlazła Aśka ze swoim równie rozlazłym mężem. O Aśce krążyła rodzinna anegdota, opowiadana przez samą ciotkę Lesię. Brzmiała mniej więcej tak: „Przed maturą wciąż musiałam ją gonić do książek. Goniłam, bo taki jest obowiązek

matki. Wchodzę raz cicho do pokoju, słyszę, że coś pod nosem gada, więc myślę, dobra nasza, wzięła się wreszcie do roboty. Podchodzę na palcach bliżej i... jak nie zdzielię przez łeb! Zafurczało tylko!". Aśka siedziała nad książką i mruczała: „Matka myśli, że ja się uczę, a ja się nie uczę, matka myśli...” Zdała w końcu maturę i nawet zrobiła jakiś licencjat, niestety od trzech lat nie mogła znaleźć pracy. Jeśli mówiła, że szuka, to... na mówieniu się kończyło. Jej aktywność sprowadzała się do siedzenia w domu, oglądania kreskówek i czekania, aż matka poda obiad i upierze majtki. W jakimś sensie Lilka rozumiała ciotkę, że chce choć trochę odpocząć od córki i zięcia, nawet życzyła jej powodzenia, byle nie swoim kosztem. Gdyby miała zamieszkać z Oliwią, nie byłoby sprawy. Nawet z Oliwią i Mikołajem też dałoby się przeżyć, ale nie z Aśką i jej mężem. Lilka była pewna, że po tygodniu musiałyby robić kuzynce zakupy, gotować i pracować niczym ciotka Lechosława. Aż się wzdrygnęła na taką myśl.

## 14.

Oliwia szła do szkoły jak na egzekucję. To, że nie odrobiła matmy, było zaledwie drobiazgiem w porównaniu z prawdziwymi kłopotami. Matma wypadła na trzeciej lekcji, więc Oliwia miała dość czasu, żeby przepisać zadania od Lilki. Wszystkie jej myśli zaprzętała domowa awantura, która pozbawiła ją radości życia i — jak to zwykle bywa — wybuchła w momencie najmniej oczekiwanym. Rodzice wrócili do pięknie wysprzątanego mieszkania, przy kolacji spytali, jak się udała domówka, i wtedy przemówiła Misia. Nigdy dotąd tego nie robiła, wręcz przeciwnie, uczestniczyła w niejednym wygłupie ekipy i trzymała język za zębami wcale o to nieproszona. Widać miała jakiś wrodzony czujnik, który na wszystkie pytania rodziców kazał jej odpowiadać jednym lakonicznym stwierdzeniem: „Było fajnie”. Tym razem czujnik wysiadł, a raczej został wyłączony przez Lilkę. Misia przyjęła za dobrą monetę tłumaczenie, że ekipa, do której czuła się przypisana, nie robi nic złego, zatem z całą szczerością powtórzyła to, co mówili i robili obcy goście. Wspomniała też o wypadzie swojej bandy do marketu i o pani „z cyckami jak baloniki”. Oliwii oberwało się za nie-



dopilnowanie siostry, nadużycie rodzicielskiego zaufania i kolegowanie się z tak zwanym elementem. Rodzice, dość tolerancyjni z natury, tym razem zareagowali ostro, czego efektem był dwutygodniowy szlaban na wszystkie wyjścia. Niestety, obejmował też urodziny Lilki.

— Urodziny zawsze można przełożyć, gorzej z tym zaufaniem — westchnęła Lilka.

— O piwie też wspomniała? — spytał Mikołaj.

— Żałujcie, że tego nie słyszeliście: „Siedzimy sobie przy piwku, Mikołaj mówi do mnie Michalino, a tu wchodzi jacyś faceci i mają tyle wódek”. — Oliwia wyciągnęła dłoń z rozcapierzonymi palcami.

— Nieźle przyfilowała.

— Oni przyszli, kiedy układałyśmy buty w holu — sprostowała Lilka.

— I co z tego? Nieważna kolejność, ważne fakty, a te Miśka oddała znakomicie.

Szli przez chwilę w milczeniu.

— Nie ma rady, trzeba iść do staruszków i jakoś załagodzić wpadkę — zdecydował Mikołaj. — Ale żeby Misia...

— Odwal się od Misi! — zdenerwowała się Lilka.

— Misia jest w porządku, masz chyba świadomość, że najbardziej namieszała Majka. Naprawdę zależy ci na tym, żeby ona dalej snuła się za nami?

— Mnie pytasz? — upewnił się Mikołaj.

— Kogo mam pytać, świętego Anzelma? Mikołaj aż przystanął zaskoczony.

— Co ja mam do niej? Przecież ona przyczepiła się do was!

— Co takiego?! — Lilka się zdenerwowała. — Komu ona zagląda w oczy, nam? Z nami biega na siłownię? Na kilometr widać, że pracuje nad tobą. My z Oliwią nie jesteśmy jej do niczego potrzebne, a już na pewno nie do podtrzymywania na duchu. Laska świetnie sobie radzi ze swoją traumą. Zagrywa, aż miło popatrzeć.

— Gówno prawda, że miło! — mruknęła Oliwia. Mikołaj był zszokowany. W Majce widział jedynie marudną i dość lekkomyślną koleżankę, nie materiał na swoją dziewczynę. Lilka i Oliwia musiały w końcu odpuścić. Widywały już zakochanego Mikołaja, czyli rozkojarzonego, mało przytomnego, pędzącego z randki na randkę, jednak tym razem nic nie wskazywało na ten stan. A zatem, jeśli nawet Majka miała ochotę na Mikołaja, to bez wzajemności.

— Co z nią robimy? — spytała Lilka.

— Się zobaczy — odpowiedział. — Na razie żadnych rozmów przy niej o naszych planach i zwiększanie dystansu. Może zajarzy sama.

— Nie zajarzy! — Lilka ze złością kopnęła kamyk. Pierwszy był angielski, a przed angielskim ostre starcie z Filipem. Naskoczył na biedną Oliwię, która tego dnia dosyć miała własnych zmartwień.

Filip nie należał do ludzi najbystrzej szych, mimo że — jak wszyscy w tej klasie — skończył gimnazjum z wyróżnieniem.

— Pocięło cię, żeś naopowiadała takich świństw i zepsuła mi opinię w miejscu zamieszkania, tak?

— To znaczy gdzie? — spytała całkiem rzeczowo Oliwia.

— Waligóry 8.

— A numer lokalu?

— Jaja sobie robisz?! — wrzasnął, aż kilka osób spojrzało z zainteresowaniem.

Lilka z trudem opanowała wybuch śmiechu. Chłopak nie żartował, był niczym rozdrażniony szerszeń.

— Sorry, stary! — mruknęła Oliwia. — Numer mieszkania mi niepotrzebny, nie będę cię odwiedzać. A tak dokładnie, o co ci chodzi, bo nie kumam.

— Niech zgadnę — wtrąciła Lilka — ojciec Angeliki nazwał cię palantem? To moje słowa, nie Oliwii. I wiedz, że gdybyś zgubił moją córkę, obiłabym ci tę pryszczatą gębę jak nic.

— Nie wasz interes.

— Gęba rzeczywiście nie nasza, ale dziewczynę zgubiłeś u nas, kretynie, więc konsekwencje i nas dotyczą. Zjeżdżaj, bo mdli mnie na twój widok.

Wejście Twista przerwało spór. Filip zdążył tylko z wściekłością walnąć ręką w stolik i musiał się wycofać. Dziewczyny spojrzały na siebie.

— Waligóry 8 — szepnęła Lilka, z trudem powstrzymując napad głupawki.

— Waligóry 8 — odpowiedziała Oliwia.

Zapanowały nad sobą wyłącznie dlatego, że mister Twist spojrzał pytająco, a nie chciały tłumaczyć przed całą klasą, co je tak rozbawiło.

Nieszczęścia, które lubią chodzić parami, tego dnia upodobały sobie Oliwię. Na śmierć zapomniała o zadaniach z matmy, Pitagoras właśnie ją wyrwał do odpowiedzi, zajrzał do zeszytu, nie znalazł nic poza poleceniem i postawił pałę. Wcześniej była już kropka za jakąś mniejszą wpadkę. Oliwia nie znosiła matematyki, miała z nią przeboje od czasów gimnazjum, więc teraz na myśl, że zamiast ściągania i lawirowania czeka ją mozolna harówka, poczuła się zdołowana. Nie zaczęła płakać tylko dlatego, że pociągnęła rzęsy tuszem i nie chciała czarnych smug na policzkach. Na przerwie, kiedy klasa przechodziła z pracowni matematycznej do chemicznej, przyplątała się Majka. Minę miała współczującą i odpowiednią do sytuacji.

— Nie umiałaś zrobić tych zadań? — spytała. — Przecież były proste.

— Proste? — warknęła Martyna. — To czemu ściągalaś ode mnie, zamiast rozwiązać je w domu? Dla ciebie wszystko jest proste, jak już ściągniesz.

— Ale mnie lubisz, prawda? — zaszcebiotała Majka.

— Nie. Siedzimy w jednej ławce i to jest wszystko, co nas łączy — odpowiedziała zdecydowanym tonem Martyna.

Najwyraźniej też miała dosyć Majki i jej ściągania.

— Ciekawe, czy na moim miejscu miałabyś głowę do nauki — westchnęła Majka.

Wydawało się, że lada moment wybuchnie płaczem. Powstrzymała się jednak.

Lilka odciągnęła Oliwię tak, że znalazły się dwa kroki przed tamtymi. Słyszały jednak całą rozmowę, bo Martyna mówiła dość głośno.

— Masz w rodzinie taką trudną sytuację, a więcej z ciebie pożytku na dyskotekach niż w domu. Ja na twoim miejscu — perorowała — starałabym się jakoś matkę wyręczyć, pomóc jej, chociaż... Z takimi tipsami to ty się do niczego nie nadajesz!

— Nie, dlaczego? Oczywiście, że pomagam, chociaż... od robienia wszystkiego w domu jest służąca. Przecież wiesz, że ja też muszę się oszczędzać, bo ta białaczka jest prawie pewna. Ostateczne wyniki będą po nowym roku, lekarz powiedział...

Tym razem Oliwia odciągnęła Lilkę. Zwiększyły dystans na tyle, żeby już nic więcej nie słyszeć.

Lilka rzuciła torbę na krzesło i pobiegła do sklepiku. Nie chciało jej się rano robić kanapek i beztrąsko przeszła na drożdżówki. Kolejka była spora, więc szansa na dopchanie się do lady przed dzwonkiem raczej niewielka. Odeszłyby z niczym, gdyby nie Paweł. Stał blisko, całkiem dyskretnie spytał, co kupić, i nawet zrozumiał odpowiedź. Oddała mu pieniądze i wracali na górę razem. Rozmowa się nie kleiła. Lilka pomyślała, że milczeć można jedynie z przyjaciółmi, natomiast z Pawłem powinna pogadać i to wcale nie po przyjacielsku. Zastanawiała się, jak zacząć, bo trochę

niezręcznie było tak iść obok i bez słowa opychać się drożdżówkami. Pierwszy zagaił Paweł.

— Zła jesteś na mnie?

— Jeśli zaprzeczę, to nie uwierzysz, więc po co pytasz?

— Głupio wyszło — przytaknął.

— Mało powiedziane. Oliwia ma przez was kłopoty, bo nie spodobaliście się jej siostrze, sąsiedzi patrzą na mnie krzywo, a ty mówisz: „Głupio wyszło”.

— To co mam powiedzieć? — spytał zaskoczony. — Już po ptokach. Byliśmy trochę wstawieni, rozumiesz chyba.

— Nie bywam wstawiona i nie rozumiem.

— Sorry! Zapomniałem, z kim rozmawiam. Przecież ty jesteś grzeczną dziewczynką, posłuszną córeczką mamusi, wzorem cnót — zakpił.

Lilka przeskoczyła dwa schodki i odwróciła się gwałtownie. Wyciągnęła rękę, żeby zdążył się zatrzymać i nie wpadł na nią. Przez ułamek sekundy, dopóki nie podniósł głowy, patrzyła z góry na jego fryzurę usztywnioną żelem.

— Nie obraziłeś mnie, kretynie! Jestem bardzo grzeczna i świetnie wychowana, podobnie jak moi przyjaciele. Jeśli po tym, co się stało, nie umiesz nic

sensownego powiedzieć, to bądź tak miły i odpieprz się raz na zawsze. Nie chce mi się z tobą gadać.

Odwróciła się i ostatnie stopnie pokonała w dwu susach.

## 15.

Do nauki rosyjskiego namówiła Lilkę Magusia. Lubiła powtarzać, że kto zna angielski, ma otwartą drogę do połowy świata, a kto pozna angielski, rosyjski i chiński, ten będzie miał otwarty cały świat. Lilka nie czuła zapału do chińskiego, uznała, że rosyjski jest łatwiejszy, i zaczęła biegać do pani Natalii. Po pięciu latach nauki znała już język na tyle, że mogły sobie z panią Natalią czytać w oryginale *Mistrza i Małgorzatę* Bułhakowa i rozmawiać o tym, jak dobro lubi się przeplatać ze złem. Lilka rozsmakowała się w języku i z wielką przyjemnością zgłębiała jego tajniki, bo chciała, a nie dlatego, że ktoś wstawił rosyjski do programu, jak choćby biologię, w której rozsmakować się nie potrafiła. Panią Natalię znała od niepamiętnych czasów, czyli odkąd zaczęła zauważać innych ludzi poza rodzicami. Nigdy nie próbowała nazywać jej ciocią. Ciotki były dwie: Emilia i Lechosława, a zestawianie z nimi kobiety pięknej i życzliwej wydawało się nie na miejscu. Od wyjazdu Magusi Lilka jeszcze bardziej przylgnęła do Natalii.

Po lekcji siadały sobie w przytulnym pokoju, odrobinę tylko zagraconym pamiątkami, piły herba-



tę, jadły kolację i rozmawiały o wszystkim, głównie o perypetiach Lilki. W tle śpiewał Okudźawa albo Wysocki. Brakowało jedynie szumu samowara.

Pani Natalia znała Majkę z opowieści Lilki i oceniała dość surowo. Znalazła nawet trafne określenie: podwójny pasożyt. Uważała mianowicie, że Majka żerowała na swoich rodzinnych kłopotach, by wzbudzić litość, a potem bez skrupułów zaczynała żerować na tych, którzy jej współczuli.

— Przykleiła się do nas jak przezuta guma. Nikt z tria jej nie lubi — tłumaczyła zgnębiona Lilka. — Jest głupia i nieodpowiedzialna, ale też... nieszczęśliwa. Nie wiem, czy takie odtrącanie kogoś, komu sypią się na głowę same tragedie, jest w porządku. Za kilka dni mam urodziny i nie chcę Majki na imprezie. Myśli pani, że jak jej nie zaproszę, to może się załamać?

— Nie umiałabym przyjaźnić się z nieodpowiedzialnym człowiekiem tylko dlatego, że on ma kłopoty. Z tego, co mówisz, wynika, że Majka świetnie sobie radzi z większymi dramatami niż brak zaproszenia na imprezę. Po tym, co zrobiła Oliwii, ja bym jej nie zaprosiła. Oczywiście powiedziałabym prosto w oczy, czemu tego nie robię, żeby uniknąć niedomówień. Nie miej skrupułów. Każdy ma prawo otaczać się ludźmi, których lubi. W pracy bywa różnie, ale życie prywatne organizujesz sobie sama.

Lilka z zapalem kiwała głową. Takie rozumowanie trafiało jej do przekonania. Zamilkła i zaczęła sobie układać w głowie to, co powinna powiedzieć Majce. Nie miała oporów przed mówieniem prawdy w oczy,

podobnie zresztą jak jej trio. Niekoniecznie brutalnie i z grubej rury, ale przecież sposobów było wiele.

Skończyły się ballady Okudźawy i pani Natalia zmieniła płytę.

— Kto to śpiewa? — spytała Lilka.

— Irina Szoda. Piękny liryczny głos, idealny do romansów, prawda?

— Piosenka też superowa, ściska za jaja.

— Czy to znaczy, że dla was serce nie jest już siedliskiem uczuć? — spytała ostrożnie pani Natalia.

— Chyba jest — roześmiała się Lilka. — Ale o takich kawałkach, które wywracają człowiekowi wszystko w środku, chłopaki mówią, że to ściskacze jaj.

— Chłopaki może wiedzą, co mówią, jednak dla mnie ten szczegół anatomiczny jest raczej obcy... przynajmniej jako organ odbioru muzyki — zawahała się pani Natalia.

Lilka ze śmiechem rzuciła jej się na szyję. Chętnie posłuchałaby dłużej tej lirycznej Szody, lecz zrobiło się późno i musiała biec do domu.

— Tak się teraz mówi — zapewniła.

Pani Natalia kiwnęła głową. Skoro się mówi... to się mówi i już.

Grudzień był czwartym z kolei miesiącem, który według tria nie za bardzo nadawał się do nauki. We wrześniu wiadomo: nowa szkoła, nowe wymagania,

wszystko nowe, więc zanim się człowiek obejrzał, nadszedł październik i ostatnie naprawdę ładne dni jesieni. Liłka przeżywała wyjazd Magusi, a trio razem z nią. Listopad w ogóle się do niczego nie nadawał. Dni coraz krótsze, pogoda taka, że tylko wyć, i wszyscy bardzo się cieszyli, że już minął. Grudzień niósł przedsmak świąt, więc nic dziwnego, że chętniej się myślało o choince i prezentach niż o psalmach i przypowieściach. Na polskim Aldona bardzo piłowała, szła z materiałem jak burza i wciąż podnosiła poprzeczkę. Wykładała dobrze, jasno i klarownie, ale też dużo wymagała, całkiem jakby trafiła jej się klasa humanistyczna. Profil społeczno-prawny I e zakładał rozszerzoną historię, WOS, geografii i angielski, a nie polski, więc uczniowie trochę się buntowali. Aldona bezbłędnie wychwytywała szmery niezadowolenia w klasie i miała jedną tylko odpowiedź: „Na maturze sami się przekonacie, kto miał rację”. Niestety, nie tylko Aldona uważała swój przedmiot za najważniejszy. Komórka Jajowa na biologii też uznała, że musi wtłoczyć uczniom do głowy znacznie więcej wiedzy, niż przewidziano w programie. Podobnego zdania był fizyk, matematyk, Bożurka i bodaj każdy nauczyciel, może z wyjątkiem Rybki.

Na początku grudnia Rybka oddała klasówki z geografii. Sprawdzian był zapowiedziany jak należy, z tygodniowym wyprzedzeniem, więc raczej trudno było spodziewać się pogromu. Trio uczyło się wspólnie. Mapy, Układ Słoneczny, ruch obrotowy Ziemi to nie były tematy, których nie dało się pojąć. Mikołaj wciąż

wynajdywał jakieś ciekawostki, bo choć odgrażał się, że nie myśli marnować czasu na wyręczanie Rybki, jednak na maturze chciał zdawać geografię. Przygotowali się całkiem solidnie, kiedy więc Rybka wkroczyła do klasy z miną bardzo niezadowoloną, trio nie brało tej miny do siebie.

— Połowa z was powinna zapomnieć o maturze — powiedziała Rybka. — Choćby człowiek sobie żyły wypruł, zawsze znajdzie się ktoś, kto tego nie doceni. Macie całą wiedzę podaną na talerzu i co? Ano to, że ponad połowa zainkasowała pały. Może to was czegoś nauczy.

Trio nadal siedziało spokojnie, bo przecież doceniło, a nawet więcej, wzbogaciło wiedzę zeszytową i przekazało ją własnymi słowami.

Rybka miała kartki ułożone starannie, według alfabetu. Wyczytywała ocenę i wstawiała stopień do dziennika.

— Arent trzy mniej, Cypis pała... Grant pała...

W tym momencie Oliwia i Mikołaj mogli pożegnać się z dobrymi ocenami. Uczyli się razem. Lilka nie była tępakiem, który nie rozumie, co czyta, bądź nie umie przelać wiedzy na papier. Jej pała źle wróżyła wszystkim.

Zanim Rybka wzięła się do dyktowania kolejnej lekcji w pigułce, Mikołaj podszedł do stolika i poprosił o swoją pracę. Chciał ją tylko zobaczyć.

— Podlaski? — upewniła się Rybka. — A proszę, proszę.

Odszukała kartkę, podniosła ją do góry, żeby klasa również obejrzała wielki czerwony iks, który przekreślał cały wysiłek Mikołaja.

— Chciałbym zobaczyć, co napisałem źle — upierał się Mikołaj.

— Wszystko źle — powiedziała zdecydowanie Rybka i odłożyła kartkę na inne.

Wstał Prymusik. Nie cedził słów, nie robił łaski, że się odzywa, przeciwnie, zdecydowanie poparł Mikołaja. Sam też chciał obejrzeć swoją pracę, bo nie wierzył własnym uszom, że dostał pałę.

— Drugi artysta się znalazł — powiedziała Rybka. — Lubicie, chłopaki, tańczyć?

— A bez tańczenia nie może nam pani sorka pokazać naszych prac? — spytał Mikołaj.

— Ja ci, Podlaski, nie każę tańczyć, ja ci chcę wytłumaczyć, że wy obaj, i jeszcze połowa klasy zachowujecie się jak początkujący tancerze. Nie macie pojęcia o podstawowym kroku ani o muzyce, a już próbujecie tańczyć salsefię.

Tłumione chichoty zmusiły Rybkę do spojrzenia na klasę.

— No tak — powtórzyła. — Żeby tańczyć, trzeba znać krok.

— Salsefia nie ma kroku, ma korzeń — odezwał się ktoś.

Rybka machnęła obojętnie ręką.

— Może się przejęzyczyłam, niech wam będzie, że tango.

Trio wracało ze szkoły w podłych nastrojach. Każda porażka boli, nawet zasłużona, ale niezasłużona doskwiera stokroć bardziej. Złościłi się, że Rybka chce ich zmienić w pospolitych kujonów, którzy uczą się na pamięć odtąd dotąd i ani linijki więcej. Owszem, pały dostali też ci, którzy na lekcjach nie notowali dość pilnie i potem nie mieli z czego ściągnąć, ale nie o nich w tej chwili chodziło. Majka, wciąż nieświadoma, że chcą ją spławić, szła obok mocno znudzona.

— Skończcie z tym świrowaniem — powiedziała. — Sami jesteście sobie winni, że nie wyciągacie prostych wniosków z prostych sytuacji. Ja od razu wiedziałam, że na klasówce będzie jak przy odpytywaniu: słowo w słowo. Ściągnęłam z zeszytu, dostałam czwórkę i po krzyku.

— Do matury trochę się tych zeszytów uzbiera. Będziesz musiała taczkę wynająć — zauważył złośliwie Mikołaj.

— Ani myślę zdawać geografię! — wykrzyknęła Majka.

— To się zamknij!

— A jeszcze lepiej zrobisz, jeśli odwrócisz się teraz na pięcie i pójdziesz prosto do domu — poradziła Oliwia. — Może akurat jesteś potrzebna mamie.

— No co ty? Pielęgniarka siedzi przy mamie — wyjaśniła Majka i ani myślała zawracać.

## 16.

Pitagoras szykował sprawdzian z matmy, mister Twist test gramatyczny z angielskiego, a historyk powtórkę materiału z trzech miesięcy. Jakby tego było mało, uaktywniła się też Komórka Jajowa i z lekcji na lekcję zapowiedziała kartkówkę. Natychmiast posypały się protesty. Nie przeciw kartkówce, bo na to nikt nie miał wpływu, ale przeciwko łamaniu kodeksu ucznia. Krzyczeli, że obowiązuje tygodniowe wyprzedzenie, że zawałeni są innymi powtórkami i na biologię brakuje już czasu.

— Kodeks ucznia? — zdziwiła się Komórka Jajowa.  
— Tygodniowe wyprzedzenie? Jeśli jesteście tacy praworzadni, to ja się do was wezmę tak, jak powinnam. Proszę bardzo, kartkówka za tydzień, ale z całego materiału i nie liczcie na ulgowe pytania.

Gwar, jak nagle się podniósł, tak i ucichł. W klasie o profilu społeczno-prawnym nie było zbyt wielu amatorów biologii.

Grudzień zapowiadał się jako pasmo szkolnych udręk. Lilka już dość dawno zauważyła, że lepiej jej się uczyło, kiedy Magusia była w domu. Wcale nie chodziło o to, że mama snuła się za nią krok

w krok, poganiała czy przypominała o odrabianiu lekcji. Magusia siedziała w gabinecie nad tłumaczeniami, Lilka w swoim pokoju nad podręcznikiem i obie pracowały. Lilce nawet do głowy nie przyszło, że mogłaby stanąć w oknie i gapić się w ciemność albo usiąść nad szklanką herbaty i rozmyślać nie wiadomo o czym. Ostatnio w taki właśnie sposób marnowała sporo czasu i nie umiała wziąć się w garść. Wspomniała o tym Magusi w czasie jednej z rozmów i usłyszała, że to typowy objaw braku drugiego człowieka, którego obecność mobilizuje do działania. Cokolwiek to znaczyło, Lilce coraz bardziej brakowało Magusi. Czas wcale nie leczył tęsknoty. A przecież nie była samotna, miała Mikołaja i Oliwię, którzy poświęcali jej dużo czasu, a także innych ludzi wokół.

Jeśli dzwoniła pani Natalia i mówiła: „Przechodzę obok, czy mogę wpaść na chwilę”, to Lilka, choćby nawet ryła nosem w podręczniku biologii, odpowiadała, że nie ma sprawy, że z radością zafunduje sobie intelektualny płodozmian i przeskoczy na inny tok myślenia. Wiadomo było, że Natalia posiedzi piętnaście minut, wypije herbatę albo nie i pobiegnie do swoich zajęć. Jeżeli wpadała ciocia Jola, też stanowiło to miłą odmianę. Zwykle zaglądała w drodze z pracy, przynosiła zakupy, porozmawiała pięć minut i pędziła do domu usługiwać wujkowi Anatolowi. Znacznie gorzej było z wizytami ciotki Emilki. Zaczynała od lustracji mieszkania i — trzeba



powiedzieć — że lotna brygada nie zrobiłaby tego lepiej. Zajrzała w każdy kąt, poczynając od łazienki, na sypialni rodziców kończąc. Nie miała się do czego przyczepić, bo pani Malinowska dbała o porządek, więc robiła aferę z bałaganu na biurku Lilki. Nawet, o zgrozo, próbowała czasem coś tam po swojemu poukładać. Wystarczyło jednak spytać: „Ciociu, czy przypadkiem nie leci teraz twój ulubiony serial?” (wiadomo, że zawsze jakiś leciał), ciotka natychmiast truchtała do salonu, ustawiała głośność tak, że bębunki pękały, ale można było odetchnąć. Lilka nie oglądała seriali, natomiast myślała o nich z ogromną wdzięcznością. Tyle dobrego, że Emilka nie wpadała zbyt często, a Lechosława wcale. Odkąd Lilka pokrzyżowała ciotce plany na poprawę warunków mieszkaniowych córki i zięcia, Lechosława manifestowała całkowitą obojętność. Skończyła z kontrolnymi telefonami i Lilka wprost nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Sama też nie dzwoniła, bo jej się nie chciało, poza tym była zapracowana. Na jakiś czas zrezygnowała nawet z treningów tenisa stołowego, bo z czegoś musiała, żeby podołać lekcjom, powtórkom i jeszcze nie zaniedbać zobowiązań towarzyskich. A tu zbliżał się dzień urodzin i trzeba było urządzić imprezę dla przyjaciół.

Nieoceniona pani Malinowska zaproponowała wsparcie. Chciała przygotować coś na ciepło, a także pomóc w trakcie, czyli podgrzać, podać, pomyć. Nie był to najszcześniejszy pomysł i Lilka w jednej sekun-

dzie podjęła decyzję, że nakarmi gości zamówioną pizzą, a napoi piwem. Oczywiście tym razem pizza nie miała być składkowa, podobnie zresztą jak piwo. Na tyle już знаła upodobania przyjaciół, że zakupy mogła robić w ciemno. Drobnym kłopotem był z nowymi kolegami, więc najnormalniej w świecie postanowiła ich spytać, co lubią. Oprócz stałej ekipy zaprosiła Martynę i Szymona z nowej klasy. Obydwoje działali w samorządzie i poznała ich odrobinę bliżej dzięki Mikołajowi. Wydawali się całkiem fajni.

Dzień urodzin wypadł w niedzielę dziewiątego, a impreza była przewidziana na następną sobotę, piętnastego. Wcześniej się nie dało ze względu na Oliwię i jej szlaban. Lilka co prawda wybrała się z Mikołajem do rodziców Oliwii, pogadali, wypili herbatę, możliwe, że trochę staruszków uspokoiłi, nie na tyle jednak, by szlaban został cofnięty. Skoro więc nie dało się pokonać przeciwności losu, trzeba je było przeczekać.

W szkole, na przerwie między lekcjami polskiego, kiedy nie musieli zmieniać sali i wędrować po korytarzach, samorząd zwołał zebranie klasowe. Mikołaj wyciągnął wnioski z andrzejkowej wpadki i zaczął od sondażu.

— Sprawa pierwsza — powiedział — kto jest za klasową Wigilią, ręka do góry.

— Z baletem? — upewnił się Sebastian.

— A ten co znowu zjadł? — zdziwiła się głośno Martyna. — Głosujcie. Jeżeli większość będzie za naszym pomysłem, pogadamy o organizacji. Na pewno nie będzie to dyskoteka.

- To co, usiądziemy i będziemy się gapić na siebie? — zdziwił się Filip.

Mikołaj udawał, że w ogóle nie wkurzają go te idiotyczne pytania, i świetnie nad sobą panował.

- Słuchajcie, co to jest Wigilia, wie każdy człowiek mądrzejszy od Sebastiana i Filipa, a więc mam nadzieję, że większość z was. Pytam jeszcze raz: kto jest za — powiedział spokojnie.

- Uważaj, co mówisz! — warknął Sebastian. Podniosło się kilka rąk, Martyna je przeliczyła i pomysł upadł.

- Sprawa druga - kontynuował Mikołaj - kto jest za wymianą upominków gwiazdkowych? Zanim będziemy głosować, wyjaśniam: ciągniemy losy, obdarowujemy tego, kogo wyciągniemy. Prezenty są od Świętego Mikołaja...

- Od ciebie? - spytała któraś z dziewczyn.

- Wyglądam na świętego? - zdziwił się szczerze Mikołaj. - Powtarzam: prezenty są anonimowe, kwota do ustalenia. Samorząd proponuje dziesięć, góra piętnaście złotych.

- E, no co wy? - wyskoczyła Majka. - Co się kupi za piętnaście złotych?

- Prezerwatywy choćby - rzucił jeden. Niektórzy chichotali, niektórzy psykali i przez

chwilę nie dało się ich uspokoić. Mikołaj musiał podnieść głos o dwa tony.

— Naszym zdaniem wystarczy. Nie chodzi o to, żeby wpędzać się w koszty, ale pokombinować, wymyślić coś dowcipnego i w lepszym guście niż... prezerwatywy.

— Nie używasz? — zdziwił się ten sam dzoker. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Mikołaj nie dał się zbić z tropu.

— Jest jeszcze jedna sprawa. Musimy się złożyć po złotówce na prezent dla Aldony. Niezręcznie byłoby kazać jej losować. Mikołaj Mikołajem, prezent będzie od nas wszystkich w tej samej cenie co inne. Za resztę dokupi się ładne opakowanie. Teraz głosujemy. Losy są już przygotowane i albo je wykorzystamy, albo wyrzucimy.

Las rąk w górze upewnił samorząd, że nawet w tak niewydarzonej klasie jak I e od czasu do czasu można coś zrobić wspólnie.

Lilka, ledwie rozprostowała swoją karteczkę, wpadła w przygnębienie. Nie zdążyła się załamać tylko dlatego, że Aldona weszła do klasy.

— Ja mam Przemka, a ty? — szepnęła Oliwia, zerkając ciekawie na zaciśniętą rękę Lilki.

— A ja mam pecha — odszepnęła Lilka. Otworzyła pięść.

— Prymusik? Ale jajo!

Ich chichoty nie uszły uwagi Aldony.

— Co to jest psalm? — spytała, patrząc na rozbawioną pierwszą ławkę.

Lilka błyskawicznie przeszła od Prymusika do Biblii. Wstała jak na sprężynie.

- Jest to hebrajska pieśń poetycka o treści religijnej, rodzaj śpiewnej modlitwy. Zbór stu pięćdziesięciu psalmów...

-Dziękuję, siadaj. A już myślałam, że mylisz psalm ze skeczem.

Aldona byłaby chora, gdyby nie przygadała uczniowi złapanemu na nieuwadze, nawet jeśli w porę zaskoczył i odpowiedział trafnie.

Majka kilka razy, niby mimochodem, wspominała o urodzinach Lilki. Nie pytała wprost, kiedy będą, bo знаła pierwotny termin i szykowałą się na sobotę, ósmego grudnia. Nawet jej do głowy nie przyszło, że mogłaby nie zostać zaproszona. Ale nadszedł piątek, trio rozmawiało o wszystkim, tylko nie o imprezie, więc zagadnęła sama, żeby się upewnić co do pory.

- Jutro szalejemy u Lilki, tak? O której zbiórka?

- Szalejemy? - zdziwiła się Oliwia. - Nic o tym nie wiem. Zresztą mam szlaban, i to przez twoje wygłupy, więc jeśli poszaleję, to z Miśką na dobranocce.

- Przez moje wygłupy? - zdziwiła się szczerze Majka.

- Wypiłam tylko trzy piwa, jak mogłam się wygłupiać?

- Nie mam jutro urodzin - zaprzeczyła stanowczo Lilka.

- No wiem, są dziesiątego, w poniedziałek, ale mówiliśmy przecież, że impreza będzie...

— Nic takiego nie mówiliśmy. Zdawało ci się, bo rośniesz - wtrącił Mikołaj. - Teraz daruj, musimy załatwić coś bardzo ważnego.

— Przecież mogę iść z wami.

— Nie znałaś zmarłego, nie musisz iść na jego pogrzeb - wyjaśniła dobrotliwie Lilka.

— Czyj to pogrzeb?

— Pana Antoniusza - powiedział Mikołaj z całą powagą.

Zostawili zaskoczoną Majkę na środku ulicy i dopiero za rogiem dali upust wesołości.

— To był dobry moment, żebym jej wygarnęła, co o niej myślę - stwierdziła Lilka, kiedy już trochę spowaznieli. - Chyba stchórzyłam. Co sobie przypomnę jej matkę z rurką w krtani i zawał ojca, to ściska mnie za gardło i nie umiem sklecić przyzwoitego zdania. Od razu widzę Magusię, tatę i myślę, że gdyby mnie dotknęło takie nieszczęście, to chyba bym zwariowała. Na szczęście Magusia mówi, że z tatą coraz lepiej, już nawet on odzyskał nadzieję na wyleczenie. Ale ta Majka...

— Dobra, nie ma jej co wychowywać — machnął ręką Mikołaj. - Niech ją Pan zachowa w zdrowiu, byle z dala od nas. Wiecie z czego ten cytat?

-Człowieku, *Skrzypka na dachu* mam obcyka-nego, zagram ci każdą piosenkę - roześmiała się Oliwia. - Majka po dzisiejszym chyba nam odpuści.

Lilka nie była taka pewna, czy Majka odpuści, więc sobotnie popołudnie i wieczór przesiedziała u Oliwii. Trochę się uczyły, potem posłuchały amerykańskiego popu, przy którym świetnie się gadało, zwłaszcza o

sercowych dolegliwościach. Niestety, ostatnio ani jedna, ani druga nie miała obok siebie męskiego ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Nawet telefoniczny wielbiciel Lilki, spec od lirycznych SMS-ów, zamilkł na dobre.

— Nikt nas nie kocha, nikt nas nie lubi — westchnęła Oliwia.

— No! — przytaknęła Lilka.

Był to stały tekst, który co jakiś czas lubiły sobie przypomnieć.

W poniedziałek rano Lilkę dotknęła amnezja. Trochę zasnęła, w biegu wzięła prysznic, o śniadaniu nie miała już czasu pomyśleć i popędziła na dół. Dopiero kiedy Mikołaj złapał ją wpół i podniósł, przypomniała sobie, że jest już bardzo stara i lada moment grozi jej emerytura. Uściskali ją na ulicy, co nie budziło niczyjego zdziwienia. Ulice widziały już różne uściski i zdążyły do nich przywyknąć.

Lilka wbiegła do klasy pierwsza i stanęła jak wryta. Sto lat odśpiewane na kilkanaście głosów to było nic w porównaniu z rozradowaną Majką. Ludzie rzucili się z życzeniami. „Wszystkiego najlepszego, wszystkiego najlepszego...” mówili jeden po drugim. Poczowała się jak Małgorzata na diabelskim balu u Wolanda, tyle że Małgorzaty nikt nie całował, a Lilkę wszyscy. A właściwie nie wszyscy. Paweł podszedł do niej na samym końcu.

— Przepraszam za to... no wiesz i chciałbym, żebyś przestała się już gniewać.

Nie powiedział „Żebyś sobie darowała focha”, nie użył ani jednego wytrycha ze znakiem q, zachował się całkiem jak nie-Paweł.

— Masz rację, stary — uśmiechnęła się — szkoda życia na fochy.

Wszedł mister Twist i wszyscy rozbiegli się na swoje miejsca.

Ledwie po angielskim przeszli do gabinetu historycznego, Majka zaczęła szaleć.

— To są pierwsze takie fajowe urodziny w klasie! — darła się. — Pierwsze wspólne sto lat. Trzeba to uczcić, Lilka, słyszysz?

Choćby Lilka była głucha jak ciotka Emilia, musiałyby usłyszeć ten jazgot. Pomyślała, że przerobienie Majki na karmę dla kotów byłoby za małą karą. Należałoby jeszcze dopilnować, żeby kocury zżarły wszystko do ostatniego okruszka. A Majka nie odpuszczała.

— Lilka, mieszkasz sama, chata wolna, nie rozumiem, czego się boisz? Jak ci szkoda kasy, możemy zrobić zrzutę.

Tego już było za wiele. Lilka nie chwaliła się wolną chatą i wcale nie chciała, żeby ta wiadomość obiegła całą klasę. Wiedziała ekipa, to oczywiste, ale ekipy nie miała powodów się bać, natomiast ludzi z klasy nie znała. Wypadało jednak coś powiedzieć, bo pomysł na darmową imprezę spotkał się z entuzjazmem.



— Dziękuję za życzenia, byliście bardzo mili, jednak, sorry, nie zaproszę was, bo mam dość skomplikowaną sytuację rodzinną i, prawdę mówiąc, nie mam głowy do imprez. Może innym razem.

— I czego ty się boisz? — powtórzyła Majka.

Lilka całkiem bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści. Podeszła trzy kroki, żeby nie krzyczeć i nie robić sensacji w klasie.

— Ciebie — powiedziała zimno. — Myślałam, że takie idiotki istnieją tylko w bajkach dla niegrzecznych dzieci. Niestety, zmieniłam zdanie.

Odwróciła się i wyszła z klasy.

— Pocięło cię?! — Majkę najwyraźniej zawiódł instynkt samozachowawczy, nie dostrzegła zmrużonych ze złości oczu Lilki ani zaciśniętych szczęk. Wyskoczyła z ławki i pogoniła na korytarz.

Zanim Mikołaj z Oliwią zdążyli za nią wybiec, Majka trzymała się za nos i z trudem łapała powietrze. Oliwia chwyciła Majkę, Mikołaj Lilkę.

Jedna stała blada i lekko zszokowana, druga pokazała, jak wygląda histeria w najczystszej wydaniu. Spazmy, łkanie, krzyk — wszystko to odegrała znakomicie i na tyle głośno, że sąsiednie klasy też mogły sobie posłuchać. Dzwonek co prawda ogłosił już początek lekcji, lecz kto by się przejmował dzwonkiem, jeśli na korytarzu działy się takie ciekawe rzeczy.

Oliwia koniecznie chciała zaprowadzić Majkę do pielęgniarki. Szarpała się z nią przez chwilę, wresz-

cie złapała za ramię i bez zbędnych ceregieli pociągnęła za sobą. Od lat trenowała tenis stołowy, więc miała dość siły.

Mikołaj objął Lilkę, jakby próbował osłonić ją od kłopotów, które i tak były nieuniknione. Tuż obok nich wyrósł Paweł.

— Chodź, Lilka, musimy uprzedzić Aldonę — powiedział Mikołaj.

— Daj mi spokój — mruknęła.

— On ma rację — wtrącił Paweł. — Majka to his-teryzka, zanim się obejrzysz, zrobi aferę na całą szkołę.

Z dwojga złego wolała już iść z Mikołajem, niż słuchać Pawła i patrzeć na zaciekawione twarze ludzi z klasy. Na końcu korytarza pojawił się profesor Bezikowski, zwany Bezikiem. Mikołaj coś mu wytłumaczył i pociągnął Lilkę za sobą. Przejął inicjatywę, a ona poddała się biernie. Szczęście im sprzyjało. Aldona miała okienko, siedziała w pokoju nauczycielskim i poprawiała kartkówki. Teraz już nie Mikołaj miał mówić, tylko Lilka.

— Pani sorko, uderzyłam koleżankę — powiedziała zwyczajnie i bez wykrętów, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

— Niechący? — upewniła się Aldona.

— I tak, i nie. Chciałam ją odepchnąć i uderzyłam w twarz — przyznała Lilka. — Przykro mi, taka jest prawda.

Wychowawczynie patrzyła z niedowierzaniem.

- Czy ty wiesz, że będę musiała obniżyć ci ocenę ze sprawowania? Najpierw awantura z profesorem Kowalskim, teraz chuligański wybryk, co jeszcze wymyślisz? Ćpasz?

Bez zbędnych ceregieli zajrzała Lilce w oczy i widać nie wyczytała w nich nic ciekawego poza rezygnacją, bo trochę się uspokoiła.

- Kogo uderzyłaś i dlaczego, opowiadaj! - poleciła.

Lilka oblizwała suchym językiem suche wargi i poczuła, że w głowie ma pusty balonik. Najlepiej byłoby zacząć od początku, od imprezy u Oliwii, ale wtedy musiałaby wsypać Pawła i resztę. Tego akurat nie chciała. Im mniejsza afera, tym lepiej było dla wszystkich.

- Majka wie - zaczęła niepewnym głosem - że w tej chwili mieszkam sama.

- I co z tego? — spytała Aldona. Rzeczywiście, z tego nic jeszcze nie wynikało.

Musiała brnąć dalej.

- Ja tego nie rozgłaszam, nie chcę, żeby ktoś poza moimi przyjaciółmi wiedział...

- O czym wiedział? Że masz chatę do dyspozycji? - upewniła się Aldona. W rozmowach z uczniami lubiła czasem posłużyć się ich językiem.

-No właśnie! A Majka próbuje zmienić moje mieszkanie w dyskotekę. Zaprasza ludzi bez mojej wiedzy...

- Nachodzą cię? Przeszkadzają?

— Nie... To znaczy raz urządzili kocią muzykę... Nie wiem kto, bo nie było mnie w domu.

— I za tę kocią muzykę dałaś jej w nos?

— Tak... To znaczy nie. Dzisiaj są moje urodziny i Majka chce je wyprawić u mnie dla całej klasy.

— Nie wystarczyło wytłumaczyć, że sobie tego nie życzysz?

— Ona już zaprosiła całą klasę...

Lilka nie miała nic więcej do dodania. Wyręczył ją Mikołaj.

— Majce nie można niczego wytłumaczyć. Dla niej liczy się tylko to, czego ona chce.

— Wybryk chuligański pozostaje wybrykiem chuligańskim bez względu na to, z jakich pobudek został popełniony — powiedziała ostro Aldona. — Na przerwie przyjdźcie obie do pracowni polonistycznej. Za poważna sprawa, żeby udawać, że nic się nie stało. A co z Majką?

— Oliwia zaprowadziła ją do pielęgniarce — wyjaśnił Mikołaj.

— Dolega jej coś? Ma rozbity nos?

— Nie, ale... krzyczała głośniejszym głosem, niż to było warte.

— Skąd możesz wiedzieć? Nie ty oberwałeś — ucięła ostro Aldona. — Wracajcie do klasy i cieszcie się, że nie jesteście w mojej skórze.

— Pani sorko, ja to rozumiem, właśnie dlatego, że taka sytuacja w domu, że matka z rurką, że ojciec... zawał, myśmy tolerowali jej wszystkie wyskoki, żeby nie odtrącać... — mówiła Lilka i jednocześnie czuła, że nawet Filip tłumaczyłby jaśniej.

Aldona patrzyła na nią ze zmarszczonym czołem.

— Ty na pewno nic nie bierzesz? — spytała.

— Nie! — powiedziała Lilka zdecydowanie. Kiedy już byli przy drzwiach, padło jeszcze jedno pytanie.

— Kto się tobą opiekuje teraz, kiedy mamy nie ma?

— Wujek z ciocią, przyjaciółka mamy, nasza gosposia i oni — wskazała głową na kolegę — to znaczy Mikołaj, Oliwia i dodatkowo ich rodzice.

— Silna grupa — mruknęła Aldona. — No, zmiatajcie!

Szli w milczeniu pustym korytarzem. Lilka czuła, że połowa jej zdenerwowania została w pokoju nauczycielskim. Tylko połowa, bo awantura dopiero się rozkręcała.

— Mocno jej przywaliłaś? — spytał Mikołaj.

— Niestety, nie. Naprawdę próbowałam ją tylko odepchnąć. Nic jej nie zrobiłam, bo zdążyła się uchylić... Ale ręka na nosie wylądowała.

— Najpierw ją szczypiesz, potem walisz, gotowa cię oskarżyć, że nastajesz na jej życie. Za to idzie się siedzieć.

Pokiwała głową, jednak nie miała nastroju do żartów.

Kiedy weszli do klasy, Majka już tam była. Głowę złożyła na ławce jak ktoś chory lub płaczący. Lilka spojrzała na Oliwię, Oliwia na Lilkę, ale pogadać się nie dało. Bezik nie tolerował szeptów w czasie lekcji. Zresztą mówił ciekawie i z werwą, dobrze się go słuchało.

W dzieciństwie Lilka miała charakterek, który tylko dzięki mądrości rodziców z czasem zmienił się w charakter. Była dzieckiem energicznym, bardzo inteligentnym, ale też wyjątkowo samodzielny. Już w piaskownicy nauczyła się bronić swojej nietykalności, a robiąc to, bez większych skrępowań naruszała nietykalność innych dzieci. Nie reagowała po dziewczęcemu, nie skarżyła, nie płakała, tylko załatwiała porachunki jak nie łopatką, to ręką. Na plus trzeba było jej oddać, że nigdy nie atakowała pierwsza. Nie kierowała się agresją, jedynie biblijną mądrością „zab za zab”, chociaż Biblii jeszcze wtedy nie znała. Ostatni wybryk, przesadnie nagłościony przez ówczesną wychowawczynię, miał miejsce w drugiej klasie podstawówki i wiązał się z zębem Oliwii, najlepszej przyjaciółki. Ten zab ruszał się, przeszkadzał, więc jeden z kolegów, pod pretekstem obejrzenia, złapał go palcami i wyrwał. Przestraszona Oliwia rozplakała się, a Lilka, niewiele myśląc, dopadła śmiałka i w efekcie bijatyki też pozbawiła go mlecza. Chłopak wypluł zab na rękę i odechciało mu się śmiechów. Było więc jak w Biblii, tyle że wmieszała się wychowawczyni, która nie dość, że była nowa i nie znała jeszcze dzieci, to — na nieszczęście Lilki — widziała samą końcówkę

awantury. Dopadła do nich, utuliła wystraszonego Mikołaja i całą niechęć skupiła na Lilce. Powtarzała w kółko: „Jak mogłaś go uderzyć?” oraz „Nie wiesz, że nie wolno nikogo bić?”. Lilka wiedziała, że nie wolno, lecz musiała się jakoś bronić. „Właśnie, że wolno! Mnie rodzice biją codziennie” - powiedziała, bo takie wytłumaczenie wydawało się najbardziej przekonujące i zarazem zabawne. Magusia nie podzielała jej rozbawienia, kiedy zmuszona była przekonywać nauczycielkę, panią pedagog oraz dyrektorkę szkoły, że preferuje inne metody wychowawcze niż kara cielesna, której nie stosuje z przekonania.

Od tamtego czasu Lilka nie podniosła ręki na nikogo i przeszła na bardziej cywilizowane formy załatwiania porachunków. Złamała się dopiero w dniu swoich szesnastych urodzin.

Niby słuchała wykładu Bezika, ale myślami była gdzie indziej. Próbowwała wzbudzić w sobie skruchę i nie mogła. Za to poczuła prawdziwy strach, taki przypisany jedynie do spraw poważnych. Lilka знаła kilka rodzajów strachu. Największy dotyczył Magusi i taty: lęk przed chorobą lub innym nieszczęściem, które mogło zburzyć życie rodzinne. Jak bardzo był paraliżujący, przekonała się w czasie choroby ojca. O siebie się nie bała. Młoda, zdrowa, nie zakładała, że może jej się stać coś bardzo złego. A od spraw drobniejszych były inne strachy: taki przed klasów-

ką, do której nie zdążyła się przygotować, lub przed przyznaniem się do winy, kiedy coś przeszkrobała. Słyszając z ust wychowawczyni określenie „wybryk chuligański”, zaczęła się poważnie obawiać, że mogą ją wyrzucić ze szkoły, a wtedy całkowicie zawiedzie Magusię i ojca. No i wcześniej musiała o wszystkim powiedzieć wujkowi.

Mikołaj wziął na siebie doprowadzenie Majki do pracowni polonistycznej. Wisiała mu na ramieniu i słaniała się na nogach, jak ktoś bardzo osłabiony. Oliwia szła z Lilką.

— Nawet nie miałam pojęcia, że istnieją takie cholerne histeryczki — mówiła ze złością. — Pociesz się, pielęgniarce też jej dała w pysk. Lekko co prawda, tyle tylko, żeby przestała wyć, a zaczęła kontaktować. Z miejsca oprzytomniała. Nawet siniaczka nie ma, nawet kropelka krwi się nie pokazała, nic, kompletnie nic. Pielęgniarsce powiedziała, że została pobita przez koleżankę. Bezikowi też. Szykuje się afera na pół szkoły albo i na całą.

Z wielkiego współczucia Oliwia pocałowała Lilkę w policzek, po czym wepchnęła przyjaciółkę do pracowni. Oboje z Mikołajem trzymali wartę pod drzwiami.

Aldona na widok uczennic westchnęła ciężko. Nie lubiła afer. Bez sympatii popatrzyła na Lilkę, bladą, ale spokojną, potem wbiła wzrok w Majkę, która wyglądała tak, jakby lada moment miała zemdleć.

— Jak się czujesz? — spytała.

Majka chlipnęła bezradnie jak małe dziecko.



— Mam straszne zawroty głowy i okropnie boli mnie tutaj. — Dotknęła palcem okolic nosa. — Pani pielęgniarka uważa, że to może być złamanie przegrody nosowej albo i wstrząs mózgu.

— Nie przesadzasz? — zdziwiła się Aldona. — Mnie powiedziała, że nie znalazła nic niepokojącego. Nos cały, głowa też.

— Możliwe, że się przesłyszałam — szepnęła Majka. — Byłam w szoku.

-No dobrze, szok, mam nadzieję, minął, teraz opowiedz o samym wydarzeniu. Muszę wiedzieć, jak przedstawić sprawę dyrekcji i waszym rodzicom.

— Rodzicom? — zdziwiła się Majka.

Jej głos nie brzmiał już tak omdlewająco jak dwie minuty wcześniej. Można było nawet odnieść wrażenie, że to głos całkiem rzeński.

— Oczywiście! Czy myślisz, że zataję tak poważną sprawę, jak pobicie w szkole? A jeśli się okaże, że rzeczywiście masz wstrząśnienie mózgu, to kto będzie odpowiadał, ja? Jutro zgłaszacie się z rodzicami... to znaczy w przypadku Lilki niech będzie opiekun.

Lilka z trudem przełknęła ślinę. To, czego się najbardziej bała, stało się nieuchronne: rozmowa z wujkiem, odebranie papierów ze szkoły, a dalej... Nie miała pojęcia, co dalej. Aldona nie patrzyła na nią, tylko na Majkę. Surowo, uważnie, ze zmarszczonym czołem.

— Pytałam, jak doszło do tej gorszącej awantury?

— Właściwie to — zawahała się Majka — sama nie wiem, czy to można nazwać awanturą, pani sorko. Lilka powiedziała mi coś przykrego w klasie i wyszła. Wybiegłam za nią na korytarz, żeby wyjaśnić, i... i ona mnie odepchnęła.

— Odepchnęła czy uderzyła? Nie widzisz różnicy?

— Wtedy byłam w szoku. Teraz, kiedy ochłonęłam, uważam, że to było bardziej odepchnięcie niż uderzenie. Takie bolesne odepchnięcie.

— To skąd ta histeria?

— Mówię przecież, że byłam w szoku. Ja jestem bardzo wrażliwa... Ja... Teraz, jak tak chłodno myślę, to nawet głowa mnie nie boli ani nos.

Dla pewności obmacała sobie całą twarz, a Aldona nie mogła oczu oderwać od zielonych tipsów w kształcie łopatek.

— Co było przyczyną sprzeczki?

— Tak sobie myślę, że mojej winy też trochę było... bo w dobrej wierze, z dobrego serca... ogłosiłam w klasie urodziny Lilki i namawiałam ją, żeby postawiła... to znaczy, co ja mówię, żeby razem zrobić przyjęcie.

— Ty i ona?

— No nie, cała klasa, żebyśmy się lepiej poznali.

— Gdzie miało być to przyjęcie?

— Nie wiem... To już zależałoby od Lilki.

- U niej w mieszkaniu?

- No, może... Ale, pani sorko, ja już nie mam żalu do Lilki. Może rzeczywiście przesadziłam. Ona też przesadziła, i to jakby się wyrównuje.

- Napiszesz mi na jutro takie oświadczenie, że nie było pobicia i nie masz pretensji?

- Pewnie, że tak - zadeklarowała Majka swoim jak najbardziej normalnym głosem.

Aldona kazała Majce wracać do klasy, a Lilce zostać.

## 17.

Nad przyjęciem urodzinowym zawisło jakieś fatum. Najpierw był szlaban Oliwii, a w sobotę przed południem Lilka dostała SMS od Mikołaja: „Mam areszt domowy. Nie przyjdę wieczorem. Sorry. Jutro wszystko wytłumaczę”. Dwie minuty później odebrała drugi SMS, tym razem od Oliwii: „Mikołaj ma areszt domowy, nie przyjdzie wieczorem, trzeba coś zrobić”. Odpisała natychmiast: „Zaczynam działać!”. Było to stwierdzenie na wyrost, powinna raczej odpisać: „Zastanawiam się, jak działać”, lecz na zastanawianie brakowało czasu. Do przyjęcia urodzinowego zostało zaledwie kilka godzin.

Pomyślała chwilę, odkroiła kawałek ciasta upieczonego przez panią Malinowską, pysznego zresztą, i zaczęła grzebać w szafkach kuchennych w poszukiwaniu salaterki w błękitne paski. W tej salaterce Mikołaj przyniósł jej niedawno domowe pierogi, więc nadeszła pora, by zwrócić naczynie. Owinęła ciasto folią, wpakowała do salaterki i pobiegła. Po drodze coś tam sobie w głowie układała, ale nie był to drobiazgowy plan. Miała niezły refleks i zdecydowanie woląла improwizować, niż wygłaszać wcześ-

niej przygotowane teksty. Wiadomo przecież, że wszystkiego człowiek nie przewidzi, że czasem trzeba iść na żywioł. Wślizgnęła się do budynku za jakąś sąsiadką i biegnąc po schodach, przemawiała do siebie tak, jak to często robiła Misia: „Pamiętaj, Lilka, banan na gębie, w sercu wiosna, nic nie wiesz, oddajesz tylko salaterkę”. Zapukała, spojrzała na matkę Mikołaja i odechciało jej się uśmiechów. Zobaczyła smutną, zapłakaną twarz z podkrążonymi oczami.

— Stało się coś? — spytała przerażona.

Tkwiła na progu z pakunkiem w garści, jakby bała się dać krok do przodu.

— Podobno nic się nie stało — powiedziała pani Podlaska, wpuszczając ją do mieszkania. — Mój bardzo dorosły syn wyszedł wczoraj na godzinę do kolegi, wrócił o czwartej nad ranem, niezbyt trzeźwy, ale twierdzi, że nic się nie stało. Też tak myślisz, że nic?

— Ja go chyba rozszarpie! — wykrzyknęła Lilka. -  
Mogę?

— Proszę bardzo, wejdz, rozszarp, bo ja już nie wiem, jak mam do niego mówić.

Lilka tylko buty ściągnęła, nie zawracała sobie głowy kurtką ani czapką. Wpadła do pokoju z hukiem otwieranych drzwi. Mikołaj jak to Mikołaj, łóżka nie pościelił, torbę z książkami zostawił na środku dywanu, sam siedział przed komputerem i albo w coś grał, albo czegoś szukał w internecie, nie zdążyła zauważyć.

- Ty draniu! Jak mogłeś mi to zrobić! - krzyczała. -  
Chyba do reszty cię pogięło!

Nie żartowała. To nie była mówka przygotowana dla uszu matki, tylko krzyk rozpaczony i największego wzburzenia.

- Ciszej! — poprosił. — Ciszej!

- Co ciszej? Żadne ciszej. Mam ochotę wybić ci następny ząb, wszystkie zęby... Mam ochotę cię rozszarpać. Psujesz mi urodzinową imprezę, czy to do ciebie dociera? Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Usiądź!

- Gdzie niby? W twojej rozmemłanej pościeli?

- Choćby na dywanie. Łeb mi pęka.

- Zaczynaj leczyć ten swój łeb, bo zaraz będzie za późno. Co ci odbiło?

- Co się takiego stało, że wróciłem trochę później, co? - fuknął ze złością. - Nic złego nie robiłem, gadaliśmy z Rajem, z Damianem i nikt nie patrzył na zegarek.

- Może szkoda, że nikt! Czasem powinniście patrzeć nie tylko na markę, ale i na wskazówki!

- Dobra, odpuść!

Wyszła z pokoju załamana. Objęła matkę Mikołaja i miała wielką ochotę rozplakać się na jej ramieniu.

- Szlaban? - spytała cicho.

- Przykro mi, Lilu, ale tak postanowiliśmy z mężem. Jeszcze trochę za wcześnie, żeby Mikołaj robił wszystko, na co mu przyjdzie ochota. Jeszcze za

wcześnie. A najgorsze jest to, że on nie czuje się winny. Spóźnił się pięć godzin, cuchnął jak cały browar i nie czuje się winny, rozumiesz?

Lilka wybiegła z oczami pełnymi łez. Zanim doszła do Oliwii, a miała raptem do przejścia ze dwieście metrów, wysłała przyjaciółce trzy SMS-y z samymi inwektywami: kretyn, debil, półgłówek. Nie siliła się na wyjaśnienia, na to miała jeszcze czas, dawała jedynie upust rozżaleniu. Mikołaj był kochany, bardzo kochany, ale czasem wkurzał ją jak mało kto. Lilka też miała wady, odstawiała różne numery, jednak szanowała dane słowo. Jak powiedziała Magu-si, że wraca o dziesiątej, to choćby impreza była najfajniejsza, wstawiała i wychodziła. Nie z głupiego, paralizującego strachu, tylko z troski o Magusię, żeby sobie nie musiała wyobrażać tragicznych scen z córką w roli głównej. Kiedy się do tego przyznawała, Mikołaj rechotał pobłaźliwie, inni patrzyli ze zdziwieniem, jedynie Oliwia przyznawała jej rację. Z Oliwią nadawały na tych samych falach. Jedna zaczynała mówić, druga kończyła zdanie. Przyjaźniły się od dziesięciu lat, i to o czymś świadczyło. Mikołaj trzymał z nimi od dziewięciu lat, czyli też bardzo długo, lecz był facetem, a to całkiem odmienny gatunek człowieka.

Lilka z wielkim żalem myślała o nieobecności Mikołaja na swoich urodzinach. Z trudem doliczyła się dwu imprez, na których trio wystąpiło w niepełnym składzie. Raz na zakończenie roku w pierwszej klasie gimnazjum, kiedy Oliwia zachorowała na ospę, i bodaj w trzeciej klasie, kiedy Mikołaj wyjechał z rodzicami w

góry. Poza tymi dwoma usprawiedliwionymi przypadkami zawsze szaleli razem. Jeśli ktoś miał szlaban, to zmieniało się datę imprezy. Teraz, krótko przed świętami, nie mogła i nie chciała przekładać urodzin raz już przełożonych.

O dziewiętnastej zaczęli się schodzić goście. Lilka była znakomitą panią domu, przynajmniej jeżeli chodziło o maniery. W kuchni radziła sobie mniej niż średnio, ale napatrzyła się, jak Magusia podejmowała gości, jak umiała się cieszyć z najdrobniejszych nawet upominków, i z tej wiedzy korzystała. Prezenty były wyłącznie symboliczne, bo w ekipie nikt się nie obnosił z kasą. Kupowało się płyty, książki, drobne kosmetyki. Największa przyjemność sprowadzała się do wspólnej zabawy, wygłupów, czasem też do poważnej dyskusji niekoniecznie o muzyce.

Kiedy impreza zaczęła się rozkręcać, nieoczekiwanie odezwał się domofon i po chwili do mieszkania wkroczył Mikołaj.

— Dzięki Lilce tu jestem — powiedział.

— Też wymyślił — parsknął śmiechem Raj. —  
Wszyscy jesteście tu dzięki Lilce.

— Stary, ja jestem dzięki łzom Lilki. Mam szlaban, ale tak pięknie zagrała, że staruszce serce zmiękło.

— Wiesz co - odezwała się Lilka. - Dzisiaj ci nic nie powiem, bo dziś jesteś moim gościem, ale jutro ci powiem, że jesteś największym kretyńcem, jakiego



znam. Nie udawałam! Przysięgam, że nie. Naprawdę żal mi było twojej matki, że urodziła takiego debila.

Zrobiło się odrobinę niezręcznie. Mikołaj minę miał niepewną, więc Raj pośpieszył mu z pomocą.

— Debiła czy kretyna? — spytał. — Bo tak namie-szałaś, że trudno się połapać.

— Kretyn — stwierdziła Lilka. — Debil to za mało. Ale — zawahała się i dokończyła znacznie cieplej — cieszę się, że ten kretyn przylazł.

Ciotki Lechosława i Emilka byłyby dumne z siostrzenicy, widząc, że wreszcie robi użytek z telewizora, choć pewnie kręciłyby nosami na wybrany kanał. Lilka włączyła Vivę i przestała sobie zawracać głowę dobieraniem płyt. Kto chciał, wstawał i tańczył, kto nie chciał, siedział i gadał. Zerkąła od czasu do czasu na dwójkę nowych, czyli na Martynę i Szymona, żeby sprawdzić, jak się bawią w nowym towarzystwie. Z ulgą stwierdziła, że bardzo dobrze, więc rozejrzała się jeszcze, czy nikt niczego nie potrzebuje, i wyszła na moment do gabinetu. Starannie zamknęła za sobą drzwi. Musiała, koniecznie musiała zadzwonić do matki Mikołaja. Złamanie szlabanu to było coś więcej, niż mogła oczekiwać. Podziękowała śpiesznie, trochę chaotycznie, bo zawsze w takich sytuacjach brakowało jej słów.

— O której on ma wrócić? — spytała. — Proszę mi powiedzieć, to osobiście go wykopię, choćbym nawet miała uszkodzić palce u nogi.

— Nie wykopuj go — stwierdziła pani Podlaska. — Dajmy mu się wykazać, może wreszcie coś do niego dotarło.

Lilka rozłączyła się i z radości miała ochotę pocałować komórkę. Najwidoczniej jednak telefonik sobie tego nie życzył, bo rozśpiewał się i zadrgał jej w rękę. Wpadła do salonu z palcem na ustach.

— Cii! — krzyknęła.

— Cisowianka? — roześmiał się Mikołaj. Lilka zamachała ręką.

— Majka, moja gadzina - sprostowała. Ściszyła telewizor. Komórkę trzymała tak, żeby inni też mogli posłuchać.

Pytanie: „Co robisz?” zabrzmiało zwyczajnie i całkiem na miejscu. Zwykle od niego zaczynały się rozmowy.

— Jestem u ciotki na kolacji - skłamała gładko Lilka.

— Dziwne — zauważyła chłodno Majka. — Przechodzę obok twojego domu i dałabym sobie głowę uciąć, że widzę w oknach światło.

W oczach Lilki zapalił się diabelski ogień.

— No to jesteś bez głowy — powiedziała. — Jak wychodzę na dłużej, zostawiam światło dla zmyłki.

— Nie oszczędzasz prądu? — spytała Majka.

— Oszczędzam nerwy wujka. Przejeżdża ulicą, widzi światło i jest spokojny, że nie włączę się wieczorami — wyjaśniła, zwijając się z uciechy.

Bawiły ją rozradowane twarze kumpli, bała się tylko, żeby ktoś nie przerwał milczenia jakimś niewczesnym żartem. Dawała im znaki ręką, że mają być cicho.

— Jak sobie chcesz — powiedziała Majka. — Dzisiaj było u mnie pogotowie. Po tym uderzeniu, wiesz jakim, z moją głową dzieje się coś złego.

— Przecież ty nie masz głowy! — wypaliła Lilka. Szymon, poważny Szymon, nowicjusz w ekipie, ścisnął palcami nos i zapał dyszkancikiem:

— Lilu, kurczaki stygną!

Rozłączyła się, zanim zdążyła krzyknąć: „Nara!”. Wszyscy parsknęli śmiechem. Numer z kurczakami był przedni, tyle że Lilce zdążył się już włączyć agresor. Mikołaj odciągnął ją na bok.

— Spoko! Przypomnij sobie, co ci mówiła Aldona. Masz się od Majki trzymać jak najdalej, tak? To się trzymaj. Dorosłych też czasem warto posłuchać... No co, banan i wracamy do gości.

O dziewiątej zjawił się dostawca pizzy i wielkie tańce zmieniły się w wielkie żarcie poparte zażartą dyskusją o rapie. W Vivie leciał teledysk The Game'a i Raj zabronił nawet mlaskania.

— Czaicie, ile w tych słowach jest najprawdziwszego buntu? — spytał.

— Możliwe, stary, ale mnie bunt nie kręci — powiedziała Małgosia. — Ja wolę pop.

— Gadasz! Młodzi zawsze się buntowali — stwierdził Raj.

Małgosia nie dawała za wygraną.

— Dziewczyny, wy też się buntujecie?

— Ja często — przyznała Lilka — zwłaszcza przeciwko ciotkom, ale przecież nie będę układać piosenek o Emilce i Lesi. Jeszcze tego brakowało w sztuce.

— Ty jak się zbuntujesz, walisz na odlew bez śpiewania — roześmiał się Mikołaj.

— A chcesz się przekonać, że masz rację? — spytała.

I choć w jej głosie nie było buntu, Mikołaj zaczął udawać, że bardzo się boi, Damian umazał sobie nos keczupem i nagle zrobiło się tak wesoło jak w przedszkolu podczas podwieczorku. Nawet Raj oderwał się od telewizora, bo *Kiss, kiss* w wykonaniu Chrisa Browna to już nie był utwór dla niego.

O dziesiątej Mikołaj podniósł się z ociąganiem i zaczął szykować do wyjścia. Posypały się protesty. Może nawet by im uległ, gdyby Lilka nie kazała mu się wynosić, i to w podskokach.

## 18.

Z prezentami gwiazdkowymi Lilka miała spokój. Magusia przysłała wielką pakę, w której znalazły się szalowe ciuchy dla córki, świąteczne upominki dla rodziny i sporo różnych gadżetów dla przyjaciół. Niestety, jeden prezent wciąż pozostawał pod wielkim znakiem zapytania, a mianowicie ten klasowy, dla Prymusika. Bajerancka zawieszka do komórki w kształcie rękawicy baseballowej nie była zła, tylko niezbyt oryginalna, choć amerykańska.

— To był głupi pomysł z tymi prezentami — złościła się Lilka w drodze ze szkoły. — Nie można obdarowywać ludzi, których się nie zna. Nie wiem, co on czyta ani czego słucha, nic o nim nie wiem.

— Głosowałaś? — spytał Mikołaj. — Głosowałaś! To teraz przestań się wściekać, po prostu wysil szare komórki.

— Jeżeli myślisz, że myślisz, to pomyśl, że to wcale nie takie proste! — westchnęła.

— Kto mówił, że będzie proste? Wiesz, ile mieliśmy kłopotów z Aldoną? Martyna wpadła na pomysł, żeby kupić aniołka z masy solnej. Aldonie na pewno się przyda dodatkowy opiekun, a właściwie opiekunka. Aniołek wygląda na samiczkę.

— Prymusikowi nie kupię samiczki, sam sobie znajdzie. — Lilka wzruszyła ramionami. — Ostatnio sporo z nim gadasz, nie wiesz przypadkiem...

— Nie tylko z nim gadam — przerwał jej Mikołaj — ale doszliśmy do wniosku, że mamy wiele wspólnego. Wypiliśmy po piwku w Muszelce, wyjaśniliśmy sobie, co trzeba. Koleś przyznał, że na początku trochę przesadził z tą pozą na polityka opozycji. Lubi zagrywać, ale nie jest głupi.

— Okay! — wykrzyknęła Lilka. — Niech sobie będzie nawet geniuszem, mam to w nosie. Chciałam tylko spytać, czy ty nie wiesz, czy on ma jamnika? Jasno się wyrażam? Jasno. W lumpku widziałam takie ładne wdzianka dla jamników.

— A jak ma dobermankę, to własny sweter przerobisz? — Oliwia się roześmiała, a Mikołaj wzruszył ramionami.

Oliwia miała podobny kłopot. Wylosowała Przemka, o którym mogła powiedzieć tylko tyle, że chodzi do I e. Kupiła kamienną figurkę ludzika z napisem na piersiach „Twardziel” i uznała, że facet powinien poczuć się doceniony.

Wracali ze szkoły w trójkę jak za dawnych dobrych czasów. Nie znaczyło to, że Majka się odczepiła. Tak dobrze nie było. Jeżeli nawet wyczuwała lodowatą atmosferę, udawała, że wszystko jest po staremu. Odprowadzała ich po lekcjach i dopiero wtedy jechała do śródmieścia, nadkładając jakieś trzy przystanki. Tego dnia jednak została w szkole na dodatkowych zajęciach z polskiego. Znalazła się w grupie ludzi, którzy strasznie

skopali wypracowanie, i Aldona zarządziła dla nich specjalną lekcję. Trio, ostatnie już takie, bardzo się cieszyło z tych dodatkowych zajęć.

— Ona mi już dwa razy powiedziała, że powinnam jej być wdzięczna — mruknęła Lilka.

— Jaka ona? — zdziwił się Mikołaj. — Ta dober-manka, której nie ma Prymusik?

— Jaka znowu dobermanka? O Majce mówię — jęknęła Lilka. — Ostatnio zaczęła do mnie wydzwaniać wieczorami.

— Nie odbieraj telefonów, przecież nie musisz.

— Wszystkich nie odbieram, powiedzmy co trzeci. Czy ja się powinnam jej bać? Że ona ma coś nie tak z głową, to pewne. Musielibyście widzieć, jak szybko wtedy u Aldony wyzdrowiała. Dosłownie w oczach.

— Ciesz się, byłaś świadkiem cudu — stwierdziła poważnie Oliwia i natychmiast zachichotała.

Lilce nie było aż tak wesoło.

— Aldona wspomniała o rodzicach i nagle taka zmiana — przytaknęła. — Ciekawe dlaczego? Majka, jak zaczyna nawijać o staruszkach, natychmiast robi minę męczennicy. A wtedy nic, żadnych min, żadnych pojękiwań, że mamie się pogorszyło, a ojciec wciąż pod tlenem. Nawet o nich nie wspomniała, tylko wyszła z choroby jak z wanny i po krzyku. Czy to was nie dziwi?

— Nie mamy ciekawszych tematów? — zainteresował się Mikołaj.

— Mamy, oczywiście, że mamy, tylko ta Majka... — zaczęła i nie skończyła.

Sama widać doszła do wniosku, że takie roztrząsanie do niczego dobrego nie prowadzi.

Wieczorem Lilka otworzyła zeszyt, żeby napisać coś mądrego na temat najważniejszych cech średniowiecznej pieśni maryjnej. Spojrzała na ścianę w poszukiwaniu natchnienia i zatrzymała wzrok na zielonym kartonie z modlitwą świętego Tomasza z Akwinu. I tak urodził się pomysł na prezent dla Prymusika. Aż krzyknęła z zachwytem. Znalazła w biurku Magusi arkusz czerpanego papieru, flamaster i coś jeszcze: lakową pieczęć ze sznurkiem, prawdopodobnie od jakiejś wódki, co nie miało większego znaczenia. Przyklepiła ją na dole kartki pod tekstem modlitwy, który przepisała z wielką starannością. Czerpany papier, pieczęć lakowa, to jeszcze było za mało. Przypomniała sobie, jak Magusia bawiła się kiedyś w tworzenie kolaży, które potem pięknie postarzała. Postanowiła zrobić coś równie fajnego. Najpierw podpaliła jeden róg arkusza. Ledwie się zajął, zgasila ogień i otrzepała starannie papier. Kiedy już wszystkie rogi były nadpalone, delikatnie przykładała płonącą zapałkę do brzegów kartki, tyle tylko, żeby je zaczernić i uzyskać drobne nierówności. I oto miała przed sobą opatrzony pieczęcią stary druk, nadgryziony zębem czasu. Efekt był fantastyczny. Włożyła kartkę w plastikową koszulkę, dołączyła zawieszkę do komórki i całość ładnie opakowała. Teraz mogła wrócić do wypracowania.



Święty Mikołaj wywiązał się z obowiązku. Dostarczył prezenty prosto na lekcję wychowawczą. Na stoliku Aldony stało spore tekturowe pudełko po makaronie. Klasa zastygła w oczekiwaniu. Wiadomo było, że za piętnaście złotych nikomu nie dostanie się laptop ani odtwarzacz MP4, jednak zawsze można było liczyć na jakiś fajny żart, niekoniecznie anonimowy. Poczta pantoflowa zadziałała prawie bez zarzutu i ludzie wiedzieli nie tylko, kogo obdarowują, ale też, kto im daje prezent. Nieświadomych pozostało niewielu, raptem ze trzy osoby, w tym Lilka, która czekała cierpliwie, aż Mikołaj, nie ten święty, tylko klasowy, dotrze do jej nazwiska. Kątem oka obserwowała Prymusika. Wyjął zawieszkę, dobrał się do „starodruku” i chyba go замуrowało. Dobrze wiedział, komu dziękować, bo spojrzał na pierwszą ławkę i uniósł kciuk do góry na znak, że wszystko w porządku. Zdążyła kiwnąć głową i już musiała biec po swój upominek. Dostała płaską paczuszkę owiniętą w kolorowy papier z bałwankami. Pod palcami wyczuła kartonowe pudełko. Powoli odwinęła papier, zajrzała do pudełka i też ją zatkało, tak jak Prymusika. Patrzyła na siebie. W drewnianej, ręcznie rzeźbionej ramce, za szkłem tkwiło jej zdjęcie. Uśmiechała się swoim najładniejszym, jakby lekko nieśmiałym uśmiechem, stała na

tle otwartego okna, wiatr delikatnie rozwiewał jej włosy, a za plecami widać było szkolne boisko i żółty klon. Fotograf musiał mieć talent, bo choć zdjęcie zrobił najprawdopodobniej komórką, nie można się było przyczepić do jakości. Ramka ślicznie pachniała świeżym drewnem.

- Ojej! - zdołała wykrztusić Oliwia. - Ty jak ty, zawsze fajnie wychodzisz na fotkach, ale rameczka rewelacyjna!

- Wiesz od kogo? - spytała Lilka.

-Ani, ani. Któryś z chłopaków, innej opcji nie widzę. Podziękuj głośno, a ja na nich popatrzę.

Lilce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ledwie ostatni prezent opuścił kartonowe pudło po makaronie, odwróciła się do klasy i uniosła wysoko portrecik.

-Nie wiem, od kogo dostałam to чудо, myślę oczywiście o ramce, dopiero potem o zdjęciu. Wielkie dzięki... Dawno już nic mnie tak nie ucieszyło!

-Z wyjątkiem paki od Magusi - dokończyła Oliwia szeptem.

Portrecik zrobił wrażenie na klasie, nikt jednak nie śpieszył z zapewnieniami, że to jemu należą się specjalne podziękowania, może nawet buziaki.

- No co ty? Naprawdę mi się podoba — zapewniła Lilka też szeptem. — Patrzyłaś i co?

Aldona podeszła, zaczęła oglądać portrecik, kiwać głową z uznaniem, więc przerwały rozmowę.

Lilka dała dobry przykład, bo Prymusik też się pochwalił swoim prezentem, który zyskał wielkie uznanie, zwłaszcza w oczach wychowawczyni.

— „Panie, użyż mi chwalebego poczucia, że czasem mogę się mylić” — przeczytała głośno i dodała, że tę złotą myśl powinni zapamiętać wszyscy.

Ludzie wstawali jeden po drugim, żeby pokazać maskotki, kapcie ze sklepu „Wszystko za cztery złote” z wyhaftowanym dodatkowo serduszkiem, gumowy młoteczek do wybijania głupich pomysłów, cynowy kufelek wielkości małego kieliszka i wiele innych prezentów, przyjmowanych wybuchami śmiechu. Dziewczynie, która non stop obgryzała paznokcie, przypadł w udziale żelowy gryzaczek, a Mikołajowi maskotka świętego imiennika i czekoladowe jajko z doczepionym proporczykiem: „Żadna dziewczyna nie da ci tyle radości co kinderniespodzianka”.

Nie wszyscy jednak znali granice dobrego żartu. Chłopak, który dostał biustonosz z powodu nadwagi, z trudem panował nad zdenerwowaniem, a szara myszka Julita rozpląkała się i nie chciała powiedzieć dlaczego.

— Myślała, że to szminka — powiedziała Aśka, jej sąsiadka, i pokazała Aldonie niewielki metalowy wibrator.

Całkiem miła klasowa impreza zakończyła się wykładem na temat nieprzemyślanych żartów, które potrafią bardziej zboleć niż rąbnięcie głową w kaloryfer.

Lilce nie dawał spokoju portrecik. Prezent był pracochłonny, pięknie wykonany i krył zagadkę. Zdjęcie pochodziło z jesieni, a więc z okresu, kiedy trio wyraźnie trzymało się na uboczu i nie próbowało nawiązywać bliskich relacji z resztą klasy. Wy tłumaczenie nasuwało się jedno, musiała komuś wpaść w oko na tyle mocno, że uwiecznił ją cichcem. Ale komu? Zzerała ją kobieca ciekawość.

Po dzwonku Majka nie odstępowała tria na krok. Razem schodzili do szatni i słuchali jej złośliwych wynurzeń.

— Kolczyki z farbowanych piórek! — prychała. — Bardziej wsiowego prezentu chyba nikt nie dostał.

— A ty co kupiłaś? — spytała Oliwia.

— Słodycze.

— To ci powiem, że te piórka są całkiem ładne i dużo zdrowsze, bo nie grożą nadwagą.

— Nadwaga to twój problem, nie mój — zauważyła Majka.

Oliwia z miejsca się zjeżyła.

— Dobra, powiedziałaś, co ci się wydawało, a teraz zjeżdżaj do domu, bo robi się zimno.

Majka walczyła z popsutym zamkiem przy kozaczku, więc zostawili ją w szatni i puścili się biegiem.

— I co? — spytała niecierpliwie Lilka, kiedy wreszcie odeszli na bezpieczną odległość.

— Moim zdaniem to Filip, Waligóry 8. Jak zaczęłaś dziękować, on jeden wyraźnie przeżywał — powiedziała Oliwia.

Mikołaj wybuchnął śmiechem.

— Przeżywał upadek z drabinki na wuefie. Krzywił się z powodu skrzywionej nogi, a nie jakichś tam podziękowań.

Lilka wyraźnie odetchnęła. Byłaby niepokieszona, gdyby taki ładny prezent pochodził od paskudnego Filipa z Waligóry 8.

— Zachowałaś kartkę z nazwiskiem? — spytał Mikołaj. — Może dałoby się dojść po charakterze pisma.

— Wydruk z kompa — mruknęła.

— Sama nie wiem — zastanawiała się głośno Oliwia.

— Prymusik raczej nie, bo oglądał ramkę z wielkim zainteresowaniem...

— Co jeden, to lepszy! — jęknęła Lilka.

— A kogo byś chciała? — zainteresowała się Oliwia.

Lilka bezradnie wzruszyła ramionami. Żaden chłopak w klasie nie budził żywszych uczuć i żaden jej się nie podobał. Oczywiście Mikołaja nie brała pod uwagę. Mikołaj w życiu by niczego nie wystrugał poza jakimś numerem, był przyjacielem i wylosował Asię, nie Lilkę.

## 19.

Ciotka Emilka, kiedy została seniorką rodu, dobrowolnie wzięła na swoje barki przygotowywanie Wigilii i wielkanocnych śniadań. Zostało to ustalone raz na zawsze i ogłoszone w obecności całej rodziny. Niby zdejmowała siostrom i szwagierce kłopot z głowy, jednak przy każdej uroczystości tak narzekała na zmęczenie i przepracowanie, że ojcu Lilki barszczyk stawał kością w gardle. Przychodził tylko dlatego, że Magusia go o to prosiła.

Ta Wigilia nie zapowiadała się inaczej. Jak każdego roku Emilka była mocno poirytowana. Pracy rzeczywiście miała mnóstwo, noszenie zakupów ją męczyło, nie umiała jednak przygotowywać jedzenia w rozsądnych porcjach. Wszystkiego musiało być dużo za dużo, żeby nie zabrakło. Uporczywe siedzenie w kuchni, smażenie, siekanie, patroszenie pozbawiało ją największej przyjemności, czyli oglądania seriali. Widocznie zaczynała się starzeć, bo poszła na łatwiznę i zamiast uszek ulepiła pierogi wielkości męskiej dłoni. Karpie też lekko przypaliła. Lesia i ciotka Jola przyniosły swoje potrawy, bo nigdy tak nie było, żeby wszystkie obowiązki spadały na jedną tylko Emilkę.

— Idźcie, idźcie — przeganiała je z kuchni — pooglądajcie telewizor. Ja też bym sobie wolała popatrzeć, niż prażyć się w tej duchocie. Ale ktoś musi, pewnie... Padło na mnie, pewnie...

Mamrotała i mamrotała. Kiedy kolacja była gotowa i nadszedł moment dzielenia się opłatkiem, ściszyła telewizor, ale go nie wyłączyła.

— Może będą śpiewać kolędy — powiedziała.

— To już jest uzależnienie — zauważył chłodno wujek Anatol. — Jak narkotyk, papieros albo wódka.

Ciotka zastygła z otwartymi ustami, odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Trzasnęły drzwi od łazienki, co znaczyło, że najbardziej uroczysta chwila wieczery stanęła pod wielkim znakiem zapytania. Bez ciotki nikt nie chciał zaczynać, a z ciotką się nie dało. Wujek Marcin odmówił pomocy, mądrze tłumacząc, że niepotrzebnie rozsierdzi żonę, która i tak nigdy go nie słucha. Pod łazienkę poszła Jola, kobieta anielskiej cierpliwości. Anatol najmniej przejął się całą awanturą, znalazł jakąś starą gazetę i zaczął czytać.

— Widzisz, co narobiłeś, widzisz! — irytowała się ciotka Lesia.

— Wygłosiłem tylko prawdę ogólną, a że Emilia wzięła ją do siebie, to już nie moja wina — wyjaśnił i wrócił do lektury.

Piętnaście minut trwała banicja ciotki, wreszcie Joli udało się sprowadzić ją do pokoju. Oczy miała czerwone, pociągała nosem jak skrzywdzone dziecko, ale podzieliła się opłatkiem nawet z Anatolem.

— Nikt mi w życiu nie powiedział, że jestem al-koholiczką i narkomanką — powiedziała groźnie. — Musiałam dożyć chwili, że zrobił to najmłodszy brat. A ja ci tyłek wycierałam... — chlipnęła.

— Dziękuję, Emilio! — Wujek nachylił się i pocałował ciotkę w rękę, jakby po latach pragnął wyrazić wdzięczność za to wycieranie tyłka.

Trochę czasu upłynęło, nim wszyscy uściskali wszystkich i wreszcie zasiedli do stołu. Gorące dania trochę w tym czasie wystygły, nikt jednak nie miał pretensji. Siedzieli ściśnięci jak szprotki w puszcze. Pokój był niewielki, a musiał pomieścić choinkę i czternaście osób, w tym dwójkę wnucząt Emilki, dość hałaśliwych, bo wychowywanych bezstresowo. Od tej dusznej, rodzinnej atmosfery Lilkę rozboleła głowa. Siedziała jak na szpilkach i z wielką radością myślała, że za chwilę pobiegnie do pani Natalii i tam wreszcie odkryje prawdziwy smak Wigilii. Porozmawia przy tym z Magusią, bo pani Natalia też miała skype'a i umówiły się, że zadzwonią razem. Niestety, wcześniej musiała wytłumaczyć ciotkom, że pierwszy dzień świąt spędzi u Oliwii, drugi u Mikołaja. Też chciała mieć trochę radości. Tęsknota za rodzicami, zwłaszcza za Magusią, bardzo się nasiliła w czasie świąt i tylko przyjaciele mogli ją złagodzić.



— Patrzcie, jak mi nogi popuchły — westchnęła Emilia. — Człowiek się stara, zwija, ale żeby kto docenił, to nie.

Stała w drzwiach z podkasaną spódnicą i demonstrowała niezbyt urodziwe łydki, teraz rzeczywiście spuchnięte i pewnie obolałe.

— Przestań sobie, ciociu, wypruwać żyły. — Lilka zacytowała Rybkę, chociaż nie zrobiła tego złośliwie. — Odpocznij, poleż, przecież po to są święta.

— Dobrze ci mówić! Pojutrze przychodzicie na obiad i kto to wszystko zrobi? Krasnoludki?! — fuknęła Emilia.

— Mnie możesz nie liczyć. Obydwa dni spędzam u przyjaciół.

Podniósł się harmider wywołany przez dwie tylko osoby. Emilka z Lesią na zmianę i w duecie nie chciały słyszeć, nie przyjmowały do wiadomości i ostro protestowały przeciwko pogwałceniu świąt rodzinnych.

— Nas też nie liczcie — powiedział Anatol. — Wykupiliśmy z Jolą miejsca w pensjonacie i za chwilę wyjeżdżamy.

Zapadła głucha cisza.

— Pewnie, jeżeli rodzinę ma się za nic, jeżeli nie szanuje się świętych więzi, to potem takie są efekty — stwierdziła ciotka Lesia.

— Obie będziecie miały mniej pracy — powiedziała cicho Lilka.

Jej odpowiedź rozmyła się w krzykach i pretensjach.

Wyszła razem z wujkiem i Jolą tuż po rozdaniu prezentów. Niosła ze sobą ciepłe majtki z długimi nogawkami od Emilki i gruby szary podkoszulek od Lesi. Ciotki zawsze uzgadniały ze sobą, co komu kupują, i starały się łączyć prezenty w jakieś sensowne komplety. Płyn po goleniu i dezodorant dla wujka, szczotkę do rąk i krem dla Joli. Lilka od wielu lat dostawała majtki i koszulkę. Co roku, wracając z kolacji, wrzucała te prezenty do pojemników z odzieżą dla ubogich.

## 20.

Święta, święta i po świętach. Tak mawiały ciotki, kładąc nacisk na słowa „po świętach”. W ich głosach przebijało zadowolenie, że życie wraca do normy, że koniec z targaniem zakupów oraz gotowaniem ponad miarę i potrzeby. Lilka zdecydowanie wolała święta i z wielką niechęcią myślała o powrocie do szkoły, a zwłaszcza do lekcji. Zbliżał się koniec semestru, wiadomo było, że nauczyciele zaczną szaleć z odpytywaniem i kartkówkami. Bezik, nauczyciel historii, świetny wykładowca, ale chyba bałaganiarz, nie miał zwyczaju wstawiać ocen do dziennika. Zapisywał je w notesie, na jakichś świstkach, i potem okazywało się, że uczniowskie czwórki i piątki gdzieś ginęły. Pały też czasem znikwały, ale to już nikogo nie martwiło. Lilka była pewna, że z historii ma dwie piątki i czwórkę, gdy tymczasem okazało się, że w dzienniku stoi samotna czwórka. Mikołaj nie mógł się doliczyć jednej piątki, za to nie wiedział, skąd mu się wzięła trójka. Z nieba nie spadała, to pewne. Bezik musiał coś pomieszać, może karteczki, może nazwiska.

Rybka tuż przed świętami zapowiedziała kolejny sprawdzian. Z żadnego przedmiotu nie było tyle pał,

ile z geografii. „Ściągać czy pisać własnymi słowami?” — takie pytanie nurtowało najambitniejszych. Trio, wspierane przez Prymusika, protestowało przeciwko bezmyślnemu wkuwaniu na blachę.

Po lekcjach zebrali się w szatni sporą grupką.

— Też jestem przeciw — mówił Patryk, ten sam, który dostał w upominku biustonosz — ale zastanówcie się, jak poprawić dwie pały? Za odpowiedź własnymi słowami mam ledwie tróję, to na koniec semestru wyjdzie mi jedynka z plusem i małym ogonkiem. Wiecie, gdzie ja mam taki interes?

— To co zrobisz? — spytała Martyna.

— Zachowam zdrowy rozsądek i będę ściągął z zeszytu, słowo w słowo.

— Namawiam Szymona i Martynę, żebyśmy wystąpili do dyrektorki o zmianę nauczyciela — powiedział Mikołaj. — Rozważam ten pomysł, odkąd zostałem przewodniczącym samorządu.

— Nic nie zwojujesz. To domena rodziców, tylko oni mogą zgłosić taki wniosek — wyjaśnił Prymusik.

— W gimnazjum w ten sposób zmieniliśmy fizyczkę. Agentka jakich mało, olewała nas totalnie.

— A Rybka nas nie olewa? — zdziwiła się Oliwia.

— Wymyśliła podręcznik, którego nigdzie nie można było kupić, a jak już kupiliśmy, to możemy nim wytapetować kibelki. Ani jednego normalnego wykładu, dyktuje i dyktuje do znudzenia.

- Musimy znaleźć jakieś wyjście — upierała się Lilka.

— Jak pół klasy znowu dostanie pały, to Rybka będzie

musiała coś z tym zrobić. Wtedy można iść do Aldony, do dyrekcji, narobić szumu.

— Szum ucichnie, pały zostaną — mruknął Patryk.

— Geografia to mój konik, od jednej ściągniętej klasówki wiedza mi się nie zawali.

— Mam swoje zasady — oświadczył Prymusik.

— Nie będę wkuwał, nie będę ściągał i zapewniam was, że tę rundę mam wygraną.

Patrzyli na niego bez przekonania. Z Rybką można było wygrać jedynie poprzez przyjęcie jej warunków. Prymusik te warunki odrzucał, więc o wygranej nie miał co marzyć.

— Jak to szło? — Oliwia trąciła Lilkę w ramię. — „Panie, przekonaj mnie, że ja też jestem omylny”?

— Spoko! — Prymusik się roześmiał. — Mam chwalebne poczucie, że czasem mogę się mylić, lecz nie tym razem. Chcesz się założyć?

Oliwia pokręciła głową. Innych chętnych też nie było. Najambitniejsi niczego nie wymyślili. Każdy złapał swoją kurtkę i swoje buty, by po chwili zniknąć za drzwiami szatni.

Lilka, przyzwyczajona w gimnazjum do piątek i szóstek zdobywanych bez większego wysiłku, w liceum trochę się zagubiła. Nauka nadal nie sprawiała jej kłopotów, zabrakło tylko wytrwałości. Zwłaszcza po wyjeździe Magusi zauważyła u siebie ospałość i niechęć do ślęczenia nad podręcznikami. Dokładnym odbiciem tej niechęci były stopnie. Zamiast czwórek i piątek dostawała tróje, które zbliża-

ły ją do średniaków, a nie najlepszych uczniów. Głośno mówiła, że ma to w nosie, że nie uczy się dla stopni, jednak przed sobą musiała przyznać, że z wyjątkiem polskiego, historii i języków jej wiedza też była ledwie średnia. Magusię to bardzo martwiło. Tłumaczyła na odległość starą prawdę, że stopień na świadectwie widać gołym okiem, a to, co w głowie — trzeba dopiero udowodnić, o ile ma się ku temu okazję. Lilka przyznawała Magusi rację, po czym brała podręcznik do ręki, otwierała, zamykała i mówiła sobie: jakoś to będzie. No i było jakoś.

Zaczął się styczeń, karnawał i zbliżały się skromne imieniny Mikołaja połączone z siedemnastymi urodzinami oraz huczna osiemnastka Dariusza, kumpla z ekipy. Ostatnio Dariusz trochę zaniedbał trio, bo pochłaniało go jakieś nowe hobby, nie wiedzieli jakie. Był człowiekiem przeskakującym od pasji do pasji. Miał ich mnóstwo: kajaki, nurkowanie, walki wschodnie, kosz, a ze spokojniejszych to chyba tylko modelarstwo. Osiemnastka Dariusza była drugą w ekipie tak ważną okazją, więc trio przeżywało ją — mówiąc językiem Oliwii — bardziej niż stonka wykopki. Mikołaj nawet zaangażował się w przygotowania, pogadał z Martyną i załatwił salkę w Fantasmagorii. Impreza miała się odbyć w sobotę, a na piątek Rybka zapowiedziała klasówkę z geografii.

Lilka, Mikołaj i Oliwia bawili się już na kilku osiemnastkach, głównie jako osoby towarzyszące. Były to duże imprezy, z udziałem przyjaciół i dalszych znajomych. Dariusz, gdyby chciał zaprosić wszystkich

kumpli, musiałyby wynająć rynek miejski i niechybnie doprowadziłyby rodziców do bankructwa samym choćby piwem. Z konieczności ograniczył się do najbliższych tylko przyjaciół. Trio oczywiście figurowało na pierwszym miejscu. Miała być też Martyna, która dzielnie pomagała w wynajęciu sali. A jak Martyna, to i Szymon. Między tą dwójką najprawdopodobniej coś zaiskrzyło.

- Mówiłem wam już, że Paweł też będzie? - zagadnął Mikołaj.

Siedzieli u Oliwii, powtarzali matematykę i co rusz robili sobie przerwę, żeby pogadać o osiemnastce. Chwilowo nie było ważniejszego tematu.

- Z Protem, kumplem od kołyski? - zainteresowała się Oliwia.

— O Procie nie słyszałem — roześmiał się Mikołaj.

- Darek z Pawłem razem nurkują i bawią się w robienie zdjęć podwodnych czy coś takiego. Ten Paweł to nie jest głupi facet. Próbuje się ze mną zakolegować i parę razy pogadaliśmy w szkole. Chyba spoważniał. Słysząc Filipa, Sebastiana, tych dwóch... jak im tam, a jego prawie wcale.

— Mało go znam. — Lilka wzruszyła ramionami.

- Przeprosił mnie i zaczął unikać.

Oliwia spojrzała na zegarek. Wrócili do matematyki.

W Fantasmagorii była niewielka boczna salka przeznaczona na małe imprezy. Bez trudu pomieści-

li się tam goście Dariusza, raptem trzydzieści osób. Stawili się wszyscy. Przy pierwszej lampce szampana mowę wygłosił Raj, człowiek pełnoletni od pół roku, a więc najstarszy w gronie. Sam mianował się seniorem i gorąco powitał nowego przedstawiciela dojrzałej społeczności. Chwilę potem posypały się życzenia, głównie seksu i pieniędzy, oraz prezenty, mniej lub bardziej śmieszne, w każdym razie przeznaczone dla mężczyzn. Niewiele ich było: fartuszek kuchenny z genitaliami wymalowanymi w odpowiednim miejscu, ciepłe kapcie z czubkami w kształcie penisków i tym podobne głupotki z sex-shopu. Poważniejsze prezenty ludzie wręczali na wejściu. Na dorosłą drogę życia Dariusz został wyposażony w kilka ładnie wydanych książek, płyty z muzyką, niewielką drewnianą rzeźbę atlety, eleganckie wieczne pióro, płetwy, litr koniaku, pół litra whisky, ze trzy inne butelczyny i cały stosik mniejszych upominków.

Szampan zaszumił w głowach i przełamał pierwsze onieśmielenie. Właściwie niewiele było do przełamywania, bo sztywność i dystans to przywilej dorosłych. Młodzi mówią: „Hej!”, zaczynają rozmawiać i znajomość zawarta. Mikołaj uruchomił sprzęt i na rozruszanie puścił muzykę klubową. Na tańce było jeszcze odrobinę za wcześnie. Niby wszyscy rozmawiali ze wszystkimi, ale stali oddzielnie w niewielkich grupkach. Lilka towarzyszyła Martynie i Szymonowi, dwa kroki dalej tkwił Paweł, niby z nimi, ale sam. Podbiegła Oliwia.



— Agresor mnie dopadł — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — Każdy ma swoje małe paranoje, ale ta lasencja ma ich stanowczo za dużo.

Nie musiała mówić kto, wystarczyło, że patrzyła po przekątnej na drugi koniec salki, gdzie obok otyłego chłopaka, zwanego w ekipie Rudym, choć był brunetem, stała dziewczyna bliźniaczo podobna do Majki. Typ dyskotekowej laski: pępek na wierzchu, przyciasne biodrówki, na głowie balejaż, a do głowy lepiej nie zaglądać. Na oko widać było, że w nosie ma Rudego i desperacko szuka nowego chłopaka. Rozglądała się wokół i jeśli uchwyciła czyjś wzrok, podskakiwała i kiwała radośnie ręką. Pomachała i Oliwii, a może raczej Pawłowi, który górował nad grupą i mógł się podobać. Rudy był wyraźnie speszony i bez humoru.

— Pogadałam z nimi chwilę i powiem wam, że tej idiotki nie da się słuchać. Dołuje chłopaka, wyzywa i całkiem nie jarzy, że jest tu wyłącznie dzięki niemu — złościła się Oliwia.

— Mnie wkurza jej wygląd! Za bardzo podobna do Majki. Mam z nią pogadać? — spytała groźnie Lilka.

Roześmiali się wszyscy, nie wyłączając Pawła.

— Lepiej nie — powiedział Szymon. — Bywasz zbyt bezpośrednia.

— Lilka jest sercem naszego tria, ona jedna bije — wyjaśniła z powagą Oliwia, czym znowu rozbawiła kolegów.

— Trzeba wziąć Rudego do nas i po krzyku — zdecydowała Lilka. — Ślubu jeszcze z nią nie brał i chyba nie weźmie... Taką mam nadzieję. Słuchajcie — zwróciła się do tych, co Rudego nie znali — to jest fenomenalnie zdolny matematyk, świetny chłopak, byle tylko z nim nie wymieniać listów. Nawet w wyrazie „mak” potrafi zrobić trzy błędy.

— Chyba się nie da! — Martyna się roześmiała.

— Dla Rudego nie ma rzeczy niemożliwych.

— To lecę po niego. — Oliwia zastygła w półobrocie. — A jeżeli nie zechce zostawić damy? Na damę nie mam ochoty.

— Spoko! Już ma ją z głowy. Uczepiła się Raja — wyjaśniła Martyna.

— Raj ją spławi szybciej, niż myślisz! — Oliwia machnęła ręką dla podkreślenia swoich słów i pobięła.

Dariusz świetnie się wywiązywał z obowiązków gospodarza przyjęcia. Chodził od grupki do grupki, pytał ludzi, jak się bawią, tu pogadał, tam się pośmiał. Doszedł też do Lilki. Już wcześniej było ustalone, że trio pełni funkcję współgospodarza imprezy. Darek nie miał dziewczyny, a sam nie bardzo ogarniał takie drobnostki jak kolejność podawania potraw czy choćby spakowanie prezentów.

— Dbacie z Oliwią o moich gości? — spytał.

— Jak o siebie — kiwnęła głową.

— Zajmij się Pawłem — poprosił — on tu połowy ludzi nie zna.

Już chciała burknąć, że Paweł do nieśmiałych nie należy, ale dała spokój.

— Okay! — Uśmiechnęła się do Dariusza. — Idź podtrzymywać innych na duchu.

Mikołaj zmienił repertuar. Charakterystyczny głos Ciary zelektryzował salkę. Śpiewała *Goodies*, piosenkę, która ścisnęła nie tylko serca. Jedna para zaczęła tańczyć, reszta ruszyła się dopiero przy *1,2 step*.

Paweł trzymał się blisko Lilki, jakby wziął sobie do serca słowa Darka i rzeczywiście potrzebował opiekunki. Tańczyli obok. Znowu było trochę tak, jak wtedy na schodach w szkole. Powinni zamienić kilka słów... i chyba nie bardzo wiedzieli, o czym rozmawiać.

Impreza rozkręciła się na dobre. Lilka parę razy z niepokojem zerknęła na stolik z prezentami. Mimo że stał w kącie, co rusz ktoś wpadał na niego, a wtedy szkło niebezpiecznie brzęczało. Pociągnęła Pawła za rękaw.

— Chodź, pomożesz mi spakować prezenty — powiedziała.

Pakowanie wcale nie było łatwe. Teraz ludzie nie wpadali na stolik, tylko na nich. Ustalili, że książki pójdą na spód, a butelki, po owinięciu papierem, na sam wierzch. Dla pewności można je będzie poprzedziłać miękkimi maskotkami i innymi drobiazgami. Lilka wzięła do ręki drewnianą rzeźbę atlety, której też nie groziło stłuczenie ani rozbicie. Obejrzała ją

z przodu i z tyłu. Atleta był wykonany z surowego drewna, nieco toporny, jednak miał swój urok.

— Podoba mi się — powiedziała. — A tobie? Paweł, pochłonięty owijaniem butelek w papier, burknął tylko jakieś „mhm” czy „aha”.

— Ładna — powtórzyła Lilka. Niedyskretnie zajrzała do kolorowej wizytówki z symbolem osiemnastki.

— Przecież to od ciebie! — wykrzyknęła. — I nic nie mówisz?

— A co mam mówić?

— Nie wiem — stwierdziła — ale coś mógłbyś powiedzieć.

Skupiony na butelkach, nawet na nią nie spojrzał. Z przyjemnością wciągnęła w nozdrza zapach, który przypominał jej wakacje w tartaku u angielskiego wujka. I jeszcze coś o wiele bliższego, co miało miejsce niedawno. Spojrzała na Pawła. Stał bokiem do niej, z głową pochyloną nad stolikiem tak, że widziała tylko jego profil.

— Słuchaj, to zdjęcie w ramce, przed Gwiazdką, no wiesz, to było od ciebie?

Zmieszał się i chyba lekko zarumienił. -Tak.

— Dlaczego nic nie powiedziałeś?

— A co miałem mówić? — zdziwił się znowu i wreszcie wyprostował.

— Dlaczego nie powiedziałeś, że to od ciebie? Pytałam przecież.

— Mnie nie pytałaś.

— Pytałam, kto mnie wylosował.

— Ja cię nie wylosowałem. Zamieniłem z kimś... W przeciwnym wypadku to ty dostałabyś wibrator.

Lilka lekko się zmieszała.

— Bardzo mi się podoba i zdjęcie, i ramka. Sam ją zrobiłeś?

— Prawie, dziadek mi pomógł. Robi różne rzeczy z drewna, również rzeźbi.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Tyle czasu zastanawiała się, kim był tajemniczy autor portretu, a prawda okazała się całkiem banalna.

— Dzięki jeszcze raz! — Uśmiechnęła się. — Fajnie, że to ty, bo już podejrzewałam, że mam w klasie jakiegoś tajemniczego wielbiciela.

— Dlaczego fajnie, że to ja? — spytał bardzo poważnie.

Teraz z kolei ona się zmieszała.

— Tak sobie tylko zażartowałam. Kiedy zrobiłeś mi zdjęcie?

— Dlaczego fajnie, że to ja? — powtórzył z uporem.

— Nie nadaję się na tajemniczego wielbiciela, to chciałaś powiedzieć?

— Ojej, Paweł, czepiasz się słów! Nie zastanawiałam się nad tym, bo wcale o tobie nie pomyślałam.

— Za to ja myślę o tobie bardzo często — przyznał i wrócił do pakowania.

O nic więcej nie spytała. Do końca imprezy bawili się razem, ale niewiele rozmawiali. Wyrzucała

sobie w duchu, żartem oczywiście, że nie dała chłopakowi szansy na rozwinięcie językowych umiejętności. Nie dość, że mało mówił, to jeszcze bardzo się pilnował i ani razu nie zaklął. Gdyby pociągnęła go za język, rozruszała trochę, może zacząłby przypominać dawnego Pawła. Ze zdziwieniem zauważyła, że pił bardzo niewiele.

Impreza trwała do trzeciej nad ranem. Tylko cztery osoby wyszły wcześniej, a Raj odwiózł dziewczynę i wrócił. Wysypali się z Fantasmagorii dużą i dość hałaśliwą grupą. Ktoś się śmiał, ktoś sobie ryknął na całe gardło. Czemu ludzie mieli spać spokojnie w swoich łóżkach, jeśli oni wracali właśnie z osiemnastki?

— Odprowadzę cię — zaproponował Paweł.

- Dzięki, leć do domu. Wracam w silnej grupie — odpowiedziała Lilka.

— Trzymaj się! — mruknął.

- No pa!

Przez całą drogę milczała. Teraz, kiedy zagadka została rozwiązana, było jej trochę smutno. Wcześniej mogła się jeszcze łądzić, wybierać... chociaż tak naprawdę nie miała w kim wybierać. W każdym razie o Pawle nawet nie pomyślała. Najbardziej zapamiętała go z andrzejkowej imprezy u Oliwii, a wtedy nie był ani zabawny, ani tym bardziej romantyczny. Nic nie mogła poradzić, że tak go odbiera.

## 21.

Geografia podzieliła trio. Mikołaj z Oliwią zdecydowali się na myślenie, ślęczeli więc nad książkami, żeby się nie podłóżyć na jakimś głupstwie. Lilka, po krótkim tylko wahaniu, przyjęła strategię Patryka. Z odpowiedzi miała czwórkę, więc rezultatem drugiej pały z klasówki byłaby dwójka na okres. Aż tak bardzo nie chciała sobie psuć średniej i postanowiła się poddać. Kiedy więc Rybka weszła do klasy z kartkówkami, była spokojna o swoją ocenę i tym razem już się nie pomyliła.

— Czegoś jednak was nauczyłam — powiedziała Rybka, sięgając po kartkówki. — Wyrażna poprawa, wyraźna. Arent cztery, Cypis trzy plus... Grant pięć, dobra praca...

Lilka nie czuła najmniejszej satysfakcji. Ściągać prawie każdy potrafił, chyba że nie miał z czego. Parę osób widać nie miało, bo pojawiły się też dwójki i tylko trzy jedynki: Mikołaja, Oliwii i Prymusika. Ci z całą pewnością nie ścigali ani też niczego nie wykuli na pamięć, może z wyjątkiem definicji.

— Ej, tancerze, tancerze! — mruknęła Rybka. — I czego wy się spodziewacie na koniec semestru?

Wstał Prymusik. Zaczął mówić, zanim Rybka dopuściła go do głosu:

— Ja spodziewam się rzetelnej oceny mojej wiedzy. Pani sorka ocenia wyłącznie swoją wiedzę, czyli to, co nam podyktuje.

— Siadaj! — powiedziała ostro Rybka.

— Przeczytam coś i usiądę — obiecał Prymusik. — Mam tu trzy opinie nauczycieli geografii, o tej właśnie pracy, którą pani sorka oceniła na jedynkę. Opinia pierwsza: „Temat przedstawiony w sposób wyczerpujący i inteligentny. Uczeń rozumie, o czym pisze. Proponowana ocena: pięć mniej”.

— Siadaj! — zdenerwowała się Rybka. — Co ty mi tu wyczytujesz za głupoty? Kto może lepiej wiedzieć ode mnie, coś ty nabazgrał?

— Wszyscy, którzy tę pracę czytali — wyjaśnił niezrażony jej tonem Prymusik i podniósł do góry swoją wypasioną komórkę z całkiem niezłym aparatem fotograficznym. Dla lepszego efektu pstryknął nawet zdjęcie.

Prymusik wiedział, co robi, kiedy chciał się w szatni zakładać, że drugą rundę z Rybką ma wygraną. Skorzystał z dobrodziejstw techniki i wymyślił plan nad podziw prosty. Zanim oddał pracę, sfotografował ją, a w domu zgrał zdjęcia do komputera i wydrukował tekst. Jego ojciec dał pracę do przeczytania trzem znajomym nauczycielom geografii, którzy ocenili ją na cztery plus, pięć minus i pięć. Prymusik miał w garści trzy egzemplarze pracy, trzy opinie o niej i trzy pozytywne oceny, bardzo zbliżone, co w zestawieniu z jedynką



wydawało się podejrzanę. Stał spokojny, wyprostowany i chłodno wpatrywał się w Rybkę, która z trudem łapała powietrze.

— Chcę panią sorkę poinformować, że będę się odwoływał. Udowodnię też, że pani nie czytała mojej pracy.

Rybka gwałtownie zaczęła przerzucać stosik. Wyciągnęła kartki Prymusika i uniosła je do góry. Pierwszą stronę, i dalsze, zdobyły wielkie ikсы. Trzy początkowe zdania podkreślone były na czerwono. Pokazała je klasie.

— Bądź spokojny, czytałam!

— Od początku do końca? Chciałbym zobaczyć wszystkie strony.

— To ja decyduję... Jakim prawem...? Siadaj! — krzyczała, tracąc zimną krew.

— To jest moja praca, mam prawo zobaczyć naniesione poprawki — powiedział Prymusik:

Rybka włożyła kartki pomiędzy inne i cały stosik wrzuciła do torebki. Ręce jej drżały, kąciki ust opadły jakoś tak żałośnie.

— Jedno wiedz, mądralo, że każdy nauczyciel ma swoje metody pracy. I nie ty mnie będziesz uczył, co mam robić. Dwadzieścia lat już męczę się z takimi jak ty.

Przez moment wydawało się, że chwyci torbę, dziennik i wyjdzie z klasy. Opanowała się jednak, kazała otworzyć zeszyty i zaczęła wypruwać sobie żyły.

Lilka poczuła, że jej piątka ma wyjątkowo gorzki smak. Wiele by dała, żeby dostać od Rybki pałę z klasówki i być teraz po jednej stronie z Oliwią, Mikołajem i Prymusikiem.

Geografia była ostatnią lekcją, więc dyskusja, która rozgorzała już na korytarzu, z konieczności przeniosła się do szatni. Prymusik stał się obiektem ogólnego zainteresowania, ale z niespotykaną u niego skromnością udawał, że nic wielkiego się nie stało. Schodził do szatni obok tria.

— Szkoda, że się ze mną nie założyłaś — powiedział do Oliwii.

— No co ty? Nie lubię przegrywać.

— Nie wierzyłaś we mnie, więc mogłaś zaryzykować. Teraz bym to sobie odebrał w jakiejś fajnej formie. - Mrugnął znacząco i wydał wargi, jakby oczekiwał buziaka.

— Amator kwaśnych jabłek — prychnęła Oliwia. — To cytat z mojej babci.

— A ty stchórzyłaś? — Prymusik spojrzał na Lilkę z ironicznym uśmiechem.

Nic więcej, tylko to „stchórzyłaś” i uśmieszek. Poczowała się, jakby dostała w twarz. Nie odezwała się słowem. To, co on nazwał po swojemu, ona miała za chłodną kalkulację, ale nie chciała o tym rozmawiać. Odkąd przygadała mu w sklepiku, że pasują do siebie jak garbaty do ściany, co było z kolei cytatem z jej babci, zaczął ją traktować jak powietrze. Nie próbował zaczepiać i omijał łukiem. Za prezent gwiazdkowy

podziękował na odległość, natomiast swoją sympatię wyraźnie przeniósł na Oliwię.

— Stary, jak zamierzasz udowodnić, że Rybka nie czytała twojej klasówki? — spytał Mikołaj.

— Spoko! Waszych też nie czytała. Ona leci po kilku pierwszych zdaniach. Widzi, że tekst nie jej, kreśli, a jeśli jej... to nie wiem. Możliwe, że się zachwyca i wciąż jej mało.

Prymusik wyjął z plecaka wydruki swojej pracy. Na trzeciej stronie, gdzie dość wyczerpująco omawiał obniżenie rzeźby terenu w Sudetach, ni z tego, ni z owego wplótł zdanie, które zamknął nawiasami: „Jestem przekonany, że pani profesor Rybacka nie doczytała do tego miejsca”. Gdyby Rybka mimo wszystko doczytała, wiedzieliby o tym, jeszcze przed sprawdzaniem obecności. Mikołaj zagwizdał z podziwu.

— Nieźle się do tej rundy przygotowałeś — zauważył z uznaniem.

— Dzięki! — Skłonił się uprzejmie Prymusik. — Spora w tym zasługa mojego staruszka. Gdyby nie to, że jest nauczycielem, nie wiem, czy sam znalazłbym recenzentów. Teraz liczę na pomoc twoją i Oliwii. Na naszym przykładzie widać, że Rybacka tępi myślenie i samodzielność.

W szatni okazało się, że nie wszyscy podzielali zachwyt Mikołaja i pewność Prymusika. Padł nawet głos, że głupotą jest walczyć z kimś, kto ma tak jasne wymagania.

— Wiadomo, czego się uczyć, wiadomo, że można ściągnąć — dowodził Sebastian — czego więcej chcieć? Drugiego Bezika nikt chyba nie zniesie. Rzygać mi się chce na każdej historii, jak słyszę, że mam szukać analogii, porównywać lub wyjaśnić przyczyny. Bezika trzeba się było ucześcić.

— Wiesz co, stary! — Oliwia nie wytrzymała i wybuchnęła. — Uczep się tramwaju i zjeżdżaj. Mnie też chce się rzygać, kiedy cię słucham.

Zawrzało. Jedni krzyczeli tak, inni tak, aż przyszła woźna, brzęknęła kluczami i kazała wszystkim wynosić się z szatni.

Bodaj po raz pierwszy Lilka czuła się wyrzucona poza nawias tria. W drodze do domu Oliwia z Mikołajem dyskutowali wyłącznie o numerze Prymusika, przewidywali dalszy rozwój wypadków, ale też zastanawiali się, co będzie z nimi. Stopnie mieli identyczne, po dwie pały i po trójce, czyli mogli się spodziewać pały z plusem albo i bez plusa. Lilce wychodziła pełna trójka, którą wolała się nie chwalić. Nie brała udziału w dyskusji, milczała, choć z tym milczeniem wcale nie czuła się dobrze. Przed domem powiedzieli sobie „Cześć!”, ona została, a oni poszli dalej, rozgadani i przepelnieni radością, że nie dali się złamać. A może tylko jej się wydawało, że to była radość. Miała dla siebie całe popołudnie i nie wiedziała, jak je spędzić. Pani Natalia siedziała w pracy, wujek pewnie też, a na rozmowę z mamą było trochę za wcześnie. U Magusi dochodziła ósma rano, ale Magusia musiała się wyspać, bo pisała nocami.

Lilka bardzo chciała, żeby zadzwonił Mikołaj albo Oliwia, tak bardzo, że kiedy telefon wreszcie się odezwał, nawet nie spojrzała na ekranik. Jej: „Tak, słucham!” tętniło radością. Całkiem niepotrzebnie. Usłyszała głos Pawła i z miejsca ochłoneła. On zaczął nawijać nie wiadomo o czym, jak to on, a Lilka odpowiadała monosylabami. Domyślała się, że chce ją zaprosić do kina. Nie miała ochoty na kino. W końcu zgodziła się wyjść na godzinkę do pubu. Nie zrobiła tego dla Pawła, tylko dla siebie, żeby się wyrwać z pustego mieszkania i choć na chwilę uwolnić od niemiłych myśli.

Dwie przecznice dalej była Muszelka, gdzie Mikołaj spotykał się czasem z kumplami. Lilka nigdy tam nawet nie zajrzała. Nie lubiła pubów, ich zapachu, gwaru ani hałasu telewizorów. Muszelka na szczęście okazała się w miarę przytulna. Usiedli w kąciku. Lilka twarzą do sali, on twarzą do niej.

— Piwo z sokiem? — spytał.

— Małe — przytaknęła. — I z podwójnym sokiem. Uwinał się szybko. Był onieśmielony i bardzo przy tym niezdarny. Rozlał swoje piwo, przewrócił krzesło, więc speszył się i zamilkł.

Lilka rozejrzała się po pustawej sali. Przeważali ludzie młodzi, może studenci, może uczniowie, trudno było zgadnąć. Było kilka dziewczyn i kilka par. Pili piwo lub colę, gadali.

— O, kurczę! — szepnęła, wciskając się w róg. — Zasłoń mnie, przyszedł Pikuś.

— Spoko! — mruknął Paweł. — Kupi piwo i wyjdzie. To równy gość, nigdy się nie czepia. Wynajmuje pokój gdzieś tu obok.

Rzeczywiście, Pikuś kupił piwo i wyszedł. Nawet się specjalnie nie rozglądał. Lilka odetchnęła. Woląta, żeby profesorowie, nawet młodzi i świeżo po studiach, nie widywali jej w piwnym pubie.

— Rzeźbisz coś teraz? — spytała, żeby przerwać niezręczne milczenie.

— Nie... Ja tylko tak, czasem.

— To co robisz, kiedy już się wszystkiego pilnie nauczysz?

Spojrzał, jakby się zastanawiał, czy przypadkiem z niego nie kpi. Nie należał do dobrych uczniów, ślizgał się raczej i lawirował, więc posądzenie o pilność trochę go zaskoczyło, jeżeli nawet nie ubodło.

— Takie tam... różne rzeczy — odpowiedział wykrętnie.

Postanowiła dać mu jeszcze jedną, ostatnią szansę, a zaraz potem wrócić do domu i pogadać sama ze sobą... i na odwrót. W dzieciństwie tak właśnie mówiła, i to powiedzonko przyjęło się wśród najbliższych.

— Podobno nurkujesz i robisz zdjęcia pod wodą?

— Teraz nie... tylko w lecie — wyjaśnił. — Nie masz pojęcia... nie wiesz... Jeżeli chcesz, to ja ci kiedyś te zdjęcia pokażę! - wykrzyknął z nagłym ożywieniem.

Lilka uśmiechnęła się bezwiednie, bardziej na wspomnienie Magusi niż do Pawła. To Magusia wciąż ją

przekonywała, że każdego człowieka można otworzyć i namówić do rozmowy, jeśli trafi się na jego pasję, no i wykaże choć trochę zainteresowania. Sama niewiele wiedziała o nurkowaniu, jeszcze mniej o robieniu zdjęć pod wodą, więc postanowiła wykorzystać okazję i uzupełnić te luki. Paweł wreszcie przemówił. Brakowało mu co prawda słów, czasem się zacinał, ale darował sobie niecenzuralne ozdobniki i przecinki. Widać wciąż pamiętał, że rozmawia z bardzo grzeczną dziewczyną. Opowiadał ciekawie, momentami też przynudzał, zwłaszcza kiedy zagłębiał się w szczegóły techniczne obiektów. Słuchała bez zniecierpliwienia.

-Żebyś ty wiedziała, ile piękna kryje się pod wodą — westchnął.

— Wiem, że jesteś dobrym fotografem. Zdjęcie, które mi zrobiłeś, jest naprawdę ładne.

— Nie, to ty jesteś bardzo ładna — powiedział i znowu się speszył.

— Dzięki!

— Mówię, jak jest - zapewnił. - Pamiętam cię, jak pierwszy raz weszłaś do klasy. Miałaś na sobie taki... no... biały golf i czarne spodnie... Jesteś najładniejszą dziewczyną w całej klasie, co ja mówię, w całej szkole... i w ogóle.

— Dzięki! — powtórzyła, bo dobre wychowanie kazało za komplementy dziękować. Tym razem to ona lekko się speszyła. — Zgadza się, miałam biały golf i czarne spodnie... Było chłodno.

Kiwnął głową, jakby i chłód też zapamiętał. Spojrzeli na siebie i oboje jednocześnie spuścili oczy. Lilka zwykle świetnie sobie radziła z komplementami i z kolegami, a tym razem stało się tak, jakby onieśmienie Pawła i jej się udzieliło. Nie bardzo wiedziała, jak zareagować na taki nagły przejaw zainteresowania.

Drzwi pubu otworzyły się i do środka wtargnęła niewielka grupka: raptem trzech chłopaków i dwie dziewczyny. Ich wejście natychmiast podniosło poziom decybeli. Wyglądało na to, że są stałymi bywalcami. Przy dwóch stolikach dostrzegli jakichś znajomych, pozdrawiali ich na odległość, mieszali przekleństwa z rechotem i czuli się bardzo swobodnie. Dostawili do stolika jedno krzeselko, cały blat obstawili kuflami i zaczęli się rozsiadać. Jeden z nich uporczywie bekał, czym doprowadzał pozostałych do wybuchów śmiechu.

— Dresy przyszły — mruknął Paweł. — Nie bój się, oni są tylko krzykliwi. Muszelka gdzieś tak do dziewiętnastej jest oazą spokoju. Potem, wieczorem, atmosfera się zmienia, przychodzą ci, co palą zioło, można kupić działkę, no wiesz... Tych dresiarzy trochę znam, są niegroźni.

— Co z tego, jeśli od ich wrzasków myśli mieszają mi się w głowie? — Lilka się uśmiechnęła.

Wypiła ze dwa łyki piwa i poczuła, że skrępowanie mija. Paweł mówił jej same miłe rzeczy, robił to co



prawda nieporadnie, ale bardzo się starał, żeby jej nie urazić. Doceniła zarówno te starania, jak i to, że siedział nad małym piwem i nie próbował jej imponować mocną głową ani żadnymi przechwałkami. Znowu zamilkł. Gdyby z takim poświęceniem milczał w klasie, nie miałby połowy uwag, które zdołał zebrać za niestosowne zachowanie. Zastanawiała się właśnie, jak pociągnąć rozmowę, kiedy usłyszała swoje imię wykrzyczane na całą salę. Wcześniej nie gapiała się na dresiarzy, ale teraz musiała już spojrzeć. Jedna z dziewczyn, ruda jak wiewiórka, machała do niej zawzięcie. Lilka zlekceważyła te przyjacielskie gesty i spojrzała zdziwiona na Pawła.

— Chyba Majka, tylko co ona zrobiła z włosami? Obejrzał się i bezradnie wzruszył ramionami.

— Skąd mam wiedzieć?

— Dzisiaj jej w szkole nie było, prawda?

— Nie wiem — przyznał. — W klasie widzę tylko ciebie, inne dziewczyny mnie nie obchodzą. Żeby pogadać, to i owszem, ale żebym patrzył na włosy, ciuchy, to już nie.

Mówił tak szczerze i z taką powagą, że Lilka musiała się roześmiać.

— Nie truj, dobrze?

Chciała właśnie dodać, dlaczego nie powinien truć, kiedy Majka oderwała się od swojego towarzystwa i krokiem modelki, którą cisną buty, przemierzyła salę i doszła do stolika w narożniku.

— Hej! — powiedziała. — Jak wam się podoba moja nowa fryzura?

— Fajna — przyznała Lilka bez zachwyty. — Ty byłaś dzisiaj w szkole?

— Nie. — Majka gwałtownie posmutniała i zrobiła minę przypisaną do domowych nieszczęść. — Mama miała atak, pielęgniarka sobie nie radziła i musiałam zostać... Z mamą jest bardzo źle — westchnęła i zaraz zmieniła temat. — Pożycz mi do jutra dyche

— poprosiła.

— Jak mi oddasz te sześć, które pożyczałaś wcześniej, to się zastanowię — powiedziała Lilka.

— Nie wygłupiaj się — zajęczała cichutko Majka

— całą kasiorkę, jaką miałam, zostawiłam dziś w aptece, a nie wzięłam z domu karty bankomatowej.

— Nie masz kasy na piwo, wracaj do domu.

Lilka podniosła się i dała Pawłowi znak, że wychodzą. Nie śpieszyła się nigdzie, ale miała dosyć Majki i jej hałaśliwych kumpli. W pubie było duszno od papierosowego dymu, czuła się uwędzona i drapało ją w gardle. Odetchnęła dopiero na dworze. Wiał silny wiatr i miało się wrażenie, że to nie styczeń, a listopad. Lilka skuliła się z zimna i jeszcze mocniej zapętlila szal wokół szyi. Stwierdziła głośno, że jak tylko wróci do domu, wskoczy pod koc i żadna siła jej stamtąd nie wyciągnie. Paweł szedł bardzo blisko. Raz i drugi poczuła jego rękę

na swojej. Żeby wybić mu z głowy takie pomysły, wsadziła obie dłonie do kieszeni.

— Lilka - odezwał się nagle — czy myślisz... jak myślisz... to znaczy, czy myślałaś kiedyś...

— Słuchaj, stary! Myślę, że myślę, więc tym już sobie głowy nie zaprzataj, mów dalej! — powiedziała zdecydowanym tonem.

— Chciałbym, żebyśmy byli razem.

Udała zaskoczenie, choć wcale zaskoczona nie była. Przez ostatnią godzinę zdążyła oswoić się z myślą, że wcześniej czy później taka propozycja padnie, tylko nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować. Nie chciała gasić Pawła tak, jak kiedyś Prymusika. Nie mądrzył się, nie był zarozumiały. Miał inne wady, z którymi najwyraźniej próbował walczyć, a teraz zżerała go trema.

— Pomyślę o tym — powiedziała cicho.

Chciała jeszcze coś dodać na pożegnanie, musiała jednak sięgnąć po rozdzwonioną komórkę. Stali już na wprost kamienicy.

— Czekamy na ciebie u Mikołaja. Mamy naradę wojenną. Jesteś w domu? — nadawała podekscytowanym głosem Oliwia.

— Jestem na ulicy przed domem — uściśliła Lilka.

— No to się nie oglądaj na boki, tylko przychodź.

— Jestem z Pawłem.

— Wow! — mruknęła domyślnie. — Im nas więcej, tym lepiej, przychodźcie!

Teraz to Lilka złapała Pawła za rękę i pociągnęła za sobą. Nie bronił się ani trochę.

## 22.

Numer, który Prymusik wyciął Rybce, musiał wywołać w szkole małe, a nawet wielkie trzęsienie ziemi. Co do tego nikt z zainteresowanych nie miał wątpliwości. Samorząd klasowy niewiele mógł zdziałać, potrzebni byli rodzice. U Mikołaja, w największym pokoju, dorośli zajęli kanapę i fotele, młodzież siedziała na dywanie. Oliwia przyszła z ojcem, Prymusik też, Szymon i Martyna z matkami, podobnie Patryk i Aśka.

Mama Mikołaja zatrzymała Lilkę na moment w przedpokoju, żeby spytać, czy wujek zechce przyłączyć się do protestu. Lilka jeszcze z wujem nie rozmawiała, ale nie wątpiła w jego zgodę. Chronicznie wręcz nie znosił inteligentów, którzy recytowali wyuczone formułki i mieli kłopot z samodzielnym myśleniem. Paweł, zagadnięty o to samo, uśmiechnął się rozbijając, jak nie-Paweł.

— Będą zaskoczeni, że ja chcę wiedzieć więcej, niż muszę... Ale poprą na pewno. Moja w tym głowa.

Wspólnym wynikiem narady było pismo rodziców wystosowane do dyrekcji szkoły. Samorząd klasowy zobowiązał się przeczytać petycję na dużej

przerwie, by potem dotrzeć do tych wszystkich rodziców, którzy będą skłonni złożyć swoje podpisy.

— Kilka osób na pewno się nie zgodzi — powiedział Mikołaj. — Taki choćby Sebastian nawet w domu nie wspomni o piśmie. Filip pewnie też nie. Myślę jednak, że większość poprze, może nawet zdecydowana większość.

— Damy sobie radę i bez tych, co nie poprą — stwierdził ojciec Prymusika. — Naiwnością byłoby liczyć, młody kolego, na jednomyślność.

Niezależnie od poczynąń samorządu trójka rodziców wybierała się nazajutrz do szkoły, żeby przedstawić wychowawczyni i dyrektorce treść petycji.

Lilka wróciła do domu szczęśliwa. Najbardziej budująca była świadomość, że Oliwia ani Mikołaj nie mieli jej za złe tej nieszczęsnej piątki. Zadzwoiła do Magusi, żeby o wszystkim opowiedzieć: o klasówce, o podstępie Prymusika, zebraniu z rodzicami i o tym, jak bardzo jej głupio, że dała się złamać.

— Nie zrobiłam tego ze strachu — tłumaczyła z przejęciem — tylko z wygodnictwa. Nie chciało mi się uczyć.

— Powiem ci, że prędzej zrozumiałabym strach - wyjaśniła Magusia. — Lęk jest ludzką rzeczą, a lenistwo...

— Jest grzechem! Jak obżarstwo i opilstwo — roześmiała się Lilka.

Mimo że rozmawiały długo, zapomniała wspomnieć o Pawle. Nie ze strachu, nie z lenistwa, tylko przez wyraźne przeoczenie. A przecież nie mogła powiedzieć,

że tak zupełnie jej nie obchodziło to, co Paweł mówił. Wręcz przeciwnie. Weszła pod prysznic, namydliła się i pomyślała z dumą, że jest już prawdziwą kobietą. Nieprawdziwej nikt by nie mówił, że jest piękna i najpiękniejsza, nikt nie rozlewałby przy niej piwa ze zdenerwowania i nie przewracał krzesła. Wcześniej już parę razy chodziła z chłopakami, czasem tydzień, czasem miesiąc, jednak tamte chodzenia były bardzo niepoważne. Co wynikało z trzymania się za ręce na randce? Nic. Ledwie jednak chłopak zaczynał udawać, że wie, co robić z rękami, i pchał je pod bluzkę, to go wyzywała od zboczeńców i uciekała. Nie, stanowczo nie mogła powiedzieć, że ma jakiegokolwiek doświadczenie w postępowaniu z facetami. Skończyła szesnaście lat i tak naprawdę jeszcze się z nikim nie całowała. Oliwia miała więcej doświadczenia, całowała się już dwa razy.

Lilka stała pod strumieniem ciepłej wody i nie chciało jej się wychodzić. Życie nie było już „brutal and fulli pułapkas”, tylko całkiem fajne. I byłoby jeszcze fajniejsze, gdyby nie zadzwonił telefon. Wybiegła do przedpokoju boso, owinięta jedynie ręcznikiem, żeby zapewnić ciotkę Lesię, że nosi ciepłe majtki, codziennie wkłada podkoszulek i regularnie jada śniadania. Więcej pytań nie padło, więc ubrała się w piżamę i za pamięci podłączyła komórkę do zasilacza. Wtedy przypomniała sobie, że nigdy wcześ-

niej nie podawała Pawłowi swojego numeru. Stała chwilę z aparatem przy policzku, a zaraz potem uruchomiła kciuk i dotarła do starych SMS-ów. Przez moment podejrzewała, że autor poetyckich wyznań i Paweł to jedna i ta sama osoba. Okazało się, że nie. Wprowadziła numer Pawła do pamięci telefonu i poszła do łóżka z miłym przekonaniem, że jest jeszcze ktoś, komu być może wpadła w oko.

Wielkie trzęsienie ziemi zaczęło się w klasie na dużej przerwie. Ledwie Mikołaj odczytał przygotowaną dzień wcześniej prośbę rodziców o zmianę nauczyciela geografii, posypały się propozycje następnych kandydatów do usunięcia: historyka, matematyka, nauczycielki biologii, ktoś z rozmachu dorzucił wuefistę i Rybka utopiła się w całej tej wrzawie. Miała tylu zwolenników, co i przeciwników. Sebastian nie był odosobniony w swoich przekonaniach, inni też uważali, że łatwiej wkuć i ściągnąć, niż analizować i porównywać.

— Jak wyście tu trafili? — zdenerwował się Mikołaj.  
— Ta szkoła podobno przyjmowała samych najlepszych. Jakieś totalne nieporozumienie, paranoja! Kobieta ocenia bardzo dobrą pracę na pałę i was to nie rusza?

Tylko cztery osoby zgodziły się bez wahania prosić rodziców o poparcie petycji, reszta albo była odmiennego zdania, albo miała wszystko w nosie. Razem dawało to dwanaście głosów przy wstrzymujących się szesnastu. Mikołaj się podłamał.

Majka nie zabierała głosu ani na tak, ani na nie. Pracowała nad grzywką, która źle się układała i psuła



nową fryzurę. Nie bardzo ją interesowała dyskusja. Na kolejnej przerwie podeszła do Lilki.

— Wiesz, ja to nawet jestem po waszej stronie, ale mama nie chce widzieć nikogo obcego w domu. Jeżeli was to urządza, przyniosę zgodę rodziców na kartce. Może być na kartce, bez podpisywania listu?

— Mikołaja spytaj, nie wiem. — Lilka wzruszyła ramionami.

— Spytałam ciebie, to na jedno wychodzi... Och nie, przepraszam, ty teraz z Pawłem kręcisz, tak? — Uśmiechnęła się domyślnie.

Lilka policzyła w myślach do pięciu i też się uśmiechnęła.

— Nie przeszkadza ci to, że w twoim towarzystwie faceci bekają na cały głos? — spytała.

— No co ty! — Majka spojrzała na nią z politowaniem. — Dla jaj to robili. Bardzo fajni kumple, a że bezpruderyjni, to tylko ich plus.

— Sorry! Zapomniałam, że są jeszcze ludzie bezpruderyjni.

— No pewnie, że są. Ja nie lubię zarozumialców. Na przykład Mikołaj łaskę robi, że...

— Odwal się od Mikołaja i ani słowa więcej! — zdenerwowała się Lilka. — Nie musisz za nami łązić, nikt cię o to nie prosi.

— Przecież jeszcze nic takiego nie powiedziałam.

— Lepiej zrobisz, jak się w ogóle zamkniesz. Zostawiła Majkę na środku korytarza i stanęła

przy oknie. Oliwia z Mikołajem poszli na przesłuchanie do Aldony, a ona nie miała co ze sobą zrobić. Bez przyjaciół czuła się bardzo samotna. Patrzyła na gołe drzewa, obserwowała papierek targany przez wiatr i czekała na resztę tria. Obok niej stanął Paweł.

— O czym tak myślisz?

Dotykali się ramionami. Nie było to niemiłe, ale czuła się trochę niezręcznie.

— O ostatnim zadaniu z maty — roześmiała się i odsunęła lekko.

— Kończysz rozwiązywać, czy jesteś dopiero w połowie? Mam ci nie przeszkadzać?

Udawał, że chce odejść, więc ze śmiechem złapała go za rękę. Przez kilka sekund przytrzymał jej dłoń w swojej i dopiero wtedy puścił.

— Coś ty taki ożywiony? — spytała. — I mówisz całkiem z sensem, i słów ci nie brakuje.

— Siebie zapytaj.

— Czasem rozmawiam sama ze sobą i... na odwrót, ale wątpię, żebym wiedziała. — Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

— Od pięciu miesięcy przymierzałem się do tej wczorajszej rozmowy i...

- I co?

— Bałem się, że mnie wyśmiejesz, przegonisz... A tak chociaż miałem nadzieję.

— Proszę cię! Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że to prawda. Czasem w klasie tylko ciebie słyszeć, jeśli to jest nieśmiałość...

— Nie jestem nieśmiała, ja tylko tak przy tobie... Chcę dobrze wypaść, potem coś machnę takiego, że sam bym sobie dał kopa... — urwał i zamilkł.

— Okay! Przestań już kopać sam siebie, bo to musi być bardzo niewygodne.

Zaczęli się śmiać. Dzwonek przywołał ich do rzeczywistości.

Lilka wpadła do domu jak burza. Buty zostawiła przy drzwiach. Rozbierała się metodą Miśki, zrzuciła z siebie po kolei ubrania, żeby potem w odwrotnej kolejności je wkładać. „Strasznie bałaganisz, Lilusiu!” — mruknęła rozbawiona. Nie miała chwili do stracenia. Była umówiona z wujkiem, potem pędziła na rosyjski do pani Natalii, a żołądek aż piszczał z głodu. Rano nie zdążyła zjeść śniadania i przetrwała tylko dzięki Oliwii, która podzieliła się z nią bułką. Wpakowała do rondelka dwa gołąbki, smakowite danie pani Malinowskiej, sięgnęła po chleb i wtedy bardziej poczuła, niż usłyszała, że ktoś za nią stoi. Przeraziła się i krzyknęła.

— Co tu się dzieje? — spytał wujek ze zgrozą w głosie. — Sama jesteś?

— Sama — przytaknęła, wciąż jeszcze mocno wystraszona.

— A te rzeczy porozrzucane w przedpokoju? Czy ktoś zdierał z ciebie ubranie w biegu?

— W biegu tak — przyznała — ale zdarłam sama. Miałam właśnie zjeść i jechać do ciebie.

Zrobił coś, o co by go nigdy nie podejrzewała. Obszedł wszystkie pokoje, zajrzał do łazienki, a nawet do szafy. Lilka chodziła za nim krok w krok. Łóżko w sypialni było rozbebeszone.

— Nie zdążyłam pościelić rano — mruknęła przeprasząco. — Prawdę mówiąc, rano nigdy nie ściele, dopiero wieczorem.

— No tak, Jola coś o tym wspominała — westchnął.

Jego pedantyczna natura mocno się buntowała przeciwko najmniejszym oznakom bałaganu. Niby wierzył, ale wciąż jeszcze zerkał podejrzliwie po kątach i na siostrzenicę. Dopiero swąd spalenizny uwolnił Lilkę od tych spojrzeń. Pogoniła do kuchni. Gołąbki nadawały się do wyrzucenia, garnek raczej też. Otworzyła okno i miała ochotę zapłakać nad utraconym obiadem.

— To było wszystko, co miałaś do jedzenia? — zapytał.

— Nie, ale już nie zdążę...

— Odgrzewaj następną porcję, byle nie tak dokładnie, potem porozmawiamy. Po to przyjechałem. Z twojego telefonu niewiele zdołałem wywnioskować.

Uwinęła się błyskawicznie z jedzeniem. Nie przeszkadzało jej, że gołąbki były tylko w połowie odgrzane, grunt, że były. Wujek w tym czasie pozbiierał rozrzucone ubrania, kurtkę powiesił, szal złożył w kostkę, a buty ustawił na baczność. Wykonał kawał dobrej roboty, tyle że całkiem zbędnej, i tu Lilka zgadzała się z małą Misią. Przyniosła do pokoju dwie

szklanki herbaty i usiadła na wprost gościa, by z detalami opowiedzieć o Rybce, jej metodach nauczania, o numerze Prymusika i decyzji rodziców.

— Lada dzień będzie w szkole zebranie, takie przed końcem semestru. Na pewno nasza Aldona poruszy i tę sprawę. Powiedziała, że stawiamy ją w bardzo niezręcznej sytuacji... Ale czy to nasza wina?

— Nie wasza — przytaknął. — To wina rutyny, która gubi wielu wykształconych ludzi, nie tylko nauczycieli. Tracą zainteresowanie dla swojej pracy, tracą świeżość spojrzenia i stają w miejscu. Rutyna, moja droga...

Wykład wujka był bardzo klarowny i nawet niezbyt nużący. Wątpił co prawda, by petycja rodziców odniosła skutek, niemniej zgodził się ją podpisać.

— A czego mogę się spodziewać na zebraniu po mojej siostrzenicy? — Patrzył na Lilkę znad okularów i czekał na odpowiedź.

Chrząknęła, pokręciła się chwilę, bo zbyt dobrych wieści nie miała. Piątka z angielskiego, polskiego i historii, czwórka z francuskiego i WOS-u, to właściwie wszystko, czym mogła się pochwalić. Z matematyki skopała klasówkę, z chemii podpadła w głupi sposób, fizyką ani biologią nie była zainte-

resowana, no i spodziewała się obniżonej oceny ze sprawowania.

— A twój szczególny zapal do geografii czemu mam przypisać? Pogłębialiście wiedzę wyniesioną z lekcji, uczyliście się dodatkowo, żeby więcej wiedzieć czy żeby coś udowodnić nauczycielce?

— Żeby nie wkuwać na pamięć i nie ściągać — powiedziała po chwili zastanowienia. — Wszyscy chcemy zdawać geografię na maturze.

— Ty też?

— Chyba tak... Jeszcze dokładnie nie wiem, co będą brać pod uwagę na dziennikarstwie.

Wychodził już, zatrzymał się przy drzwiach z ręką na klamce.

— Przestraszyłaś mnie dzisiaj — powiedział.

— Ty mnie też. Uśmiechnął się przelotnie.

— Wiesz chyba, jak łatwo dziewczyna może sobie zniszczyć życie, zwłaszcza młoda?

Był mocno zdziwiony, kiedy zawisła mu na szyi i ucałowała w obydwa policzki.

— To moje życie, wujku, a ja nie jestem idiotką i ani myślę go niszczyć. Za dużo mam planów na przyszłość... A poza tym, ja nawet nie mam chłopaka.

— I tak trzymaj — mruknął, całując ją w czoło. — A przez ferie uzupełnij swoje braki, bo te trójce wcale nie świadczą o tym, że poważnie myślisz o przyszłości.

Obiecała się podciągnąć. I nawet była pewna, że słowa dotrzyma.

## 23.

Zimowe ferie nie mają uroku wakacji, zwłaszcza jeśli spędza się je w mieście, we własnym domu. Oliwia na tydzień wyjechała do babci, Mikołaj zacieśniał męską przyjaźń z dawnymi kumplami i dodatkowo z Prymusikiem, a Lilce brakowało pomysłu na pierwszy wolny tydzień. Na rodzinne wizyty u ciotek nie miała najmniejszej ochoty, podobnie jak na spotkania z Majką. Pozostał jej tylko Paweł, który dzwonił codziennie, żeby pogadać. Poszła z nim do kina, a raz wyciągnęła go na zakupy do Galerii. Szukała prezentu na dwudziestą rocznicę ślubu rodziców Oliwii. W ostatnią sobotę ferii wyprawiali niewielką uroczystość i Lilka została zaproszona nie tyle jako gość, ile domownik.

- A konkretnie czego szukasz? - dopytywał się Paweł.

— Gdybym wiedziała, czego szukam, to już bym kupiła, no nie? Pani Natalia radziła, żeby coś ze sztuki, jakiś wazon ładnie okuty w cynę albo... Obrazu nie kupię, bo nie znam się na malarstwie i wątpię, czy starczy mi kasy. Szukam czegoś oryginalnego, kapujesz?

Kapować kapował i choć pomysłu też nie miał, to z całą pewnością miał gust. Z miejsca odrzucał wszystko, co tandetne i jarmarczne. Zgadzała się bez słów. Jedno spojrzenie, jeden grymas, trochę chichotów i wiadomo było, na co nie warto nawet patrzeć, a nad czym można by się zastanowić. Niestety, to, co im się podobało, przekraczało możliwości finansowe uczennicy. Lilka uzgodniła z Magusią, że prezent powinien mieścić się w granicach pięćdziesięciu złotych, żeby jubilaci nie poczuli się zakłopotani.

— Paweł! — chwyciła go za rękę — a może jakąś rzeźbę twojego dziadka kupię? Atletą był fantastyczny... Na rocznicę ślubu lepszy byłby... może anioł? Jak myślisz? Anioły są teraz modne. Nie musi być duży, może być całkiem mały, byle oryginalny.

Paweł nie należał do ludzi, którzy długo się zastanawiają. Lilka wyraziła życzenie, on był od tego, żeby to życzenie spełnić lub pomóc spełnić. Wyszli z Galerii, wsiedli do autobusu i pojechali szukać anioła.

— Tylko się nie zdziw, mój dziadek to oryginał — uśmiechnął się Paweł. — Jest samoukiem, nie mówi o sobie artysta, tylko rzeźbiarz ludowy. Taki bardzo ludowy nie jest... Prowadzi warsztat stolarski, zresztą sama zobaczysz.

Autobus wywiózł ich na obrzeża miasta. Kluczyli trochę wąskimi uliczkami, aż wreszcie zatrzymali się przed drewnianą furtką, na której wisiała ozdobna skrzynka na listy.

- To już trzecia albo czwarta taka skrzynka — wyjaśnił Paweł. — Co dziadek wystruga nową, to mu



ukradną. Listów żadnych nie dostaje, więc skrzynka nie jest potrzebna, ale ma wisieć na furtce i już.

Dziadek mieszkał w parterowym domu, do którego przytulił się baraczek zamieniony na warsztat. Musiał być tam niezły huk, bo nawet na podwórku było słychać odgłosy pracy.

— Oho! — mruknął Paweł — coś toczą, pewnie jakąś balustradę do schodów.

Pchnął drzwi ozdobione mnóstwem małych szybek, brudnych i pokrytych trocinowym nalotem. W środku dwóch chłopców uwijało się przy maszynie pod czujnym okiem starszego mężczyzny. Ten na widok Pawła uśmiechnął się ciepło.

— No, chłopie! - krzyknął. — Wreszcie widzę cię z panienką, a nie tak wiecznie sam i sam. Masz gust! Moja krew! — Obejrzał się na pracowników. — Robić, robić, nie gapić się! Żebyście wy tak do roboty się garnęli jak do oglądania dziewczyn! — huknął. — Na paluchy mi uważać, bo nie odrosną.

Otoczył ramionami swoich gości i poprowadził w kąt warsztatu, gdzie stał niewielki stolik, a na nim słoiczek z cukrem i drugi z herbatą. Popatrywał na Lilkę z wyraźną przyjemnością. Nawet kiedy słuchał wywodu wnuka, to oczu z dziewczyny nie spuszczał.

- Anioła, mówicie? - zasepił się i podrapał po głowie.  
- Nie mam anioła i żadną miarą nie zdążę

wystrugać. Za krótki termin. Jednakowoż coś tam mam.

Podszedł do starej szafy i zaczął przeglądać swoje skarby.

— Baba z kijem to nie na ślubną rocznicę! — krzyknął. — Grajek też nie podchodzi, tym bardziej że z basetlą...

Gadał tak, krzyczał i żartował. Lilka szepnęła Pawłowi, że musi zadzwonić. Podeszła do okna, ale maszyna hałasowała w całym pomieszczeniu. Jednocześnie odezwał się telefon dziadka, Lilka krzyczała: „Tak, tak, spóźnię się”, dziadek wołał „Halo, halo!”. Zniechęcony odrzucił komórkę na stolik, ponarzekał, że telefony to złodzieje czasu i pieniędzy, wreszcie znalazł coś godnego uwagi.

— A co byśta powiedzieli na parę bocianów z octowego drewna, z sumaka, znaczy? Bociany to wierne ptaki i wierność symbolizują.

Ustawił na stoliku rzeźbę. Ptasie sylwetki ledwie zarysowane, długie dzioby, długie nogi, widoczne sęczki i spękania drewna, a przy główkach ślady kory.

— Piękne! — powiedziała Lilka z zachwytem.

— Też mi się tak widzi. Drewno, tyle że woskiem zabezpieczone, lekko błyszczący, ale niemalowane.

— Ile kosztują? — spytała z obawą, czy aby cena nie przekroczy jej możliwości.

— Za darmo nie oddam — dziadek pokręcił głową — za darmo nie, ale jak panienka da dychę na piwo, rzeźba jej.

Patrzyła zaskoczona, ale dziadek nie żartował i nie chciał więcej pieniędzy. Mrugnął do wnuka i zaczął pakować bociany. Lilka nie mogła uwierzyć w swoje szczęście i zrobiła to, co dziewczyny zwykle robią z wielkiej radości: ucałowała ludowego artystę, który taki ludowy wcale nie był, za to bardzo równy.

— Mnie starego całujesz?! — wykrzyknął. — Młody obok stoi, chłopak jak świca, moja krew.

— Wiem, że pańska — roześmiała się Lilka — dlatego wszystko zostanie w rodzinie i się wyrówna.

Nie chciała wracać prosto do domu. Była coś Pawłowi winna, niekoniecznie może buziaki, ale choćby herbatę z ciastkiem. Pomyślała o przytulnej kawiarence, gdzie czasem umawiała się z Magusią, jeżeli chciały razem wyskoczyć do miasta.

— Tylko... piwa tam chyba nie ma — powiedziała. Roześmiał się

- Oj, Lilka, Lilka! Raz się wygłupiłem, to chyba wystarczy. Mnie piwo na humor nie jest potrzebne, a wódka wcale. Czasem przy kumplach trudno się wykręcić, to prawda, ale nie przeginam z alkoholem, nie palę... W ogóle, jak tak na mnie popatrzeć, to nie mam wad... może jedną: trochę za dużo bluzgam. Za to ile mam zalet!

- Coś fantastycznego! - wykrzyknęła z podziwem. — Brakuje tylko anioła, który da ci skrzydła.

- Mam anioła - powiedział, objął ją ramieniem, pocałował w policzek i błyskawicznie wsadził obie ręce do kieszeni.

Spojrzała zaskoczona, a on jakby nigdy nic szedł sobie obok z miną bardzo niewinną.

— Chcesz powiedzieć, że to mi się śniło? — spytała.

— Co takiego?

Zajrzał jej w oczy, aż poczuła lekkie mrowienie na karku. Tak jeszcze żaden chłopak na nią nie patrzył. Przygryzła usta i do samej kawiarni już się nie odezwała.

Wybrali sobie stolik w kąciaku. Lilka lubiła kąciki, bo dawały poczucie bezpieczeństwa, ochraniały z dwu stron. Mikołaj kiedyś powiedział, że takie miejsce nie zawsze jest bezpieczne, zwłaszcza jeśli szykuje się awantura. Można zostać bez pola manewru, do tego przygniecionym do ściany. Nie przewidywała aż takich niebezpieczeństw. Kawiarenka była przytulna, ludzie przy stolikach zajęci wyłącznie sobą.

— Zgodzisz się mnie odwiedzić? — spytał Paweł, ledwie usiedli. — Nie bój się, mama będzie w domu!

— A jak mamy nie ma, to gryziesz?

— Nie, dlaczego? — Zaczął się śmiać. — Nie gryzę, chodziło mi tylko o to, żebyś nie posądziła mnie o jakieś złe intencje.

Lilka wiele razy zostawała w domu sam na sam z Mikołajem, Rajem, Damianem i nawet nie pomyślała, że może jej grozić z ich strony jakieś niebezpieczeństwo, że nagle obudzi się w nich lew, wilk albo jakieś inne drapieżne zwierzę. Zastanawiała się właśnie, czy z Pawłem czułaby się równie pewnie. Tamci nie mówili o intencjach, byli po prostu przyjaciółmi, natomiast Paweł próbował chyba zająć miejsce wciąż jeszcze wolne, chłopaka, który liczył na więcej niż przyjaźń.

— Ustalmy jedno — poprosiła. — Możemy się spotykać, wyskakiwać do kina czy na imprezę, możemy się nawet zaprzyjaźnić, jeśli nam się to uda, ale na więcej nie możesz liczyć... przynajmniej na razie.

— Dobrze — powiedział.

Nic więcej, tylko to jedno słowo. Żadnych nalegań, żadnego przekonywania. Poczowała ulgę i jednocześnie odrobinę zawodu. Patrzyła na Pawła i nie poznawała go. Wciąż był to ten sam chłopak: niebieskie oczy, wyraźne brwi, mocno zarysowana szczęka, w jego wyglądzie nic się nie zmieniło, ale mówił i zachowywał się zupełnie inaczej. W pubie chciała od niego uciekać, bo znudziło ją dźwiganie ciężaru rozmowy, a teraz gadał jak najęty. Wyjaśniał, tłumaczył, żartował i momentami trochę się przechwalał. Wyjęła komórkę.

— Przepraszam — powiedziała. — Muszę uspokoić wujka.

Puściła w ruch kciuk. Po chwili zadzwonił także telefon Pawła. Machnął ręką i sięgnął do kieszeni. Patrzyła uważnie na jego minę, kiedy odczytywał SMS. Zmieszał się lekko.

— Idę się powiesić, zaraz wracam! — westchnął.— Jak na to wpadłaś, że te wiersze były ode mnie?

— Że ty błękit, a ja czerwień? Maszyny mi to powiedziały.

Starła się utrzymać powagę, ale nie mogła. Parsknęła śmiechem i po sekundzie pękali już oboje. Nawet kiedy zaczęli rozmawiać niby normalnie, też co chwila zanosili się śmiechem.

— W warsztacie odeszłam na moment, żeby zatelefonować, pamiętasz? Zadzwoiłam na numer twojego dziadka. Komórka się odezwała, więc... A ja z twoim dziadkiem już wcześniej próbowałam się dogadać. Chciałam wiedzieć, kto przysyła mi takie liryczne wyznania.

— Myślałaś, że to dziadek?

— Ledwie go słyszałam przez te maszyny.

— Wzięło mnie, nie wypieram się — powiedział, kiedy już nieco ochłonął. - Byłaś taka niedostępna, trzymałaś się swoich... Pożyczyłem raz telefon od Mikołaja. Kto jak kto, ale on musiał mieć twój numer. Podobały ci się te wiersze? Na poezji nie znam się ni... za grosz, więc próbowałem wysyłać różne.

— Dzięki! Za bardzo mi się nie podobały, wolę, kiedy mówisz swoimi słowami.

Przez chwilę patrzyli na siebie i Lilka pomyślała, że Paweł jest jak szampon z odżywką dwa w jednym: od wierszy i od zdjęcia w ramce. Ale już tego nie chciała mu mówić.

Codziennie rano Lilka powtarzała sobie, że weźmie się do powtórek i spróbuje nadrobić zaległości. Potem dzwonił Mikołaj, Paweł, Raj albo Małgosia, były jakieś sprawy do obgadania, miejsca do odwiedzenia i dzień

mijał. Wieczorem rozmawiała z Magusią i nie mogła się pochwalić, że wreszcie zrobiła to, co sobie obiecywała. O Pawle też Magusi wspominała, głównie o wierszach i zdjęciu w ramce. Nazywała go kolegą, zresztą sama siebie przekonywała, że jest dla niej tylko kumplem. Zastanawiała się jednak, czy to normalne, że na widok innych znajomych chłopaków odczuwała radość, złość, zaskoczenie, natomiast na widok Pawła serce zaczynało pracować w szybszym rytmie. To serce bardzo ją niepokoiło, ponieważ nie chciała się zakochać. Z politowaniem patrzyła na dziewczyny, które wciąż gadały o facetach. Lilka знаła dziesiątki ciekawszych tematów i wciąż sobie powtarzała, że własny chłopak to dodatkowy kłopot. Trzeba się z nim liczyć, z tego rezygnować, tamto zmienić, iść na kompromisy... Jej było dobrze samej. Wszystkie dziewczyny Mikołaja były zazdrosne o trio, czemu więc jej czy Oliwii chłopak miałby reagować inaczej.

W drugim tygodniu ferii trio wreszcie zeszło się w komplecie. Oliwia wróciła, a Mikołaj nacieszył się kumplami i zajął Lilką. Nic nie wiedział o Pawle, dopóki Majka nie zadzwoniła do niego z uprzejmą, koleżeńską informacją.

— Co Majka ma do tego?! — wkurzyła się Lilka.

— Może weszłaś jej w paradę, skąd mogę wiedzieć?  
— zdziwił się Mikołaj. — Dlaczego akurat Paweł? Przecież go nie lubiłaś.

— Zmieniłam zdanie — przyznała. — Parę razy pogadaliśmy i nie jest taki, jak myślałam. Sam mówiłeś, że to fajny facet.

— Fajny i rozrywkowy — przyznał Mikołaj — ale stanowczo zbyt pewny siebie.

— Szukasz faceta, który nie byłby pewny siebie? — spytała Oliwia. — A ja szukam wody w proszku, możemy poszukać razem, chcesz?

— Wiesz co? Chyba żartujesz! Nie to miałem na myśli — zdenerwował się Mikołaj. — Paweł ma olewający stosunek do wszystkiego. Jemu na niczym tak naprawdę nie zależy. Duża kasa, wakacje nad ciepłym morzem, autko w garażu, które czeka na osiemnastkę. Ma też swoją dewizkę, nie myślcie sobie. „Wcześniej czy później, bez większego wysiłku dostaję to, co chcę”. Nie powie tego Lilce, powie przy piwku koleśiom. Sam słyszałem. Powtarzam wam, on ma wszystko.

— A tobie czegoś brakuje? — zdziwiła się Oliwia.

— Całowałaś się dziś z osą, że tak kłujesz? — spytał Mikołaj. — Czy ja narzekam? Mówimy teraz o Pawle.

— Odpuść! — mruknęła Lilka. — Jeszcze się nie zakochałam, na razie to tylko kolega.

Posmutniała jednak i spojrzała niepewnie na przyjaciółkę.

— Jaki on jest? — spytała Oliwia. — Rozsiewa toksyny, truje?

— Na początku wydawał się bardzo nieporadny, zagubiony, teraz trochę odżył — wyjaśniła Lilka. —

Zgodził się na mój warunek, że nic więcej poza przyjaźnią nie wchodzi w grę.



— No właśnie! - wykrzyknął z satysfakcją Mikołaj. - Zgodził się do czasu, aż tobie zaczniesz zależeć, aż ty będziesz miała dosyć przyjaźni i sama rzucisz mu się na szyję. To jedna z metod. Tak właśnie robią faceci absolutnie pewni siebie. Wierz mi, wiem coś na ten temat.

-Mikołaj! - jęknęła Oliwia z udaną powagą. -Taki młody jesteś i już taki zepsuty!

Oberwała poduszką, oddała i poważna dyskusja zamieniła się w radosną bijatykę. Nawet Lilka trochę im pomogła, jednak do domu wróciła w podłym nastroju. Nie lekceważyła słów Mikołaja. Gdyby to samo powiedziała Magusia czy pani Natalia, pomyślałaby, że boją się, są zbyt ostrożne, widzą to, co chcą widzieć. Z Mikołajem było inaczej. Znał facetów i ich opowieści. Na wszelki wypadek postanowiła trochę przystopować Pawła. Jeśli on wytrwa, może się coś z tego wykluje, a jeśli się podda, to przynajmniej ona nie zdaży wpaść po uszy. Starła się zachować rozsądek i za moment sama siebie pocieszała, że Mikołaj już parę razy się pomylił.

## 24.

Dwudziestolecie rodziców Oliwii miało być skromną rodzinną uroczystością. Jeszcze w piątek rano wszystko wskazywało, że taką właśnie będzie, a po południu okazało się, że przyjeżdża rodzina z Białorusi. Godzinę później zapowiedzieli się też przyjaciele z Krakowa. Z dwunastu osób zrobiło się nagle dwadzieścia jeden, a to już nie byle co. Największy kłopot wiązał się z usadzeniem gości przy stole i potem z ich obsługą. Lilka obiecała pogadać z panią Malinowską, żeby przyszła pomóc. Wymyśliła też, że ona sama wpadnie z życzeniami w sobotę rano, a już po południu nie będzie zajmowała krzesła. Ani Oliwia, ani pani Rymska nie chciały o tym słyszeć, Lilka jednak wiedziała swoje. Właśnie dlatego, że u Rymskich czuła się domownikiem, wolała nie przysparzać im dodatkowych kłopotów. Zrobiła tak, jak zaplanowała, i w ten sposób cały sobotni wieczór miała wolny.

Paweł nic nie wiedział o zmianie planów, dzwonił jednak codziennie, bo zawsze coś miał Lilce do powiedzenia. W sobotę, wczesnym popołudniem, chciał ją zapewnić, że czuje się bardzo samotny i opuszczony.

— Naprawdę aż tak bardzo lubisz rodzinne uroczystości? — spytał.

— To zależy, kogo na tych uroczystościach spotykam. Rodziców Oliwii bardzo lubię — wyjaśniła.

— Ja to mam pecha! — westchnął ciężko. — Gdybyś mnie lubiła, powiedziałbym ci, że dzisiaj o dwudziestej w klubie jest koncert na żywo. I nawet powiedziałbym ci, kto będzie śpiewał.

-Kto?

— Nie wiem — roześmiał się — musiałbym sprawdzić w gazecie. Nie interesowało mnie to, bo bez ciebie nie pójdę.

Trio chętnie biegało na koncerty. Można było posłuchać, potańczyć, popatrzeć na wokalistów. Nawet najlepszy didżej nie był w stanie zapewnić takiej atmosfery. Dała się złamać i Paweł oszalał z radości.

— O wpół do ósmej będę u ciebie — zapewnił i po chwili wahania spytał: — Robisz to dla mnie?

— Robię to dla siebie — odpowiedziała. — I nie myśl, że się poświęcam. Tak się złożyło, że wieczór mam wolny. Jak będziesz pod domem, puść sygnałek, to zejdem.

— A nie mogę wejść na górę?

— Zejdem — zapewniła go i odłożyła telefon.

Może nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie, ale czuła wewnętrzny opór przed zaproszeniem Pawła do mieszkania. Kilka razy się przymawiał, próbował ją odwiedzić i zawsze znajdowała jakiś wykręt. To, że bardzo chciała, żeby Mikołaj się mylił, nie znaczyło, że sama nie miała drobnych wątpliwości. Paweł, dopóki

wydawał się przy niej zagubiony i nieśmiały, zachowywał się z dużym dystansem. Ten dystans zniknął, kiedy chłopak się przełamał, powiedział, co miał do powiedzenia, a ona obiecała przemyśleć sprawę. Nie chodziło o drobne gesty, takie jak przytrzymanie ręki, muśnięcie policzka, odgarnięcie włosów z czoła, tylko o coś więcej. Intuicyjnie wyczuwała, że gdyby mógł, rzuciłby się na nią nawet na ulicy. Bardzo bała się niezręcznych sytuacji, z których nie umiałaby wybrnąć. Raz tylko odwiedziła go w domu, żeby obejrzyć podwodne zdjęcia. Siedzieli w jego pokoju przy otwartych drzwiach, rozmawiali, przeglądali fotki, po mieszkaniu kręciła się matka Pawła, wydawało się, że sytuacja od początku do końca jest czysta. A jednak Paweł próbował wykorzystać chwilę, przycisnął Lilkę do ściany, wcale nie tak lekko, i próbował pocałować. Myślał pewnie, że zaskoczona dziewczyna nie odważy się krzyknąć ani zaprotestować. Postawił ją w idiotycznej sytuacji: mama za ścianą, drzwi otwarte, a ona się drze. Nie przewidział tylko jednego: miał do czynienia z osobką, która już w piaskownicy umiała sobie radzić z napastnikami. Zamiast krzyczeć, uszczypnęła go tak mocno, że się skulił. Spytał nawet szeptem, czy nie zwariowała. Poradziła, żeby spróbował jeszcze raz, to się przekona. Nie próbował. W swoim domu wołała się z nim nie szarpać, bo też nie miała pewności, czy zwycięży. A przegrywać nie lubiła. Zresztą

jeszcze tego samego dnia kajał się bardzo i przepraszał. Powiedziała tylko: „Więcej tego nie rób!”, ale nie dodała, że należy do osób pamiętliwych.

Do wyjścia była gotowa kilka minut przed czasem. Obejrzała się w lustrze, pochwaliła, że wygląda całkiem, całkiem, i dopiero wtedy zawiesiła na szyi maleńką damską torebkę, prezent od Magusi. Torebka miała osobne przegrody na komórkę, klucze, pieniądze, a nawet na błyszczak do ust. Dodatkowo w środku wklejono malutkie lusterko. Podwójne zabezpieczenia chroniły przed zgubieniem czegokolwiek, a linka, na której torebka wisiała, była podobno nie do zerwania. Kiedy Paweł zameldował, że czeka pod domem, zamknęła drzwi, klucz schowała do torebki, a torebkę ukryła pod kurtką. Zbiegła po schodach.

— Będiesz najpiękniejszą dziewczyną na sali — powiedział z uznaniem.

— Poczekaj z komplementami, aż zdejmę kurtkę. — Roześmiała się i upchnęła ręce w kieszeni, bo wieczór był bardzo zimny.

— Musimy na moment wstąpić do Muszelki — zdecydował Paweł.

— Ja nie muszę.

— Przecież nie po to, żeby tam siedzieć. Zareczyłem głową, że coś kumpłowi oddam.

— Wstąp, poczekam na ulicy.

Na to nie chciał się zgodzić. Przekonywał ją, że wieczorami pod Muszelką kręci się sporo podejrzanych typów.

— Nie chcesz przypadkiem dać mi na przechowanie pieniędzy, kluczy, dokumentów? - spytał. - Ostatnio na imprezach było kilka kradzieży.

— Karty rowerowej nie wzięłam, o resztę się nie martw.

- Przecież nie musisz! - obruszył się. - Tak tylko pytałem, bo faceci zawsze mają więcej pustych kieszeni.

Dochodzili do Muszelki. Przed lokalem stało trzech osobników, których rzeczywiście lepiej było ominąć. Paweł złapał Lilkę za rękę i pociągnął za sobą. W środku było głośno i szaro od dymu. Lilka zatrzymała się przy drzwiach i nie chciała wejść dalej.

-Załatwiał, co masz do załatwienia, albo stąd idę — powiedziała złym głosem.

- Nie wygłupiaj się, co? - Paweł też nie był w lirycznym nastroju. - Nikt cię tu nie zje.

Pociągnął ją do stolika, przy którym siedziało trzech obcych Lilce, ale znanych Pawłowi facetów. Poleciał, żeby zaopiekowali się jego dziewczyną i postawili jej piwo z podwójnym sokiem. Łysawy chuderlak kiwnął głową i wystawił rękę. Paweł poszperał w kieszeniach, mruknął, że nie ma drobnych, i rzucił na tę rękę jak na tacę pięć dych.

— Gdzie jest Asphalt?

- Tam gdzieś, rozejrzyj się - odpowiedział tłusty blondyn.

Chuderlak posłusznie przyniósł Lilce piwo, ale bez soku. Zresztą nawet gdyby jej przyniósł sok grejpfrutowy, też by nie tknęła. Czuła się obca, zagubiona, wmanewrowana w jakąś kosmicznie głupią sytuację. W pomieszczeniu było gorąco, rozpięła więc kurtkę.

— Dawaj, powieszę — zaproponował trzeci z kompanów, ten, przy którym usiadła.

— Nie trzeba, zaraz wychodzę.

— Paweł cię tu przyprowadził, to z nim wyjdiesz. Na razie jesteś pod naszą opieką. Pij i siedź! — zdecydował jej sąsiad.

Nie była im potrzebna do towarzystwa. Gadali o swoich sprawach i nawet gdyby się wsłuchiwała w każde słowo, to poza bluzgami nic by nie zrozumiała. Paweł nie wracał, całkiem jakby rozpułynał się w gęstym dymie. Na darmo rozglądała się po sali. Dostrzegła za to Majkę i bodaj po raz pierwszy ucieszyła się na jej widok. Z wzajemnością. Majka zawsze bardzo lubiła spotykać znajomych, śmiała się wtedy i podskakiwała jak dzieciak. Natychmiast oderwała się od jakiegoś brodacza i podeszła do Lilki.

— Hej! Jesteś tu z nimi?

— Jestem tu sama — mruknęła Lilka.

— Twoje piwo, mogę? — Majka pociągnęła łapczywie kilka solidnych łyków.

Chuderlak uniósł się energicznie i położył wielką łapę na kuflu.

— Czego tu?! — warknął. — Zjeżdżaj, ale to już! Przerażona dziewczyna zamiast wypuścić kufel

z rąk, przytrzymała go z całych sił i w efekcie szarpaniny reszta piwa wylądowała na spodniach Lilki. Niewiele go co prawda zostało, bo Majka prawie zdążyła osuszyć kufel. Lilka patrzyła przerażona i kompletnie skołowana. Miała ochotę zerwać się i uciec, ale ten facet obok niej, który zapewniał, że z Pawłem przysłała i z Pawłem wyjdzie, siedział rozwalony na krześle, rechotał, i to jego najbardziej się bała. Poczowała delikatny dotyk na ramieniu. Odwróciła głowę. Za nią stał Pikuś.

— Zbieraj się! — powiedział. — Wychodzimy. Nie zdążyła się przerazić, nie pomyślała nawet, co on tu robi, zerwała się na nogi w jednej sekundzie. Facet obok też. Jego łapa wylądowała na paseczku od torebki. Chwycił mocno, skręcił i Lilka poczuła, że brakuje jej tchu, a oczy wyłażą na wierzch. Trwało to na szczęście bardzo krótko. Kiedy złapała oddech i otworzyła oczy, facet osuwał się po ścianie. Podniósł się niesamowity zgiełk, ale nikt jej więcej nie zatrzymywał. Pikuś szedł tuż za nią i kiedy na dworze zatoczyła się jak nieprzytomna, złapał i postawił na nogi.

— Piłaś to piwo? — spytał. Pokręciła głową.

— Zbieraj siły, to dwa kroki stąd - powiedział. Wepchnął ją do jakiejś bramy, poprowadził schodami na pierwsze piętro i znalazła się w skromnej



kuchni. To było jedno z tych mieszkań, które zaczynały się kuchnią, a kończyły pokojem.

— Nie bój się, zaraz cię odprowadzę do domu. Teraz nie możemy wyjść. W Muszelce jest obława.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami i nie bardzo rozumiała, o czym on mówi. Podeszedł do okna, wyjrzał na ulicę, a potem przyniósł wodę utlenioną i watę. Kazał Lilce ściągnąć kurtkę i odsłonić szyję.

— W samą porę cię urwałem z tego stryczka — powiedział. — Wyrażna pręga i drobne otarcia, przez jakiś czas będziesz musiała biegać w golfie. Dobrze, że to zima.

Lilce zbierało się na płacz. Zwykle była bardzo twarda i aż za bardzo samodzielna, jednak ta sytuacja trochę ją przerosła.

— Tylko żadnych łez, żadnego mazania — zażądał stanowczo Pikuś. — Jak baby płaczą, nie wiem, co robić. Często lubisz sobie posiedzieć przy żubrze?

Spuściła oczy i uśmiechnęła się. Wystarczyło, że huknął na nią, kazał się wziąć w garść, a do tego zażartował i z miejsca poczuła się lepiej.

— Mnie żubr nie odpowiada — powiedziała cicho, tłumiąc uśmiech. — Ja w ogóle nie lubię piwa. Jak sobie wleję dwie porcje soku, to jeszcze...

— Twoje piwo było z dwoma porcjami — stwierdził.

— Nie! — zaprzeczyła energicznie. — Bez soku. Majka pije tylko czyste. Wciągnęłaby cały kufel, gdyby ci od stolika nie zaczęli się z nią szarpać. Dlatego tak cuchnę browarem, bo mi polali spodnie.

- Widziałem. Siedzieliśmy przy stoliku zaraz za wami. Tylko wiesz, Kotarski... dobrze mówię? Paweł powiedział: „Z podwójnym sokiem” i może nawet o soku myślał, ale zapomniał, z kim gada. Tam były dwie działki, za to ręczę. Ta, co wypła, pewnie jest już po płukaniu żołądka. Taką przynajmniej mam nadzieję. Za szybko chwyciła kufel, za daleko stała, nie mogliśmy nic zrobić. Jakbyś ty zaczęła pić, musiałbym cię mocno potrącić. Często bywasz w Muszelce?

Pokręciła głową.

- Raz byłam z kolegą po południu, ale wtedy wszystko wyglądało całkiem inaczej. Dzisiaj to sama nie wiem, co ja tam robiłam. Szliśmy na koncert i Paweł się uparł, że ma coś oddać jakiemuś kumpłowi. Gdyby nie zakazane typy przed pubem... poczekałabym na ulicy.

-Patrz, jak to pozory mylą. Tych zakazanych przed pubem nie musiałaś się bać, ale to, że usiadłaś przy stoliku dilerów, stawia cię w dwuznacznej sytuacji.

- Dlaczego pan powiedział, że mnie obserwował?

- No nie, nie poszedłem tam specjalnie dla ciebie — uśmiechnął się szeroko.

- Wiem, że nie dla mnie, ale gdyby nie pan, to co by teraz ze mną było?

— Tłumaczyłabyś się na komisariacie, skąd masz takie fajne znajomości, a w poniedziałek w szkole po raz drugi.

— Pan chyba będzie musiał w szkole powiedzieć...

— Pyskata to ty może jesteś — Pikuś nie przestawał się uśmiechać — ale w tej obławie wpadłabyś po uszy. To była akcja policyjna, ja brałem w niej udział z upoważnienia władz oświatowych, więc co mi szkodziło wyprowadzić z piekła jedną niewinną duszyczkę.

— Dziękuję. Nie wiem, co więcej mogę powiedzieć...

— Może coś o końcu świata. Tobie też się styki zapaliły? — Śmiał się już całkiem głośno.

Lilka pomyślała, że gdyby był trochę starszy, właściwie dużo starszy i nie tak sympatyczny, to chętnie by go uściskała, jak wcześniej wujka i dziadka artystę. Ale Pikuś nie nadawał się do ściskania, poza tym był jej profesorem.

— Nie wiem czemu, ale myślałam, że pan nie ma poczucia humoru — powiedziała. — Bardzo się pomyliłam.

— Tak? — zamyślił się. — Z tym żubrem wtedy na lekcji trochę przesadziłem, wystarczyłoby wlepić ci pałę, ale wkurzyłaś mnie wyjątkowo. Myślałaś czasem o pracy w szkole?

— Nie.

— A ja tak. Już w ogólniaku wiedziałem, że chcę uczyć. Teraz, po pięciu miesiącach, mam serdecznie dosyć i poważnie myślę o zmianie pracy. Człowiek z dwóch stron dostaje w łeb. Ma się dokształcać, pisać konspekty, których nikt nie czyta, ma robić tysiące

szurnych rzeczy, wchodzi do klasy, a tam mu dopiero wdzięczni uczniowie dają popalić. Ale dotąd nikt jeszcze nie wątpił w moje poczucie humoru. Naprawdę tak to źle wyglądało?

Teraz to już Lilka musiała się roześmiać, patrząc na zmartwioną minę Pikusia.

— Spoko, panie profesorze! Jakbym ja miała poprowadzić lekcję, pewnie zapomniałabym, jak się nazywam.

— To mnie pocieszyłaś, dobra kobieto. Dzięki ci choć za to. Chcesz coś jeszcze wiedzieć? Muszę cię przecież odstawić do domu.

Kiwnęła głową, że tak, że z wielką przyjemnością wróci do siebie, jednak miała przecież pytanie, które nurtowało ją od chwili, gdy jako tako ochłonęła.

— Ci ludzie, ci dilerzy... Paweł ich znał, czy to znaczy, że on i oni to jedna ekipa?

— Nigdy nic nie wiadomo, ale nie pamiętam, żebym go widział na liście podejrzanych o rozprowadzanie narkotyków. Jeśli kupował, to na własny użytek. Możesz go przecież zapytać, dlaczego cię usadził koło rekinów średniego szczebla.

— Chyba nie będę miała okazji. Nie chcę go widzieć. A prawda: gdzie on mógł zniknąć? Na sali go nie było?

— Koło toalety jest wejście do jeszcze jednej salki. No dobra, późno się robi. Zadzwoń jeszcze i idziemy — powiedział. — Ty podobno mieszkasz sama, tak? Ściągnij sobie może jakąś koleżankę, weselej ci będzie.

Lilka zawahała się i zastygła z komórką w garści. Oliwii nie chciała przeszkadzać w rodzinnej uroczystości, a Mikołaj podobno coś tam świętował z kumplami. Wcisnęła dwójkę i mimo wszystko zadzwoniła do Mikołaja. Pikuś wciąż jeszcze rozmawiał, czy raczej słuchał, bo nie wychodził poza „tak” i „rozumieć”.

Kiedy podeszli pod dom Lilki, stała tam już całkiem silna grupa. Oczywiście Mikołaj i Oliwia, a ponadto Raj, Damian i Prymusik. Na widok tego ostatniego Lilce zrobiło się nieswojo.

— To co? W dobre ręce cię oddaję — powiedział Pikuś, lekko chyba zdziwiony takim zgromadzeniem.

— Nie wejdzie pan z nami? — spytała Lilka. Inni podchwycili ten pomysł i Pikuś specjalnie się nie opierał. Przewidujący Raj niósł ze sobą wypchaną torbę z jedzeniem. W biegu zabrał od Damiana, co się dało, i przyniósł do Lilki. Dziewczyny zakreśliły się w kuchni i po chwili stół wyglądał bardzo zachęcająco.

— To znaczy, że dzisiaj były obławy w kilku pubach — powiedział Prymusik. — Ja wiem o dwóch, teraz słyszę o Muszelce.

Pikuś nie rwał się do komentowania tych informacji. Przyznał jednak, że takie akcje mają większy sens, jeżeli prowadzone są jednocześnie we wszystkich znanych punktach.

- Mój ojciec, tak jak pan, pomaga policji ze strony szkoły - wyjaśnił Prymusik. - U taty już były dwa odloty, ludzie przedawkowali.

Powiało grozą. Oliwia zrećcznie przeszła na temat, który nie miał nic wspólnego z dramatycznymi wydarzeniami wieczoru. Zaczęła opowiadać o wizycie gości z Białorusi i wreszcie rozmowa nabrała życia. Koło dwunastej rozdzwoniła się komórka Lilki. Trochę trwało, zanim odnalazła torebkę na paseczku, który trudno zerwać. Musiała ją ściągnąć z bolącej szyi zaraz po powrocie do domu. Spojrzała na ekranik i wzruszyła bezradnie ramionami. Mikołaj wyjął jej telefon z ręki i wcisnął guzik. Nie odezwał się, pozwolił mówić Pawłowi. Nie za długo, bo tamten w kółko powtarzał, że chce wszystko wyjaśnić. Musiał się zdziwić, kiedy zamiast Lilki usłyszał głos Mikołaja.

- Lilka jest pod dobrą opieką. Pogotowie było, opatrzyło rany, dało zastrzyk, a teraz czuwa nad nią pięciu prawdziwych facetów i jedna prawdziwa kobieta. Dla ciebie nie ma tu miejsca. Nie zachowałeś się jak facet, tylko jak gówno. Jak taka żółta, niemowlęca kupa. Bądź tak dobry i przestań nam podnosić ciśnienie. A od Lilki, stary, z daleka, bo pożałujesz.

Nie dał Pawłowi satysfakcji, nie pozwolił zareagować na niemowlęcą kupe, wyłączył telefon, zanim tamten zdążył powiedzieć słowo.

Kiedy potem Lilka została już tylko z Oliwią, skuliła się na łóżku i próbowała jakoś poskładać niepasujące elementy układanki. Wciąż widziała dwu Pawłów, pewnego siebie klasowego dzokera i niezaradnego faceta, który rozlewa piwo. Ale był jeszcze trzeci, który bez słowa zawiózł ją do dziadka. I czwarty, ten, który chciał wziąć na przechowanie jej klucze, a potem w pubie wyłożył pięćdziesiąt złotych na piwo dla niej. Wyciągnęła rękę i trąciła lekko Oliwię w bok.

— Nie wiesz, po ile jest działka tego proszku, co się wysypuje do napojów?

— Pogięło cię?! Pięć minut posiedziałaś sobie obok dilerka i już nabrałaś apetytu na narkotyki? Dośpij do rana, jutro się zastanowimy — mruknęła sennie Oliwia.

— To możliwe, że po dwadzieścia pięć złotych?

— Następnym razem weź od nowych koleśków wizytówkę, będziesz miała informację z pierwszej ręki.

Lilka otuliła się kołdrą, podkuliła nogi i zamknęła oczy. Powoli zaczęła się zapadać w miękką ciemność. I nagle z tej ciemności wynurzyła się Majka z pustym kuflem w ręku. Lilka chciała do niej podejść, nie zauważyła, że przed sobą ma kilka schodków i poleciała... Tak poleciała, że aż podskoczyła na łóżku i otworzyła oczy.

— Co z tobą? — spytała Oliwia.

— Spadłam ze schodów.

— Aha, też czasem spadam.

— Widziałam Majkę.

— Była w pubie, mówiłaś.

— Widziałam ją teraz.

— O matko! Czysta delirka - jęknęła Oliwia. —  
Dzwonić po pogotowie?

— Majka wypija prawie całe to piwo nafaszerowane jakimś paskudztwem. Pikuś mówił, że płukanie żołądka ma jak w banku. A jeżeli będzie za późno i jej się coś stanie? Matka z rurką, ojciec po zawałach, jedna siostra na cmentarzu i teraz Majka — mówił Lilka ze zgrozą.

Oliwia usiadła na łóżku.

-Cholera! - mruknęła. - Nie jest fajnie. Ale z drugiej strony wciąż nas ostrzegają, żeby na imprezach pilnować swoich szklanek, nie dopijać niczego, co się zostawiło, a ona podlażała do obcego stolika i wychłęptała cudze piwo.

— Spytała, czy to moje.

— Nic jej nie będzie — zapewniła Oliwia.

— Podobno ma białaczkę.

— Wygląda jak żywa reklama solarium.

— Na zewnątrz, ale w środku może mieć.

— Masz jakiś pomysł na teraz? — spytała Oliwia. —  
Jutro pomyślimy. Jedyne Łukasz może wiedzieć coś więcej, ale wcześniej niż jutro go nie dorwiemy. W domu chyba nie chcesz mu składać wizyt?



— Nie! — zaprzeczyła energicznie Lilka. — Jedna wizyta to fuli.

— Równy gość — szepnęła Oliwia i zapadła w sen.

Miejsce Pikusia zajął teraz Łukasz, równy gość, który przez cały wieczór zachowywał się jak starszy kumpel. Było jednak jasne jak piwo, że w budzie zostawał panem sorem i żadne poklepywanie po ramionach nie wchodziło w rachubę. Trio i Prymusik byli co do tego jednomyślni.

Lilka owinęła się w kołdrę i wreszcie zasnęła.

## 25.

Pierwszego dnia po feriach Aldona obwieściła, że profesor Rybacka poszła na urlop zdrowotny, co — podobno — nie miało najmniejszego związku z petycją rodziców. Nowy nauczyciel geografii miał się zjawić dopiero w następnym tygodniu. Dyrekcja zgodziła się, żeby uczniowie, którym profesor Rybacka wystawiła jedynki na koniec semestru, mogli zdawać egzamin komisyjny. Dotyczyło to Prymusika, Oliwii i Mikołaja. Dodatkowo zgłosił się Patryk, który nie był usatysfakcjonowany trójką. Aldona przemawiała do klasy głosem ostrym, bardzo urzędowym, jakby w pełni solidaryzowała się z profesorem Rybacką. Wyszła z klasy zachmurzona.

— Ale foch - zauważył Mikołaj. - No to nie ma Rybki, ale czy mnie się chce poprawiać pałę? Woląłem już robić za pokrzywdzonego, a tak znowu będę musiał kuć.

— Proszę cię! — westchnęła Oliwia. — Podobno masz wielkie ambicje?

— Mam — zapewnił — tylko uczyć mi się nie chce. Z całego tria Oliwia najlepiej wypadła na koniec semestru. Jedynie trójką z matematyki psuła jej średnią, no i pała z geografii.

Trio nie opuszczało Lilki ani na krok, żeby chronić ją przed Pawłem. Nie było to specjalnie potrzebne, chłopak sam trzymał się z daleka i nie próbował do niej podejść. W ogóle zachowywał się dość dziwnie. Unikał nawet najbliższych kolegów, jakby chciał odizolować się od wszystkich.

— W końcu i tak będę musiała z nim pogadać — powiedziała Lilka. — Prawo do obrony przysługuje każdemu. Zresztą jest kilka spraw, o które chciałam go zapytać.

— Możesz zażądać, żeby wyjaśnił ci wszystko w naszej obecności — powiedział Mikołaj.

— Puknij się, co? — Lilka pokiwała głową. — Jeszcze trochę, a wprosisz mi się na noc poślubną. Są sprawy, o których nie wszyscy muszą wiedzieć.

— Jakie? — spytał natychmiast.

To pytanie wkurzyło także Oliwię.

— Wybacz, ale ty nam nie zdawałeś dokładnych relacji ze swoich randek — zauważyła z ironią. — To oczywiste, że powinni sami pogadać, a Lilki głowa w tym, żeby nie dała się w nic więcej wciągnąć. Nie dasz się, co?

— Nie dam — przytaknęła cicho Lilka.

Było jej smutno. Liczyła choć na słowo przepraszam. Tylko z drugiej strony jak miał ją przeproszać, jeśli nawet na moment nie zostawała sama.

Majka nie zjawiała się w szkole i trio było wyraźnie zaniepokojone. Przez całą niedzielę Lilka z Oliwią wydzwaniały do niej i wciąż słyszały, że abonent jest chwilowo niedostępny. Jeśli Majka była niedostępna, to

gdzie wobec tego się podziewała? Nikt nie wyłącza telefonu na całą dobę, a już na pewno nie dziewczyna, która nie wypuszcza komórki z ręki. Miała znajomych na pęczki, wiecznie słała jakieś liściki, bawiła się gierkami i spośród dziesięciu palców najczęściej używała kciuka. Czasem można było odnieść wrażenie, że tylko kciuka.

Nikt w klasie nie znał adresu Majki, co wydawało się mocno zastanawiające. Gdyby Majka była mrukiem i odludkiem, to co innego, ale ona bratała się ze wszystkimi, każdego traktowała jak fajnego kumpla i nikt, dosłownie nikt nie wiedział, nawet w przybliżeniu, gdzie dziewczyna mieszka. Podobno gdzieś w śródmieściu, niestety śródmieście było spore.

-Pogadam z Aldoną - powiedział Mikołaj -i wezmę adres z dziennika.

Okazało się to całkiem niepotrzebne. Na siódmej, ostatniej lekcji wypadła geografia i Aldona kazała klasie zostać. Zapowiedziała krótką godzinę wychowawczą. Weszła z jeszcze większym fochem, niż wychodziła rano.

- Grant! - rzuciła ostro. - Kiedy ostatni raz widziałas Majkę?

Pod Lilką nogi się ugięły, a w ustach poczuła suchość, która u niej łączyła się z wielkim zdenerwowaniem.

— W sobotę wieczorem — odpowiedziała cicho.

Nie umiała kłamać. Zmyślić coś, skrócić to i owszem, natomiast jawne kłamstwo nie było jej mocną stroną. Zawsze potem zapętliała się, pogubiła, a wtedy wszystko wychodziło na jaw.

— Gdzie? — drażyła Aldona.

— W Muszelce. To taki pub, niedaleko mnie.

— Pub! - prychnęła Aldona. - Knajpa, melina, tak należałoby powiedzieć. Uciekacie w zagraniczne nazwy, żeby zataić istotę rzeczy. Co robiłaś w tej knajpie nocą?

— Nie nocą — zaprzeczyła Lilka. — Było parę minut po wpół do ósmej. Szłam z kolegą na koncert. To on chciał wstąpić na moment do Muszelki, żeby coś załatwić... Nie wiem, nie znam szczegółów. Czekałam na niego może pięć minut, może osiem i... i wyszłam.

Aldona patrzyła na nią z niechęcią pomieszaną z obrzydzeniem. Lilka dobrze wiedziała, że nie jest ulubienicą wychowawczyni. To dało się odczuć nie raz i nie dwa. Aldona miała jedną niezaprzeczalną zaletę: sprawiedliwie oceniała wiedzę. Stawiała Lilce piątki, czasem czwórki, ale nigdy nie chwaliła jej, nie rozpieszczała cieplejszymi uwagami, jak to miała w zwyczaju wobec innych uczniów. Zachowywała chłodny, ostry dystans. I tak było od pierwszych lekcji.

— Siedziałaś w towarzystwie, jakiego porządne dziewczyny powinny unikać, przy kuflu piwa, i mówisz, że trwało to tylko pięć minut? - dociekała Aldona.

— Pięć, może osiem — powtórzyła Lilka. — Piwa nie tknęłam. Stało na stoliku.

— Majka balowała w tym samym towarzystwie co ty?

— Ja nie balowałam, pani sorko. Ja tylko czekałam. A Majka była gdzieś na sali. To ona mnie zauważyła i podeszła.

— I wtedy poczęstowałaś ją piwem?

— Nie miałam swojego piwa. Majka wzięła kufel ze stolika.

— Ona twierdzi zupełnie co innego.

Aldona nie pozwoliła Lilce usiąść. Mówiła o głupocie, rozwydrzeniu, bezmyślności młodzieży i dobrowolnym pchaniu się w tarapaty, a Lilka przez cały czas stała, jakby to właśnie ona była najlepszym przykładem, jeśli nie symbolem, owego rozwydrzenia i bezmyślności. Wywód zakończył się propozycją, by klasowa delegacja odwiedziła Majkę w domu.

— Ty nie! - Spojrzała na Lilkę. - Proponuję, żeby poszedł ktoś z samorządu, powiedzmy Mikołaj i Martyna.

Lilka nie dała się pocieszyć przyjaciółom. Czuła się wewnętrznie rozbita, skrzywdzona i poniżona. Schodziła do szatni z przeświadczeniem, że gdyby w tej chwili umarła, byłoby to najlepszym rozwiązaniem jej kłopotów. Umarłych przynajmniej nikt nie dręczy. Ją natomiast nie tyle dręczyło, ile nurtowało jedno pytanie: dlaczego Aldona nie spytała, kim był kolega, który zaciągnął Lilkę „nocą do knajpy czy

tam meliny". A i kolega też uparcie milczał. Mikołaj aż się pieniał z wściekłości. Gdyby Paweł był w tym czasie w szatni, pewnie doszłoby do bijatyki.

— Wyluzuj, stary! — powiedział Prymusik. — Myślę, że wszystko jest pod kontrolą. Spójrz na sprawę pozytywnie. Lilka ma najlepszego świadka z możliwych. Łukasz tam był i dobrze wie, z kim przyszła, jak długo siedziała, co piła, czy raczej czego nie piła.

— Wiem! — wściekał się Mikołaj. — Ale przyznasz, że ten facet zasługuje na gruntowne obicie mordy?

— Pikuś? — zdziwiła się Oliwia.

— Nie Pikuś, tylko Łukasz—poprawił ją Prymusik.

— Facet wystarczająco udowodnił, że nie jest żadnym Pikusiem. A obicie mordy należy się Pawłowi, choć ja radziłbym odłożyć to w czasie. Na razie jesteście, dziewczyny, dobrze chronione. Jest nas już dwóch.

— O matko! — mamrotała Oliwia, mocując się z kozakiem. — Z jednym opiekunem jest urwanie głowy, a tu drugi się pcha. Czy ja to zniosę? Lilka, a ty?

Lilka była już ubrana. Nie odpowiedziała, wzruszyła tylko nieznacznie ramionami.

— Idziemy do jakiejś miłej knajpki, co wy na to?

— spytał Prymusik. — Nie do żadnej meliny, tylko do cukierni na ciacho. Słodczyce poprawiają humor.

Propozycja nie wydawała się głupia.

Aldona wyznaczyła dwuosobową delegację, która miała udać się do Majki, zapytać o zdrowie, a także przekazać, co było do nauczenia i odrobienia.

Delegacja całkiem niechcący rozrosła się do czterech osób. Oliwia nie mogła sobie odmówić obejrzenia

mieszkania urządzonego antykami, Prymusik natomiast, jako obserwator ludzkich zachowań, był bardzo ciekaw reakcji Majki. Jedynie Lilka nie pchała się z wizytą. Siedziała w domu i czekała na przyjaciół. Żeby nie myśleć o swoich kłopotach, wzięła się do odrabiania zadań z matematyki. Potem zaczęła uczyć się historii. Pracowała całkiem pilnie, tylko od czasu do czasu spoglądała na telefon komórkowy. Intuicja podpowiadała jej, że Paweł może zadzwonić. Gotowa była wyjść z nim choćby do cukierni i posłuchać, co ma jej do powiedzenia. Kiedy telefon wreszcie zadzwonił, sięgnęła po niego nie-śpiesznie.

- Załamka totalna! -krzyczała Oliwia.-Wstawiaj wodę na herbatę, idziemy do ciebie. Załamka totalna — powtórzyła i przerwała połączenie.

Lilka nie miała już głowy, żeby wracać do historii. Nastawiła wodę, przygotowała pięć filiżanek i dopiero wtedy zaczęła drżeć ze strachu. Jeśli Oliwia mówiła o totalnej załamce, to mogło znaczyć tylko jedno: została oskarżona o otrucie, zamach na życie Majki, i to nie pierwszy. Chodziła z kąta w kąt i nie mogła sobie znaleźć miejsca. Na szczęście nie musiała czekać długo. Spodziewała się, że wpadną wściekli, rozgadani, że będą nadawać jedno przez drugiego... Nic z tych rzeczy. Weszli z minami, z których nic nie można było odczytać.



— Teraz usiądź wygodnie, oprzyj się, żebyś nie wywinęła kózła — powiedziała Oliwia, popychając Lilkę na kanapę.

— Rodzice Majki kierują sprawę do sądu? — wybąkała Lilka, bo nic straszniejszego nie przychodziło jej do głowy.

Spojrzeli po sobie.

— E, zaraz do sądu. — Oliwia pokręciła głową. — Posłuchaj najpierw, co mamy do powiedzenia. Wchodzimy do domu. Stara kamienica, tynk odrapany, no dobra. Pniemy się po stromych schodach do mieszkania. Otwiera tęga kobitka w fartuchu. Okaz zdrowia, a głos jakbyś łyżką waliła w metalowy garnek. Żadnej rurki, żadnych oznak wycieńczenia, nic. Mamusia Majeczki. Cieszy się z naszych odwiedzin, prowadzi z kuchni do pokoju, potem do drugiego pokoju. Antyków brak. Normalne meblościanki, sztuczne kwiaty w wazonie, mieszkanie jak mieszkanie. Po drodze mama nas informuje, że Majeczka po zatruciu ma się już lepiej, że tatuś Majeczki nic nie wie o chorobie córunki, bo właśnie jest w delegacji, tir mu się popsuł, ojej, co za pech. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Rozumiesz? Zdrową matkę pchać w raka, zdrowemu ojcu wmawiać zawał... To się nie mieści w głowie!

— Co Majka na to? — wybąkała zdumiona Lilka.

— Nic — wyjaśnił zwięźle Mikołaj.

— Jak nic! — zaprzeczyła Martyna. — Była zaskoczona, że trafiliśmy. Podobno nikomu nie dawała adresu swojej niani. Bo na stałe Majeczka mieszka w

rezydencji za miastem, a u starej niani czasem nocuje. Starej, kapujesz? Matka ma gdzieś ze czterdzieści lat, nie więcej, a ta idiotka awansuje ją na starą nianię.

— Nie rozumiem — wybąkała Lilka. — Matka była w pokoju, a ona mówiła wam o rezydencji... o niani?

— Przy matce nie — zaprzeczyła Martyna. — Ale matka nie siedziała cały czas z nami. Wychodziła do kuchni, gadała z kimś przez telefon i wtedy Majeczka nawijała kolejne kłamstwa.

— A wy co na to? — powtórzyła pytanie Lilka.

— Słuchaliśmy z zapartym tchem — mruknął Mikołaj. — To było ciekawsze od Harry'ego Portiera.

— Totalna załamka — westchnęła Oliwia. — Podejrzewałam, że ona żeruje na chorobach bliskich, ale do głowy mi nie przyszło, że te wszystkie nieszczęścia są wymyślone!... I jakby tego było mało, laska wypiera się rodzonej matki.

— I ojca — dorzucił Prymusik.

— A ta siostra, co się utopiła w wakacje? — wybąkała Lilka.

— Tak samo prawdziwa jak sieć knajpek — pocieszył ją Mikołaj.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Nawet Prymusik, znawca natury ludzkiej, był w wielkim kłopotcie i nie miał własnej teorii. Ciszę przerwał Mikołaj.

— Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Matka Majki była dziś u Aldony.

— Tak...? — Lilka zawiesiła głos i patrzyła wyczekująco.

-Tak.

— Chyba zaczynam chwytać. Balangowałam z Majką?

— Lepiej pozwól mu skończyć — wtrącił Prymusik.

— Że balangowałaś, to oczywiste. Najgorsze jest to, że zmusiłaś ją do wypicia piwa, w którym był narkotyk — wyjaśnił Mikołaj.

— Zmusiłam? — wyszeptała Lilka.

— Tak twierdzi matka Majki — przytaknęła Oliwia. — I tak pewnie powiedziała Aldonie. Stąd to dzisiejsze przesłuchanie.

— A co mówi Majka?

— Nie wiemy — dorzuciła Martyna. — Matka powiedziała nam o tym przy pożegnaniu.

— I co teraz będzie? — Lilka patrzyła na przyjaciół oczami wielkimi z przerażenia.

— Zapuszkują cię na dziesięć lat, a my ci będziemy donosić paczki — roześmiał się Prymusik.

Zerwał się z krzesła, przysiadł obok Lilki na kanapie i objął ją tak, jakby próbował ochronić przed nadciągającymi kłopotami. Nie miała siły stracić jego ręki z ramion. A może i nie chciała, bo ten przyjacielski uścisk dodawał jej otuchy. On z kolei też się nie kwapił, żeby ją puścić.

— Tylko nie świruj — poprosił.

— Nie będę — obiecała.

— Okay! Nie masz powodów, żeby się bać. Oliwia wyręczyła zgnębianą Lilkę i zrobiła wszystkim herbatę.

— Nie chcę już słyszeć ani słowa o Majce — powiedziała groźnie.

Zgodzili się z nią i przez następną godzinę rozmawiali wyłącznie o Majce. Co ktoś próbował zmienić temat, to i tak do Majki wracał.

Lilka może i nie miała większych powodów do lęku, co nie znaczyło, że umiała przejść do porządku dziennego nad krzywdzącym oskarżeniem. Już następnego dnia Aldona wezwała ją do pracowni polonistycznej i kazała opowiedzieć z detalami przebieg sobotniego wieczoru.

— Kolega zaprosił mnie — zaczęła Lilka, dzielnie walcząc z suchością w buzi — na koncert...

— Który kolega? Znam go? Zawahała się na moment.

— Paweł Kotarski — odpowiedziała cicho.

— Próbujesz go chronić?

— Nie, ale...

— Prosiłam o dokładną relację, a dokładna znaczy z nazwiskami — przypomniała wychowawczyni.

Nie była w zwykłym bojowym nastroju. Mówiła cicho i darowała sobie złościwości. Lilka skinęła głową. Spędziła w Muszelce nie więcej niż osiem, dziesięć minut. W sobotę wydawało się to wiecznością,

ale opowiadać nie bardzo miała o czym. Skupiła się na Majce. Że podeszła, że wypła, że faceci od stolika chcieli jej wyrwać kufel.

— Majka, Majka! — mruknęła Aldona. — Czarno widzę jej przyszłość. Majka twierdzi, że to ty ją spiłaś.

— Nic podobnego — zaprotestowała gwałtownie Lilka.

— Masz szczęście, że profesor Kowalski jest tego samego zdania co ty. W sobotę widziałaś jeszcze Pawła? — Nie.

— A później nie próbował ci niczego wyjaśnić?

— Nie miał okazji... Przyjaciele trzymają go z daleka ode mnie.

— Mądrych masz przyjaciół. W sobotę ledwie policja weszła do knajpy, Paweł uciekł przez okno. Wiedziałaś o tym?

— Czy on ma coś wspólnego z... z narkotykami? — spytała Lilka.

— Skąd mogę wiedzieć? Uciekł, więc widać czegoś się bał. Miej to na uwadze, gdybyś jeszcze kiedykolwiek zechciała się z nim gdzieś wybrać... Dokąd wyście szli?

— Na koncert do klubu.

— Na koncert! Ja też zaraz będę miała koncert. Czeka mnie rozmowa z matką Majki. Nie ma mi czego zazdrościć. To jedna z tych kobiet, które urodziły geniusza i nie widzą w nim wad.

— Matka Majki nie koncertuje, tylko podobno uczy śpiewu — zauważyła Lilka.

— Kto ci to powiedział? — zdziwiła się Aldona.

- Matka Majki jest magazynierką w którymś z zakładów.

— I nie ma raka z przerzutami, rurki w gardle, ani nie straciła głosu - dodała szybko Lilka.

Aldona patrzyła na nią uważnie, tak uważnie, że Lilce łyzy zakręciły się w oczach. Czuła, jak pęka w niej jakaś tama i słowa same się sypią. Musiała je z siebie wyrzucić, żeby nie zwariować. Tym razem jej relacja była tak dokładna, że nawet dociekliwa Aldona nie miała pytań dodatkowych. Patrzyła tylko z wielkim zdumieniem.

— Dlaczego ona to robiła? Dlaczego właśnie tak?

— dopytywała się Lilka.

— Nie wiem. W jakimś sensie dla korzyści własnych, ale nie umiem powiedzieć, czy nie ma to głębszego podłoża w psychice. Jestem nawet pewna, że ma. Być może jest niezadowolona ze statusu swojej rodziny i ucieka w głupie mrzonki, którymi karmi innych, a kto wie, czy powoli sama nie zaczyna w nie wierzyć.

Dźwięk dzwonka uprzytomnił im, że przegadały całą godzinę. Aldona wyprawiła Lilkę do klasy.

— Biegnij, biegnij - rzuciła. - Z następnej lekcji już cię nie zwolnię. — I dodała jeszcze coś wyjątkowo zaskakującego: - To niewiarygodne, jak ty jesteś podobna do mojej byłej synowej.

Majka wróciła do szkoły dwa dni później, ale nie szukała już towarzystwa tria.

Zbliżały się walentynki, czas miłosnych wyznań, kolorowych kartek i serduszek na drucikach. Lilka i Oliwia miały wielu znajomych chłopaków, zasługujących w tym dniu na pamięć. Kupiły sporo kartek i biedziły się nad tekstami. Miało być śmiesznie i tajemniczo.

— A jakbyśmy tak wysłali kartkę Łukaszowi? — spytała Lilka. — Od tria i Prymusika. Myślisz, że byłoby mu miło?

Oliwii nie trzeba było dwa razy powtarzać. Uznała, że powinno być bardzo miło. Łukasz nie tylko przyczynił się do ujęcia kilku dilerów (w mieście aresztowano wtedy kilkunastu), nie tylko fajnie wykladał i zmienił sposób odpytywania, ale też prywatnie okazał się świetnym kompanem. Wyszukały odpowiednią kartkę — bez czerwonych serc, za to z dowcipnym podpisem. Co prawda walentynki preferowały anonimowość, jednak kartka została opatrzona czterema autografami.

— Niech chłopak wie — powiedział Prymusik — że nie wszyscy uczniowie to ciule.

Lilka spodziewała się kartek i drobnych wyrazów pamięci jedynie od serdecznych kumpli. Z milczeniem Pawła pogodziła się już dawno. Ani o nim myślała, ani za nim tęskniła. Za krótka to była znajomość, żeby cierpieć, ale wystarczająco długa, by stracić zaufanie. Drogą okrężną, od Dariusza przez

Mikołaja, dowiedziała się, że Paweł przeżył dramat odrzucenia i podeptania uczuć. Mogła się tylko

domyślać, kim jest ta odrzucająca i deprecjująca dziewczyna. Zazdrościła mu aż tak luźnego podejścia do spraw bądź co bądź poważnych. I pewnie już dawno zapomniałaby o jego istnieniu, gdyby nie to, że widywali się codziennie. Niekiedy dochodziło też do zgrzytów między Pawłem a Mikołajem. Kilka razy wmieszał się także Prymusik, od jakiegoś czasu wierny przyjaciel trójki. A jednak po raz któryś z kolei się pomyliła. W skrzynce na listy znalazła bąbelkową kopertę, a w niej drewniane serce przełamane na pół. Nie przecięte, ale przełamane, z zadramami i nierównościami. Przez moment zrobiło jej się smutno. Tylko przez moment.

Najpiękniejszy walentynkowy prezent dostała wieczorem. W poczcie mailowej znalazła fajną kartkę i list od taty: „Lilu, walentynko Ty moja! Nadszedł czas, bym oddał Ci Magusię. Moja ręka odzyskała sprawność i mogę pracować sam. Teraz Magusia jest dużo bardziej potrzebna Tobie. Za pięć dni będziesz ją miała w domu”.

Lilka rozplakała się ze szczęścia, z ulgi i ze wszystkiego naraz. To więcej, niż oczekiwała. Żyła bez Magusi niecałe cztery miesiące, a wydarzyło się w tym czasie tyle, że i cały rok można by obdzielić. A jednak jakoś sobie dała radę. Jakos to znaczyło, że zawsze dobrze, ale przecież mogło być dużo gorzej.